



Vivian Leiber

Odnaleźć siebie

PROLOG

Kobieta w czerwonym kostiumie z identyfikatorem: CZEŚĆ, MAM NA IMIĘ JANET. CZYM MOGĘ SŁUŻYĆ? pomału traciła cierpliwość.

- W akcie urodzenia, w rubryce „nazwisko matki”, mogę wpisać tylko jedną osobę. Zrozumcie to wreszcie. Musicie wybrać jedną z was, najlepiej tę, która urodziła dziecko, ale mnie jest wszystko jedno. Byleby to było jedno nazwisko.

Obróciła się twarzą do monitora i znieruchomiła z dłońmi nad klawiaturą.

Paige Burleson, Kate Henderson i Zoe Kinnear przechyliły się nad blatem, żeby spojrzeć na ekran komputera. Istotnie, rubryka była nieznośnie mała, wręcz skąpa.

- Ale my chcemy być wpisane razem - powiedziała Zoe. - Tak postanowiłyśmy. Każda z nas czuje się jego matką. Tyle razem przeszłyśmy. Wszystkie chcemy się nim opiekować. Kochamy go.

- Niech pani wpisze mnie. I tak wszyscy będą myśleli, że to moje dziecko - poprosiła Kate, odrzucając jasne loki przez ramię. - Powiedzą, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Janet zerknęła na zegar. Dochodziło południe. Urzędnicy okręgowi mieli dokładnie pół godziny na przerwę śniadaniową i w żadnym wypadku nie mia-

ła ochoty tracić cennych minut na użeranie się z tymi trzema.

- Ja i tak nigdy nie wyjdę za mąż - odezwała się Paige - więc dla moich rodziców to może być jedyna szansa, żeby mieć wnuka.

- Dziewczyno, jesteś za młoda, żeby wiedzieć, czy wyjdiesz za mąż, czy nie. - Janet poczuła niewytłumaczalną potrzebę napomnienia młodej brunetki. - W każdej chwili może się pojawić ten jedyny mężczyzna.

- Już się pojawił - odparła Paige.

- Przestań się nad sobą rozczulać i porozmawiaj z nim. Powiedz, że kochałaś się z nim, żeby uwiecznić to, co was łączyło, a nie żeby go pocieszyć po śmierci Jacka - poradziła Zoe.

- Zobaczysz, że cię wysłucha - dodała Kate.

- Jestem pewna, że nigdy nie wyjdę za mąż - upierała się Paige. - To dziecko jest dla mnie wszystkim. Chcę należeć do rodziny, razem z moimi przyjaciółkami. Niech pani wpisze moje nazwisko.

- Nie pozwolę, żeby wpisano ciebie, a mnie nie - powiedziała Zoe. - Umówiliśmy się.

Janet otworzyła najniższą szufladę biurka i wyjęła torbę z drugim śniadaniem. Bywało gorzej. Na przykład kiedyś pewna kobieta zażądała, żeby jako ojca jej dziecka wpisać Baltara z planety Gorgona. Kiedy indziej jakaś przyjezdna para powtarzała w kółko siedemnastosylabowe imię dziecka, naszpikowane dziwaczными młaśnięciami i syknięciami, których się w żaden sposób nie dało przełożyć na zwykłe głoski. Janet wystukała wtedy na klawiaturze imię Sam, żyjąc w duchu powodzenia okręgowi, któremu za pięć lat przyjdzie przyjmować malucha do szkoły.

- Moje panie - wtrąciła się, kiedy Kate i Zoe nalegały, żeby je także wpisać w akcie urodzenia. - Musicie wybrać spośród siebie jedną mamę. Pomogę wam. Która z was urodziła dziecko?

- Ja - powiedziała Kate. - To mnie powinna pani wpisać.

- Nie pytam, kogo powinnam wpisać - warknęła Janet - tylko kto to b y ł. To proste, która z was miała poranne nudności?

- Zoe, zdaje się, że ty się zawsze rano czułaś okropnie - powiedziała Paige.

- Tak, a ciebie nachodziły nagłe zachcianki - odparła Zoe.

Janet wzniosła oczy do nieba.

- Która z was, na litość boską, pojechała do szpitala z bólami porodowymi?

- Żadna - odpowiedziała Paige. - Spędzałyśmy lato w domku moich rodziców, czekając na rozwiązanie. Mieszkałyśmy tylko we trzy. Nie zdążyłyśmy dojechać do szpitala.

Janet zaklęła z rezygnacją i wpisała w rubrykę: Paige Kate Zoe.

- Imię dziecka?

- Teddy - odparła Zoe. - Podoba nam się imię Teddy. Jak pierwszy prezydent Roosevelt.

Janet wzruszyła ramionami. Jeśli o nią chodziło, mogły nazwać dziecko nawet Miliard P. Fillmore.

- Nazwisko?

Dziewczęta popatrzyły po sobie zmieszane.

- Nie będzie miał nazwiska - powiedziała Zoe.

Janet uniosła groźnie palec.

- Posłuchajcie, moje drogie panie, dość tej zabawy

w kotka i myszkę. Akt urodzenia jest bardzo ważnym dokumentem. Nie będziecie stroić sobie ze mnie żartów.

Ten palec wycelowany kolejno w każdą z dziewcząt, odniósł pożądany skutek.

- Tak jest, proszę pani - powiedziała Zoe, otwierając szeroko zielone oczy. - To znaczy, nie, proszę pani, my wcale...

- Wcale nie miałyśmy zamiaru stroić sobie żartów, proszę pani. - Paige potrząsnęła głową.

- Naprawdę! - zawołała Kate.

- Ile macie lat? - zapytała Janet.

- Osiemnaście - odparła Paige.

- Osiemnaście - powiedziała Zoe.

- Siedemnaście - powiedziała Kate.

- Jesteście za młode, żeby być matkami. Powin-
nam zadzwonić do Ośrodka Opieki Społecznej i...

- Nazwisko Sugar Mountain - wypaliła Kate.

- Co to za... - zaczęła Janet.

- Sugar to drugie imię - powiedziała Kate, a jej przyjaciółki pokiwały głowami. - Mountain to nazwisko. Proszę, niech pani nie dzwoni do Ośrodka Opieki Społecznej. Oni przyszli kiedyś do mojego domu i chcieli mnie oddać rodzinie zastępczej. Bardzo proszę, miałybyśmy przez nich same kłopoty.

Nieukrywany strach dziewczyny wzbudził współ-
czucie Janet.

- Może macie rację. Oni czasami trochę przesadzają. Dobrze, Teddy Sugar Mountain - wpisała. Oparła się z powrotem na krzesło. - Idźmy dalej, czy chcecie wpisać nazwisko ojca?

- A czy znowu narobimy kłopotu, jeśli nie będziemy chciały? - zapytała Zoe.

- To akurat będzie pierwsza wasza decyzja, która nie narobi kłopotu - powiedziała Janet. - Ostatnimi czasy połowa aktów urodzenia na zawiera nazwiska ojca. Nie to co kiedyś, o nie. Jak zaczynałam tu pracować, wszystkie dzieci miały ojców. I wszystkie miały jedną matkę!

U stóp Zoe rozległo ciche czknięcie, a po nim delikatne kwilenie. Dziewczyna wyjęła Teddy'ego z nosidełka i zaczęła go huścić na rękach. Janet, która "widziała w tym miejscu całe procesje niemowląt - małych i dużych, chudych i grubych, ładnych i brzydkich, krzyczących, czerwonych, zapłakanych, śliniących się i ziewających - musiała przyznać, że Teddy był nie tylko wyjątkowo dużym i ślicznym dzieckiem, ale także spokojniejszym od większości tych, które się przewinęły przez jej biuro. W istocie, Teddy Sugar Mountain miał tak pogodną buzię, w dodatku bez smoczka i butelki, że Janet zaczęła się zastanawiać, czy te trzy matki nie będą całkiem dobrym rozwiązaniem.

- Chyba powinnyście go zawieźć na badania okresowe, prawda? - zapytała surowo.

- Właśnie jedziemy, jak tylko tu skończymy załatwiać wszystkie formalności - zapewniła Zoe.

- Może jako ojca powinniśmy wpisać Skylara - powiedziała Paige. - Każdej z nas Skylar w jakiś sposób złamał serce.

Janet z trudem oderwała urzeczony wzrok od dziecka.

- Cóż to znowu za Skylar? - zapytała.

- To są trzej bracia - powiedziała Kate.

- Nie wpiszę na tym akcie urodzenia trzech ojców.

- Nie, nie, nie trzeba - powiedziała Paige. - Kiedyś było czterech braci: TJ, Matt, Win i Jack. Wszyscy przystojni jak sam diabeł. Potem w górach się zdarzył wypadek. Pękła lina ubezpieczająca. Matt trzymał TJ, a TJ trzymał Jacka. Najmłodszy, Win, pobiegł po pomoc.

- Naprawdę? - powiedziała z rezygnacją Janet i otworzyła torebkę z kanapkami. Czuła się, jakby ją przepuszczono przez wyżymaczkę. Była dwunasta. Pół godziny do następnego interesanta. - Chce któraś kanapkę?

- Nie, dzięki, ale proszę się nie krępować - odpowiedziała Paige. - Widzi pani, kochałam... właściwie muszę się przyznać, że nadal kocham TJ. Ale on mnie traktuje jak młodszą siostrę albo jak starego kumpla.

- Uhm - mruknęła Janet, odgryzając kawałek mielonki z serem i musztardą. - No i co z tym wypadkiem?

- To może powinnam zacząć od początku. Jesteśmy z Sugar Mountain. To małe miasteczko, stąd niecałe sto kilometrów na zachód. No więc, tam się wychowywaliśmy, cała nasza szóstka.

Janet przełknęła.

- Siódemka - poprawiła. - Czterech braci i wy trzy.

- Słusznie - powiedziała Paige. - A bracia Skylarowie wyglądali jak książęta z bajki. No i pewnego dnia...

1

Paige zapakowała wszystkie swoje *xi.zcTy* do pudełka, które sekretarka przyniosła z działu korespondencji. Nie było tego dużo. Kryształowy przycisk do papieru od firmy produkującej buty sportowe - kiedy firma wchodziła na giełdę, wszyscy prawnicy pracujący przy sporządzaniu dokumentacji dla Komisji Papierów Wartościowych dostali takie same - i trzy srebrne miseczki upamiętniające trzykrotny rekord Paige w liczbie godzin przepracowanych na rachunek klientów. W jednej miseczce trzymała spinacze do papieru, w drugiej gumki recepturki, w trzeciej żelki. Do pudła poszła też waza z czasów dynastii Ming przywieziona z Chin przez bogatego i wyjątkowo wdzięcznego finansistę, dla którego Paige negocjowała wejście na chiński rynek.

Zawartość kartonu uzupełnił paszport, bilans ubezpieczenia emerytalnego, czek z odprawą oraz kubek do kawy od firmy TJ.

Na parapecie został jeszcze aloes, tak zaniedbywany, że prawdopodobnie usechł bezpowrotnie. Postanowiła zostawić go prawnikowi, który zajmie po niej gabinet. No i było oczywiście zdjęcie - jej skarb i przestroga zarazem. Pozostałe fotografie w ramach włożyła już wcześniej do pudełka: Zoe z ma-

łym Teddym na werandzie białego domku w stylu Cape Cod; ślubne zdjęcie Kate; Teddy w przebraniu królika Puchowego Ogonka na szkolnym przedstawieniu. Na razie jednak nie mogła się przemóc, żeby wziąć do ręki tę jedną fotografię.

Na biurku zostało więc tylko lukrowane ciasto drożdżowe oraz jej zdjęcie z TJ.

Przez lata pracy w firmie Greenough, Challenger & Redmond rzadko miała okazję widzieć pusty blat swego biurka. Aż do dzisiejszego ranka nieodmien- nie pokrywały go sterty papierów - dokumenty są- dowe, pisma do klientów i od klientów, listy od ro- zeżlonych adwersarzy, kserokopie ustaw, służbowe notatki - w efekcie powierzchnia biurka zdawała się zawsze połyskiwać ruchliwym bladym światłem. Na samym spodzie papierowej góry Paige znalazła no- tatkę z doklejoną karteczką; było to przypomnienie, że prawnicy powinni odpowiedzieć na zaproszenie na przyjęcie wigilijne.

Boże Narodzenie 1998.

W końcu, uprzątnąwszy biurko i opróżniwszy szuflady, Paige wzięła głęboki oddech i sięgnęła po zdjęcie w srebrnej ramce.

Miała na nim dłuższe włosy - dziesięć lat temu pojęcia „służbowy” czy „stosowny do biura” nie ist- niały nawet w jej słowniku, nie mówiąc o codzien- nych nawykach - wzdłuż jej pleców wił się długi warkocz, a twarz otaczały kręcone kosmyki pojaś- niałe od słońca. Teraz jej lśniące włosy ostrzyżone na pazia nigdy nie wymykały się spod kontroli.

A kiedy ostatnio zakładała trapery i swoje ulubio- ne dzinsy, wygodne i łatwe do wyprania w pralce?

Dziś jej strojem były szare kostiumy, granatowe kostiumy, czarne kostiumy, kostiumy w prążki, kostiumy na okoliczność fuzji, kostiumy do realizowania zleceń zakupów, kostiumy do sądu i - tylko nieco bardziej swobodne - kostiumy do biura. Do nich jedwabne bluzki - miała dzięki nim wyglądać bardziej kobieco, ale tak naprawdę wyglądała jeszcze bardziej onieśmielająco.

Nawet teraz, ostatniego dnia pracy w tej dusznej atmosferze renomowanej firmy prawniczej, miała na sobie kremową jedwabną bluzkę zapiętą pod samą szyję, szary kostium z wełnianej krepy, skrojony z bezlitosną precyzją dokładnie do połowy kolan i czarne pantofle, które dodawały jej pięć centymetrów wzrostu.

Każdy, kto widział to zdjęcie, zrobione na zboczach Sugar Mountain dwa dni przed tragedią, uznawał TJ za jej męża lub - używając nowoczesnego, ostrożnego języka - za jej „towarzysza życia”. Trudno było wziąć rozkochany wzrok tamtej młodej Paige za spojrzenie młodszej siostry czy przypadkowej znajomej. A mężczyzna u jej boku zasługiwał na to uwielbienie: barczysty, o mocno zarysowanej szczęce i ciemnych włosach przetykanych jasnymi pasmami, które 'wcale nie były efektem zabiegów w salonie fryzjerskim przy Piątej Alei, ale błogosławieństwem górskiego słońca.

Kilka miesięcy temu pewien prawnik biorący udział w wieczornym posiedzeniu długo patrzył na fotografię, po czym stwierdził, że mężczyzna na zdjęciu sprawia wrażenie człowieka niezwykle dynamicznego i takiego, co zawsze odnosi sukces.

- Naturalnie kobiety też odnoszą sukcesy - dodał szybko.

Paige przemilczała wtedy tę uwagę. Wiedziała, że wielu mężczyzn w jej towarzystwie czuło się nie-swojo. Czemu? Nie miała pojęcia. Może dlatego, że kobieta rzeczowa, ciężko pracująca uchodzi za krwiożerczą modliszkę.

- Wygląda znajomo - ciągnął ów prawnik. - Czy on przypadkiem nie pracuje gdzieś u nas?

To „u nas” miało znaczyć na Wall Street - jedyne miejsce, jakie się liczyło dla niektórych nowojorczyków.

- To TJ Skylar.

- Naprawdę? - Wyraźnie był pod wrażeniem.

- Przyjaźnimi się.

Rozdrażnił ją delikatny pomruk współczucia wywołany tym oświadczeniem. Nie usiłowała wyjaśniać, że nie jest porzuconą przyjaciółką TJ ani przyjaciółką, którą wkrótce porzuci lub która sama odejdzie, zrazo-na jego powszechnie znaną niechęcią do małżeństwa. Wyładowała rozdrażnienie w pracy i wynegocjowała jeszcze więcej ustępstw na rzecz swojego klienta. Była w tym profesjonalistką.

Włożyła zdjęcie do pudełka. Koniec z wieczornymi pertraktacjami w przeddzień rozprawy, koniec z telekonferencjami przepełnionymi zjadliwością, z potyczkami na sali rozpraw, koniec z wyjaśnieniami, że jest tylko i wyłącznie przyjaciółką TJ - nikim więcej i nikim mniej.

Czy ich przyjaźń przetrwa jutrzejszy dzień? Czy TJ ją znienawidzi? Czy potrafi jej wybaczyć? I co najważniejsze - czy jej plan się powiedzie? Wczoraj jedli ra-

zem typowy lunch nowojorczyków - TJ przy swoim biurku pastrami z żytnim chlebem, ona przy swoim - sałatkę z kurczaka i sera. Kazali sekretarkom wstrzymać wszystkie rozmowy i Paige po raz setny poprosiła go, żeby pojechał z nią do domu. Odmówił.

- Och, TJ, zbyt dużo poświęciliśmy dla sukcesu - powiedziała cicho, sięgając wypielegnowaną dłonią po notes elektroniczny. Musi poprosić asystentkę, aby się dowiedziała, czy przekroczenie granicy stanu w czasie porwania zwiększa wymiar kary. Przypomniała sobie jednak, że oddała notes kierownikowi biura, kiedy przyszedł jej powiedzieć, że wszelkie świadczenia medyczne będą jej przysługiwać jeszcze przez rok po odejściu z firmy.

- Oczywiście wszyscy liczą, że do tego czasu wrócisz - dociął. - Pan Greenough sam zaproponował, żebyś po tej wielkiej sprawie antymonopolowej wzięła urlop.

Ta wielka sprawa antymonopolowa pochłonęła trzy lata jej życia. Jedna spółka pozwała drugą, która natychmiast wystąpiła z kontrpozewem, co zaowocowało drobiazgowym zbieraniem dowodów, spisywaniem zeznań trwających całe dni, wymianą dokumentów, taktycznymi odroczeniami, niezliczonymi wnioskami i negocjowaniem porozumień. W efekcie pieniądze zarobili na tym wyłącznie prawnicy, w tym także wspólnicy Paige. Byli z niej bardzo zadowoleni i bardzo zmartwieni jej odejściem.

Wnętrza biurowe na dwudziestym szóstym piętrze wypełniało jasne światło i gwar ożywionej pracy. Sekretarki wyłączały komputery, przedzierały się między biurkami, żeby dostarczyć szefowi ostatnie

sprawozdanie, dzwoniły do dzieci i mężów z wiadomościami, o której wrócą do domu.

Tymczasem większość prawników o czwartej po południu łapała właśnie drugi oddech - biada tym, których nie było przy biurkach, kiedy pan Greenough o wpół do ósmej buszował po korytarzach!

Paige rozmyślała o wszystkich bezpowrotnie minionych godzinach swojego życia: o sobotach i niedzielach, kiedy wmawiała sobie, że lubi przychodzić do biura, bo tyle może zrobić bez telefonów dzwoniących nieustannie nad głową; o odwoływanych randkach; o biletach do teatru oddanych sekretarce (Nelly dzwoniła wtedy do męża i kazała mu wskakiwać do najbliższego pociągu jadącego do miasta). Przypomniały jej się dwa Boże Narodzenia, które zamiast z Teddym i Zoe spędziła na przeglądaniu dokumentów dla klienta, i jej jedyny zaplanowany urlop, odwołany w przeddzień wyjazdu z powodu propozycji fuzji, którą jej klient otrzymał od konkurencyjnej firmy. (Wysłała wtedy do Meksyku Nelly z mężem.)

- Na pewno nie pomóc pani przy znoszeniu tych rzeczy? - zapytała Nelly, wyglądając zza ścianki oddzielającej jej biurko. Bujna czupryna szarych włosów opadła jej na twarz.

- Nie, nie ma potrzeby - odparła Paige.

- Dzwoniła znowu pani mama. Powiedziałam jej, że pani już wychodzi.

- Dziękuję.

- Jak się czuje pani ojciec? - Nelly wiedziała, że to między innymi z powodu jego choroby Paige odchodziła z pracy.

- Raz lepiej, raz gorzej.

- Rozumiem. No to, do widzenia - powiedziała niezręcznie sekretarka. - Jeszcze raz za wszystko dziękuję. Złożyliśmy ofertę na ten dom, o którym pani mówiłam. Nie moglibyśmy sobie na to pozwolić, gdyby nie pani... prezent.

Paige machnęła ręką na znak, że nie ma o czym mówić. Nelly się rozpląkała.

- Mam nadzieję, że to wszystko... czego pani szuka... że pani to wszystko znajdzie.

„Ja też mam taką nadzieję” - pomyślała Paige. „I że przy tej okazji nie stracę najlepszego przyjaciela”.

- Proszę zadzwonić, jakby pani czegoś potrzebowała - powiedziała Nelly. - Chociaż pani należy do ludzi, którzy nigdy niczego nie potrzebują - dodała, kiedy szefowa już jej nie mogła usłyszeć.

Paige przemknęła szybko obok recepcji, ciesząc się w duchu, że za biurkiem siedzi nowa pracownica. Kobieta spojrzała ze zdziwieniem na prawniczkę, która o tej porze wychodzi z biura, ale nie odezwała się ani słowem.

Winda była pusta i Paige dotarła na drugi poziom podziemnego garażu, nie spotkawszy już nikogo znajomego. Schowała pudło do bagażnika czerwonego sportowego samochodu, pamiętając, że aktówkę powinna położyć na przednim siedzeniu, aby nie wzbudzić podejrzeń TJ.

Sprawiła płytę w odtwarzaczu. Brahms. Spokojny i kojący. Na tylnym siedzeniu w papierowej torbie leżała puszka ulubionego napoju TJ i chipsy, bez których ostatnio nie mógł żyć. Wszystko, czego potrzebował porywacz, żeby uśpić czujność ofiary.

Z wysokich stalowo-szklanych biurowców Pięc-

dziesiątej Trzeciej Alei i Alei Ameryk wylewał się strumień sekretarek, urzędników, asystentów i pracowników barów szybkiej obsługi. Był dopiero czerwiec, a mimo to upał zdawał się skwierczeć na chodnikach. Mężczyźni przerzucali przez ramię marynarki, robotnicy na rogu odłożyli narzędzia i sumiennie spełniali swoje zadanie oglądania się za przechodzącymi kobietami. Z okna taksówki wychylił się kierowca i w żywiołowym słowiańskim języku zwymyślał gapiowatego przechodnia.

Paige wzięła głęboki oddech i wyprowadziła swojego spitfire'a na ulicę. Nowojorski ruch uliczny należał do tych rzeczy, za którymi na pewno nie będzie tęsknić. Większość jej kolegów nie zawracała sobie głowy samochodami; woleli taksówkę, metro albo po prostu chodzenie piechotą, a w nagłej potrzebie wzywali Paige. Ona jednak w głębi duszy nie była nowojorczańką i lubiła niezależność, jaką dawał samochód. Z rozczeniem wspominała czasy, kiedy wystarczał pick-up, mapa i kilka koleżanek, żeby ruszyć w podróż.

Dopiero dzisiaj rano powiedziała kierownikowi parkingu, że wyjeżdża.

- Wszystkie wyjeżdżają - skomentował mężczyzna. - Nowy Jork to nie miejsce na wychowywanie dzieci. Właśnie przez dzieci wyjeżdżają. A pani dokąd? Connecticut, Westchester, Long Island?

- Do Kolorado - odparła. - Do stanu Kolorado - dodała, widząc pytający wyraz na twarzy mężczyzny.

- Życzę szczęścia - powiedział. - Ale zaraz... przecież pani nie ma dzieci. Samotna prawniczka, no nie? To po co pani to wszystko rzuca?

Nie była to pochlebna charakterystyka, za to wyjątkowo trafna. Pożegnała się z pozostałymi pracownikami parkingu, każdemu wręczyła kopertę ze sporym napiwkiem. To samo zrobiła w portierni budynku, gdzie się mieścił jej apartament.

„Zegnaj, zegnaj Nowy Jorku” nuciła, jadąc ostatni raz przez śródmieście.

Przy skrzyżowaniu Trzydziestej Trzeciej i Piątej Alei wykręciła głowę, żeby po raz ostatni spojrzeć na Empire State Building, za co została ukarana zniecierpliwionym klaksonem taksówkarza, bo ułamek sekundy za późno zareagowała na zmianę światła.

Czterdzieści pięć minut później przy Wall Street zobaczyła TJ. Stał na krawężniku na wprost wejścia do siedziby głównej J. P. Morgan, gdzie spędzał dnie i większą część nocy. Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok swojego przyjaciela z telefonem komórkowym przyklejonym do ucha i plikiem różowych i żółtych karteczek, którymi pomachał jej na powitanie.

- No więc, kim jest ten tajemniczy klient? - zapytał, wsiadając do samochodu. Skończył właśnie rozmawiać i chował komórkę do kieszeni, kiedy telefon znowu zadzwonił.

- Przepraszam cię. Zaraz po tej rozmowie go wyłączę.

Nie odpowiedziała. Nie lubiła tego telefonu. Nie lubiła karteczek do zapisywania wiadomości, które TJ wetknął do uchwytu na kubki, ani aktówki wypchanej służbowymi papierami. Nie lubiła też laptopa, który towarzyszył mu jak pies, a który tym razem - zauważyła - musiał zostać w biurze.

Dzisiaj jednak się ucieszyła, że TJ zabrał ze sobą

całą resztę swoich biurowych ulubieńców. Po raz pierwszy telefon, karteczki i aktówka będą pracować na jej korzyść.

- To dobrze - mruknęła do siebie i na najbliższych światłach sięgnęła ręką, żeby opuścić sobie oparcie fotela.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział TJ do słuchawki i wcisnął przycisk MUTE. Paige potrząsnęła głową.

- Nic, nic. Ty też się możesz wygodniej usadowić. Jest okropny tłok na ulicach.

- Przepraszam za ten telefon, ale giełda zaczyna wariować.

- W porządku, rozumiem. Załatwiał swoje sprawy.

Wyciągnął nogi. Zazwyczaj w jej samochodzie, podobnie jak w każdym innym, musiał siedzieć skulony, z kolanami niemal pod brodą. Tym razem jednak Paige zawczasu odsunęła fotel pasażera jak najdalej do tyłu.

Wyjęła puszkę z ulubionym napojem TJ i włożyła ją w uchwyt przy siedzeniu. Podziękował jej skinieniem głowy, tłumacząc jednocześnie swemu rozmówcy, że ruch na japońskich giełdach nie będzie miał wpływu na ich transakcję.

Paige włączyła Brahmsa. Był naprawdę bardzo, bardzo uspokajający.

Spowici w tym błogim, przytulnym kokonie przedzierali się przez zatłoczone ulice dzielnicy Tribeca. Paige liczyła, że uda się jej przejechać przez tunel Hollanda, zanim TJ zacznie zadawać pytania.

2

- No więc, co to za klient? - zapytał, wrzucając kolorowe karteczki do aktówki. - Byłaś taka piekielnie tajemnicza.

Nachylił się, żeby ją pocałować w policzek. Zawsze ją całował w policzek. I klepał po dłoniach. Takie niewinne i kumplowskie gesty. Potem obrzucał ją szybkim spojrzeniem, marszczył brwi i powtarzał, że nigdy nie złapie faceta, jeśli się będzie ubierać jak zakonnica.

- Jasne, tylko że nikt mnie nie będzie traktował poważnie jako prawnika, jeśli się będę ubierać jak tancerka kabaretowa - odpowiadała mu na to.

Dzisiaj jednak było inaczej, dzisiaj miał przed sobą superważne zadanie - nowego klienta i to zepchnęło wszelkie osobiste sprawy na plan dalszy.

- Po co ta cała tajemnica?

- Bo klient jest tajemniczy.

- Ale bogaty, mam nadzieję? - powiedział, ziewając.

To był dobry znak.

- Ooo, ma całe góry pieniędzy - odparła Paige. - Potrzebuje prawnika do prowadzenia spraw majątkowych. To będę ja. I doradcy finansowego, żeby te pieniądze robiły pieniądze. To będziesz ty.

- A jak to się stało, że dotąd o nim nie słyszałem?

- Jest odludkiem. Nie chce przyjeżdżać do żadnego biura.

- W związku z tym my jedziemy do jego biura, tak? - Rozejrzał się podejrzliwie po ulicach; milionerzy nie wynajmowali biur w tej dzielnicy.

- Nie. Jedziemy do jego domu.

Wysunął dolną szczękę. Kalkulował. Może Central Park West, ale czemu w takim razie skręciła w Canal Street? Paige czekała, kiedy zapyta, dlaczego jadą w kierunku tunelu Hollanda.

- Gdzie on mieszka?

Zadzwoił telefon.

- Odbierz, nie przejmuj się mną - powiedziała Paige beztrąsko. Telefon uwolnił ją od pytań, a tym samym od kłamstw. Nie była w tym dobra. Rzadko kłamała, nawet w pracy. Nie chciała, żeby jej to weszło w krew.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedział TJ, kiedy skończył rozmowę. - Kiedy to było? Chyba w zeszłym miesiącu?

Skinęła głową. Tak właśnie wyglądały nowojorskie przyjaźnie - w tygodniu telefon, czasem dwa, albo e-mail; w niedzielę późne śniadanie, jeżeli żadne z nich nie było w biurze ani w podróży służbowej i jeżeli TJ nie miał akurat w łóżku dziewczyny - wszystko razem dawało średnią raz w miesiącu. Kolacje odpadały ze względu na klientów, prace terminowe albo szefów, którzy zapraszali jedno lub drugie na drinka.

Jednak w najważniejszych sprawach byli lojalnymi przyjaciółmi. Kiedy Paige zachorowała, urwał się z pracy, żeby jej przynieść leki, gazety i rosół w pusz-

ce. Ona z kolei pomagała mu szukać prezentu urodzinowego dla jego dziewczyny. Kiedy Paige wygrała swoją pierwszą sprawę, TJ czekał z szampanem na schodach sądu. Kiedy zerwała ze swoim pierwszym narzeczoną, w ciągu dwudziestu minut zjawił się u niej z chińszczyzną i słowami pocieszenia.

- Zmieniłaś fryzurę? - zauważył, dotykając jej włosów. - Wygląda jakoś mniej surowo. Podoba mi się.

- Przegapiłam wizytę u fryzjera. Jesteś opalony, czy to po weekendzie na Barbados?

- Tak. Szkoda, że się nie mogłaś wyrwać z pracy.

- Romantyczny weekend na Barbados z definicji wyklucza trzeciego uczestnika.

- Straszna z niej była nudziara.

- To ty tak twierdzisz.

- Z tobą byłoby weselej.

- Jasne, ale trudno, żebym rywalizowała z kobietą, której życiowym osiągnięciem jest imię, którym na jej cześć nazwano kwiat. To by nie była uczciwa rywalizacja. Jak ona się nazywała? Panna Frezja?

- Hiacynta.

- Czy to znaczy, że dziedziczka SunOil...

- Shawny nie obchodzi, że się spotykam z innymi kobietami.

- To ty tak twierdzisz.

Znowu zadzwonił telefon.

- Odbierz - ponagliła go.

- Jak, mówiłaś, nazywa się ten facet? - zapytał po kilku minutach, kiedy odłożył telefon.

Była przygotowana na to pytanie.

- Rockefeller. Pewnie słyszałaś o rodzinie Rockefellerów.

- Bardzo zabawne. Którym z nich jest ten nasz Rockefeller?

- Kuzynem. Ma na imię John i jest kuzynem Johna D. Rockefellera z Nowego Jorku.

- Którego Johna? Te g o Johna D. z Nowego Jorku czy Johna D. Juniora, czy jego syna, Johna Albany z Nowego Jorku?

- Nie wiem, ale ten się wzenił w rodzinę DuPontów - dodała Paige, żeby zbić go z tropu. Czuła, jak jego umysł zaczyna pracować. - Posłuchaj TJ, potrzebuję twojej pomocy. Jeśli mi się uda zdobyć tego klienta, będę miała -właściwie w kieszeni pozycję wspólnika w firmie.

Doskonale wiedziała, że odwołanie się do TJ o pomoc w mozolnej wspinaczce po szczeblach kariery aż do narożnego gabinetu wspólników w Greenough, Challenger & Redmond było zawsze potężną bronią. Dość potężną, aby odwrócić jego uwagę od niewygodnych pytań typu: którym Johnem Rockefellerem był ów klient i o których DuPontów chodziło. W końcu w Nowym Jorku i na całym północno-wschodnim wybrzeżu roiło się od spadkobierców Rockefellerów, a co do DuPontów, to stan Delaware szczylił się ich tysiącami i wszyscy oni bez wątpienia stali teraz w kolejkach do kas sklepowych, domagając się zrealizowania czeków dywidendowych zarobionych na ropie, produktach petrochemicznych i plastiku.

Kątem oka TJ dostrzegł tablicę z nazwą ulicy i aż się obrócił ze zdziwienia. Zajęty rozmową telefoniczną nie zauważył, jak bardzo się oddalili od dzielnicy finansistów. A teraz... Co robili w New Jersey?

- Za ile będziemy na miejscu?

- Co najmniej za godzinę.

Jęknął. Godzina poza biurem to była cała wieczność. Przez tyle czasu indeksy Dow Jonesa mogły polecieć na łeb na szyję, a rezerwy federalne stopnieć - w końcu i jedno, i drugie było wytworem gorącej atmosfery i ludzkiej wiary.

- To gdzie on mieszka?

- TJ - ciągnęła Paige. - Nie złość się z powodu czasu. Naprawdę mi zależy na złowieniu tego klienta.

- W porządku Paige, jesteś moją przyjaciółką. Nie ma sprawy.

- Cudowny z ciebie kumpel. - Rozluźniła dłonie na kierownicy.

Trochę go speszyła ta pochwała. Nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, że Paige jest jedyną kobietą na świecie, której nie traktuje jako potencjalnej kochanki, a w najlepszym razie jako towarzysza przy kolacji. Właściwie żadnej innej kobiety nie mógłby nawet nazwać koleżanką.

Popatrzył na jej kostium. Jak starannie zacierał wszelkie kobiece kształty; nawet guziki z masy perłowej przy jedwabnej bluzce przypominały bardziej gałki w drzwiach więzienia o zaostrozonym rygorze. TJ należał do mężczyzn, według których kobiece włosy są stworzone po to, żeby je pieścić, tymczasem krótka, surowa fryzura Paige nie wywoływała w jego palcach najmniejszego mrowienia. Makijaż, nawet tak delikatny, sprawiał, że wyglądała na więcej niż dwadzieścia osiem lat.

Wszystko to razem powodowało, że Paige nie działała na mężczyzn jak magnes. Co prawda przez jej życie przewinęło się kilku, ale TJ nie lubił żadne-

go z nich i wcale tego nie ukrywał. Zresztą wszyscy oni szybko znikali.

Prawdopodobnie przyjaźń z Paige była możliwa tylko dlatego, że po jedynej wspólnej nocy przeobraziła się ona w najmniej seksowną kobietę, jaką znał. Gdyby nie to, pewnie nic by z tego nie wyszło. Akceptował więc jej kostiumy, jej nieatrakcyjną fryzurę i nawet staromodną różową szminkę.

- W porządku, mniejsza o czas, tylko zaraz potem odwieziesz mnie z powrotem do biura. - Skinęła głową. - O rany, Paige, naprawdę się cieszę, że mogę to dla ciebie zrobić. Zwłaszcza po tej historii ze zjazdem absolwentów. Mam wyrzuty sumienia, że cię wystawiłem do wiatru. Kiedy to jest, w najbliższy weekend?

- Nie wiem, chyba tak - odparła, wzruszając nonszalancko ramionami. - Nie mam nawet pojęcia, gdzie podziałam zaproszenie.

Kłamczucha! Aż nos jej się wydłużył! Zaproszenie na zjazd absolwentów szkoły średniej w Sugar Mountain leżało w jej walizce w bagażniku.

- Nie mogę uwierzyć, że chce ci się wracać do tej dziury. Kompletna nuda.

- Chcę się spotkać z synem. Z Katherine i Zoe. Ty też masz tam rodzinę.

Milczenie.

- Ale najpierw muszę podpisać umowę z tym klientem. Jeśli będzie chciał załatwić wszystko w tym tygodniu i w weekend, wtedy zjazd odpada.

- To rozumiem, teraz słyszę moją Paige. Tygrysić z Wall Street.

- Z Alei Ameryk.

- Tygrysica z Alei Ameryk brzmi dużo gorzej.

Znowu zadzwonił telefon, lecz tym razem TJ go wyłączył. Rozluźnił krawat. W samochodzie było ciepło, przytulnie. Słońce bawiło się w chowanego z chmurami. Ciekawe, ile przyjemności może sprawić człowiekowi zwykłe ziewnięcie.

- Nie obrazisz się, jeśli na chwilę przymknę oczy?

Liczyła na to, że będzie zmęczony. Pracował tak dużo, że nauczył się zasypiać ledwie na kilka minut i budzić się uśmiechnięty i rześki. Wczoraj w nocy zaś prowadził telefoniczną konferencję z japońskim konsorcjum inwestycyjnym. Narada trwała dwie godziny, od drugiej do czwartej nad ranem - tak przynajmniej powiedziała jego sekretarka.

- Zdrzemnij się - zaproponowała Paige. - Chcesz, żebym wyłączyła muzykę?

- Wszystko jedno. - TJ wzruszył ramionami. - Podobają mi się, nawet bardzo. To jest...

Nie byłby sobą, gdyby nie wiedział, co jest grane, nieważne - rock, country czy muzyka poważna.

- Brahms - powiedziała, zerkając w jego stronę.

Zasnął z lekkim uśmiechem i wyrazem odprężenia na twarzy. Na podłogę sfrunęła różowa karteczka. Biała wykrochmalona koszula napinała się w rytm jego miarowego oddechu. W kącikach oczu zarysowały się delikatne kreszczki zmarszczek.

Kiedy przekraczali granicę Pensylwanii, zaczął siał deszcz. Paige miała przygotowany zapas sześciu puszek napoju z kofeiną, pełny bak benzyny, drobne na opłaty za autostradę i przed sobą ponad trzy tysiące kilometrów.

Wszystko zaplanowała z taką samą precyzją, z ja-

ką pracowała w kancelarii. Wybrała dzisiejszy dzień, ponieważ wiedziała o nocnej konferencji TJ i miała nadzieję, że szybko zaśnie w samochodzie. Wcześniej skorzystała ze swojego klucza do jego apartamentu i zabrała rzeczy, jakich potrzebował na tydzień - po co się zatrzymywać po golarkę czy szczoteczki do zębów? Potem u siebie w mieszkaniu spakowała do pudła wszystkie, z wyjątkiem jednego, kostiumy i po drodze zostawiła je w instytucji charytatywnej, gdzie rozdawano ubrania ludziom szukającym pracy. Wymieniła w samochodzie olej, sprawdziła ciśnienie w kołach i wyrysowała na mapie trasę, żeby później nie tracić czasu na pytanie o drogę.

Niestety, choć Paige oraz Państwowy Instytut Meteorologii przewidzieli burzę nad Virginią, nie spodziewali się, że kapryśne cumulonimbusy zбочą nagle z trasy i skręciwszy gwałtownie na wschód, spadną na południową Pensylwanię. Pojazdy na międzystanowej trasie 76 wlokły się w żółtym tempie. Ciężarówki i inne samochody zjeżdżały na pobocze, żeby przeczekać nawałnicę. Paige skręciła na trasę numer 222. Potrzebowała benzyny, kawy, jedzenia i łazienki.

- Paige - powiedział TJ po przebudzeniu.

- Co?

Odchrząknął.

- Gdzie jesteśmy? Powiedz prawdę.

Prawdę? Czy była już pora na prawdę?

- W Pensylwanii, w hrabstwie Lancaster.

Szum wycieraczek zagłuszył głośny głęboki wdech TJ. Paige wyteżała wzrok, żeby widzieć jeźdźnię poza granicą światła reflektorów. Przed wyjazdem dokładnie przestudiowała mapę - zjazd na tra-

sę 222 miał doprowadzić do bocznej drogi, przy której się skupiały motele i bary. Tymczasem przejechałi dwadzieścia kilometrów, a wokół nich nadal była tylko ciemność.

Zjechała na pobocze.

- Jak długo spałem?

- Cztery i pół godziny.

W świetle błyskawicy mignął blady zarys jego twarzy. Właściwie widać było na niej nie tyle złość, co zdumienie. Jeszcze raz odchrząknął.

- Nie ma żadnego klienta, prawda?

- Nie ma.

- Żadnego DuPonta, Rockefellera ani innego od-ludka z górą pieniędzy.

- Przykro mi.

- Lepiej mi powiedz, po co tu w takim razie je-stem?

- Chodzi o ten zjazd...

Zaklął, głośno i siarczyście. Otworzył drzwiczki. Do środka wtargnęła fala chłodnego powietrza i szum deszczu. TJ trzasnął drzwiami i znowu za-padła cisza. Trzymając się za głowę, chodził po mo-krej trawie na granicy kręgu światła. Paige opuściła szybę. Wolała nie wysiadać z samochodu. Nie chcia-ła, żeby nagle to on się znalazł za kierownicą.

Wychyliła głowę za okno. Deszcz lał rześisty i zimny, ale powietrze było rześkie.

- TJ, wracaj do samochodu.

W odpowiedzi znowu zaklął. Nie łubiła, jak klął, ale robił to na szczęście rzadziej niż większość gra-czy na nowojorskiej giełdzie. Najwyraźniej miał za-miar wyrobić dzisiaj całą miesięczną normę.

- Muszę się najpierw uspokoić - odkrzyknął i zaklął jeszcze trzykrotnie. - Jestem zły, Paige, po prostu gotuję się z wściekłości.

Wzruszyła ramionami i zamknęła okno. Może poczekać. Wyjęła atlas samochodowy i znalazłszy mapę Pensylwanii, próbowała dociec, gdzie się właściwie znaleźli.

Po chwili TJ wrócił do samochodu, wnosząc ze sobą zapach deszczu, trawy i błota. Ociekał wodą, ale ani myślał przeproszać. Paige zamknęła atlas. W samochodzie świeciła się tylko lampka przy lusterku.

- Paige, wysmażam właśnie wielomilionową transakcję z Japończykami, w Chicago przygotowuję fuzję SunOil, największą sprawę w moim życiu. Wszyscy moi klienci myślą, że będę jutro w biurze. I nie mam zamiaru ich rozczarować.

- Będziesz musiał.

- Co będę musiał?

- Rozczarować swoich klientów.

- O, nie. Ponieważ w tej chwili zawrócisz i zawieziesz mnie z powrotem na Manhattan.

Obmacał swoją marynarkę, potem stopami przeszukał podłogę przed siedzeniem, wreszcie zajrzał do schowka.

- Gdzie, do diabła, jest mój telefon?

- Wyrzuciłam go za okno pół godziny po wyjeździe z Nowego Jorku.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. To była lina ratunkowa łącząca go ze światem.

- Paige, właśnie rujnujesz mi życie.

Milczała.

- Odwieź mnie z powrotem.

- Nie.

- Złapię taksówkę.

- Jasne, czekają w kolejce.

Oboje spojrzeli na ciemną pustą drogę.

- No, dobrze, nie musisz się ze mną drażnić. Lepiej zawieź nas do najbliższej stacji benzynowej, restauracji, gdziekolwiek. Zadzwoń do sekretarki. Cholera, Paige, jesteś najrozsądniejszą i najbardziej zrównoważoną kobietą, jaką znam, ale przez ten zjazd zachowujesz się jak wariatka.

Paige uruchomiła silnik i wyjechała na drogę błyszczącą od deszczu.

- Mówiłem ci, że nie chcę tam jechać - ciągnął TJ. - Ty możesz. Pamiętaj tych wszystkich ludzi ze szkoły. Baw się dobrze. Po powrocie wszystko mi opowiesz. Ale mnie w to nie wciągaj.

Skręciła na żwirowy podjazd prowadzący do jakiegoś zajazdu. Było to sześć murowanych domków ustawionych w półkolu wokół asfaltowego parkingu i chłodziarki z lodem. W drewnianej chatce mieściło się biuro. Ledwie widoczny napis na wygaszonym szyldzie informował, że motel zapewnia w każdym pokoju telewizor, a czas wymeldowania upływa w południe. We wszystkich oknach było ciemno, nie paliły się również reflektory, które miały oświetlać drzwi do biura. W jednym tylko oknie drewnianej chaty migotało blade światło świecy.

- Co to jest? - spytał TJ.

- Motel.

- To widzę. Uważasz, że jest otwarty?

- Stoją jakieś samochody.

Przed drzwiami pięciu domków rzeczywiście parkowały pojazdy. Znak na jedynym wolnym miejscu informował, że jest ono zarezerwowane dla gości pokoju numer sześć.

- TJ, pamiętasz test na prawo?

Wzruszył ramionami.

- To ty go zdawałaś, nie ja.

- A pamiętasz, dlaczego?

- Bo nie można się dostać na prawo bez zdania tego egzaminu.

- Tak, ale kto wypełnił zgłoszenie, wysłał pieniądze i wyciągnął mnie z łóżka, żeby zawieźć na egzamin?

- Ja - odpowiedział bez cienia skruchy w głosie. - Wiedziałem, że będzie z ciebie świetny prawnik. I miałem rację.

- A pamiętasz może, w jaki sposób dostałam pracę u Greenougha?

- Byłaś na rozmowie kwalifikacyjnej.

- Bo zadzwoniłeś do Waltera Greenougha, który przypadkiem był ojcem dziewczyny, z którą się wtedy spotykałeś.

- Ja się spotykałem z jego córką? A tak, rzeczywiście, teraz sobie przypominam. Była całkiem miłutka, ale chciała zakładać rodzinę i mieć dzieci.

- Nie zmieniaj tematu. Załatwiłeś mi tę pracę. A pamiętasz, co powiedziałam, kiedy dostałam ofertę?

Chrząknął.

- No, nie.

- Właśnie. Powiedziałam: nie. Nie chciałam tam pracować. Ale ty mnie zagadałeś. Mówiłeś, że się będę rozmieniać na drobne, jeśli nie zdobędę praktyki w najważniejszym mieście w tym kraju.

- Bo to prawda.

- Kiedy po tygodniu twojego nagabywania poszłam do Greenougha, okazało się, że dostał już ode mnie list, napisany na mojej własnej papeterii, w którym przyjmowałam jego ofertę. Kto napisał ten list?

Nie mógł zaprzeczyć.

- Nie chciałem, żebyś przepuściła taką szansę.

- Zmierzam do tego, że odważyłeś się w życiu na kilka śmiałych posunięć, aby wymóc na mnie to, co ty uważałeś za słuszne. Teraz moja kolej.

- Ale ja to wszystko zrobiłem dla twojego dobra. To różnica.

Odpowiedział mu tylko szum wycieraczek.

- Zostań w samochodzie - mruknął TJ. - Zobaczę, czy mają tu telefon i pokoje dla dwóch osób. Przenocujemy tu. Jak się prześpisz, wróci ci rozum. Jeśli wyruszymy z samego rana, możemy być w moim biurze o dziewiątej.

Paige pobiegła za nim - trochę z obawy, że mógłby wynająć albo nawet kupić samochód, żeby tylko wrócić do miasta, a trochę dlatego, że się zwyczajnie bała zostać sama w tę ciemną noc. Wsunęła kluczyki do kieszeni żakietu.

Wnętrze biura oświetlały trzy długie świece i lampa naftowa. Za biurkiem siwowłosa mężczyzna w kombinezonie czytał gazetę.

- Dobry wieczór. Paskudnie tam na dworze, co? - stwierdził lakonicznie.

- O tak - przyznał TJ, zamykając drzwi za Paige. - Szukamy telefonu.

- Wyłączyli telefon, z godzinę temu.

- A nie ma pan komórkowego?

- Nie. Lubię mieć kable przy słuchawce.

TJ jęknął.

- A czy są wolne pokoje? - spytała Paige.

- Macie szczęście. Szóstka jest wolna. Apartament dla nowożeńców.

- Nie jesteśmy małżeństwem - powiedziała Paige.

- W takim razie będę wam musiał doliczyć pięć dolarów za nieuprawnione korzystanie z pokoju.

Miała wrażenie, że mrugnął do nich porozumiewawczo, ale może jej się zdawało, światło świec płatało figle.

- Nie rozumie pan. - Zadrzała z niepokoju, a może po prostu z zimna. - Potrzebujemy dwóch oddzielnych pokoi.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nic z tego. Albo apartament dla nowożeńców, albo nic.

- W porządku - przystał TJ, wyciągając z kieszeni portfel. - Niech będzie dla nowożeńców.

- Nie będziemy spać razem - powiedziała stanowczo.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy, Paige.

Ale jej tak. Kiedyś.

Kiedyś omal nie zniszczyli w ten sposób wspianą przyjaźni, która teraz znów wisiała na włosku i to wcale nie przez kłopoty z miejscem do spania.

Recepcjonista wskazał miejsce w księdze i TJ wpisał ich nazwiska: Paige Burleson i TJ Skylar. Po chwili wyłoniła się nowa trudność. Wyłączony telefon uniemożliwił weryfikację karty kredytowej TJ. Paige wyjęła gotówkę.

- Dziękuję pani. Macie tu coś na ząb, gdybyście w nocy zgłodnieli.

Rzucił na biurko paczkę ciastek i dwie puszki toniku. Zdmuchnął świece i podał je Paige. Biorąc od recepcjonisty klucze do pokoju, TJ strzepnął krople wody z kłapy marynarki.

- Piekielnie przystojna babka - zauważył mężczyzna. - Wiesz co, synu, na twoim miejscu przede wszystkim bym ją osuszył i dobrze przemyślał sprawę tego spania. Zwłaszcza w taką straszną noc jak ta.

3

TJ otworzył drzwi do pokoju numer sześć i odruchowo nacisnął kontakt. Oczywiście bez efektu. W pokoju nadal panowała ciemność i unosił się charakterystyczny zapach środków czystości. Po omacku wszedł do środka, wyciągniętą ręką szukając stołu albo biurka. Postawił świece i wygrzebał z kieszeni zapalniczkę.

Kiedy trzy świece wetknięte w szklaną popielniczkę paliły się już równym płomieniem, zdjął przemoczoną marynarkę i zlustrował pomieszczenie.

Na honorowym miejscu stało łóżko. Początkowo wziął je za pojedyncze i dopiero po chwili uprzytomnił sobie pomyłkę. Był przyzwyczajony do ogromnych materaców, zajmujących mnóstwo miejsca i to podwójne łóżko wydało mu się wyjątkowo wąskie. Narzuta wyglądała tak, jakby usiana była pluskwami, po bliższych oględzinach jednak robaki okazały się czerwonymi serduszkami naszytymi na białym płótnie.

„Milusio” - pomyślał z rezygnacją.

Dwukrotnie pstryknął włącznik lampki na stole, zanim sobie przypomniał, że przecież wyłączono prąd. Na telewizorze ustawionym tak, aby go można było oglądać z łóżka, stał pusty kubek na lód,

butelka taniego szampana i dwa plastikowe kieliszki związane białą wstążką.

W malutkim pokoiku mieściło się tylko jedno krzesło. Był to mebel wyściełany blad różowym obiciem, z rachitycznymi nogami i poduszką ozdobioną haftowanym napisem: „Szczęście to małżeństwo przyjaciół”.

Pulsowanie u nasady nosa zwiastowało zbliżający się ból głowy.

Paige cichutko zamknęła za sobą drzwi.

- Paige, nie powiem, żebym był uszczęśliwiony.

- Wiem o tym.

Rzucił się na łóżko. Utknął gdzieś na kompletnym pustkowiu - niby w Pensylwanii, ale biorąc pod uwagę brak telefonu, faksu, internetu i prądu, wychodziło na to samo - i tracił właśnie konferencję telefoniczną z Japończykami, którzy wyglądali na bardzo obiecujących klientów. Teraz prawdopodobnie uznają go za niesolidnego, lekkomyślnego i w ogóle nieodpowiedniego partnera do interesów. Do tego europejskie giełdy otwierają się za - podświetlił tarczę zegarka - za godzinę, a on nie ma pojęcia, czy akcje idą w górę, spadają, czy stoją w miejscu.

A mógłby teraz siedzieć w swoim apartamencie na Central Park West w suchych spodniach khaki i mięciutkim podkoszulku. Miałby przed sobą komputer, włączony głośnik telefonu i spokojnie załatwiał interesy. A przede wszystkim nie martwiłby się o Paige.

Przestał się już złościć. Po prostu straciła głowę. Widać nie wytrzymała stresu i obaw związanych z perspektywą partnerstwa w firmie.

Obserwował ją uważnie. Wyszła na środek pokoju i podeszła do obrazka przedstawiającego parę objętą pod baldachimem, który podtrzymywały plastikowe aniołki. Przyjrzała mu się i wzruszyła ramionami.

Nie wyglądała na wariatkę, ale to bez wątpienia musiało być załamanie nerwowe.

TJ przypomniał sobie kolegę z amatorskiej drużyny koszykarskiej. Znał go od lat. Kiedyś ów facet tak się przejął propozycją awansu na wspólnika w swojej firmie prawniczej, że się po prostu załamał. W ciągu tygodnia miał sześć poważnych napadów stanów lękowych. Sześć razy dzwonił do TJ, mówiąc, że musi natychmiast jechać do szpitala, bo ma właśnie atak serca. Rzecz jasna z jego sercem było wszystko w porządku. Odsyłano go ze szpitala do domu, wyczerpanego i zawstydzonego. Nakazywano mu odpoczynek i ewentualne ćwiczenia relaksacyjne. Czy TJ się na niego wściekał? Skąd. Po szóstym ataku znalazł mu najlepszego psychiatrę na Manhattanie. A kiedy jego kumpel został 'wreszcie' wspólnikiem, wydał dla niego przyjęcie w klubie sportowym.

Nadal miał w notesie telefon do tego psychiatry, ale w wypadku Paige to nie wchodziło w grę. Godzinna sesja na leżance z facetem wypytującym ją, co czuje? Po minucie prawdopodobnie podniosłaby się z kanapki i sama wzięła lekarza na spytki.

Gdyby TJ miał teraz telefon, z miejsca zadzwoniłby do Waltera Greenougha i błagał szanowanego prawnika o przyspieszenie decyzji w sprawie spółnictwa. Niestety w obecnej sytuacji pozostało mu

tylko namówić Paige, żeby się położyła spać i czuwać, czy nie planuje następnych zwariowanych wybryków. To była jedyna osoba, z którą jego przyjaźń przetrwała tyle lat. Już on ją z tego wydobędzie.

Nawet przez moment nie zaświtało mu w głowie, żeby pojechać z nią na ten zjazd absolwentów.

Poruszył palcami w bucie. Dopiero teraz poczuł zimno.

Paige zaciągnęła białe zasłony, odgradzając ich od wiatru i deszczu, a następnie wręczyła mu jego 'własną torbę podróżną.

- Masz tu suche ubrania.

TJ spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Zapakowałaś moje rzeczy?

- Jasne - odparła. - Wzięłam twoje ulubione dżinisy, kilka podkoszulków, tę bluzę z Harvardu i skarpetki. Musiały ci strasznie zmarznąć stopy. Idź się przebrać. W torbie są też twoje trapezy, ale pewnie nie zechcesz ich włożyć.

- Czy to znaczy, że ty całą tę wyprawę zaplanowałaś?

- Oczywiście. Planowałam ją od czasu, kiedy powiedziałaś, że prędzej na Times Square będą hodować kukurydzę, niż ty wrócisz do Sugar Mountain.

Pokręcił głową, patrząc z osłupieniem, jak Paige otwiera swój worek żeglarski i wyjmuje flanelową piżamę, szczoteczkę do zębów i kaptur z króliczkiem - te same, które nosiła zawsze, gdy pracowała w domu - u siebie lub u niego.

- A teraz, jeśli się nie wybierasz do łazienki, zaklepuję ją dla siebie. - I zostawiła go wpatrzonego w swoją torbę podróżną.

Pomyślała o wszystkim: o ubraniach, przyborach toaletowych i nawet o najnowszej książce Toma Wolfe'a, którą dostał w zeszłym roku na gwiazdkę i *na we i*. nie zdążył jej dotąd otworzyć. A może to było dwa lata temu?

Na krześle leżało zaproszenie, to samo, które przedarł na pół, kiedy je wyjął ze skrzynki.

W najbliższy weekend w Sugar Mountain odbędzie się parada ze specjalną platformą dla byłych i obecnych członków szkolnej drużyny futbolowej. Żadna siła nie zmusi go do wejścia tam po raz drugi. Kiedy był w szkole, ścierpiął to tylko dlatego, że trener Scandaglia zagroził mu przeniesieniem do składu rezerwowego.

Będzie także koktajl, na którym dzieci ze szkoły podstawowej zaśpiewają szkolne piosenki - tra la la Sugar Mountain, tra la la. Nie pamiętał słów hymnu, pamiętał tylko, że były głupie. Aż się wierzyć nie chciało, że mógł kiedyś brać udział w takich właśnie uroczystościach organizowanych dla poprzednich absolwentów. Ponieważ zawsze był najwyższy, kazano mu stać na końcu i śpiewać tak cicho, żeby nawet psy nie słyszały.

Będzie wielkie przyjęcie. Ich klasa skończyła szkołę dziesięć lat temu, ale Sugar Mountain było tak małe, że wszystkie roczniki mieściły się w szkolnej sali gimnastycznej. Potem burmistrz zaprasza wszystkich do swojego baru na drinka przy muzyce - czymś w rodzaju country funky - w jego wykonaniu na trąbce.

Piątek, sobota, niedziela. Gdyby tam pojechał, do pracy mógłby wrócić dopiero w poniedziałek - i to w *najlepszym wypadku*.

Tydzień poza biurem z powodu zjazdu absolwentów? Jeszcze nigdy nie wyjechał z Nowego Jorku na tak długo i nadal nie zamierzał. Zresztą nie mógł, jeśli chciał zakończyć transakcję z Japończykami, a za dwa dni być w Chicago na sfinalizowaniu fuzji SunOil.

Tylko co zrobić, jeśli Paige się uprze? Żadne prawo nie zakazywało jeździć na zjazdy absolwentów... z wyjątkiem sprzeciwu wobec głupoty. Dotąd zawsze udawało mu się ją przekonać do tego, co uważał za słuszne, ale skoro tak jej na tym zależy... Niech sobie jedzie. Ale TJ Skylar wracający do Sugar Mountain?

- Nie ma mowy - powiedział na głos.

- Co mówiłeś?

Paige wyszła z łazienki. Miała na sobie luźną piżamę i kapcie. Włosy mokre od deszczu zaczesła gładko za uszy, a usta pozbawione szminki były zaskakująco blade.

- Nic takiego - powiedział.

Nagle go olśniło.

- Paige, czy to ma jakiś związek z twoim zegarem biologicznym?

- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.

- Mówię serio, czytałem o tym artykuł w jakimś czasopiśmie, które leżało u mojej sekretarki. Masz dwadzieścia osiem lat. Myślisz o dzieciach. Ciągnie cię na ten zjazd, bo chcesz, żeby znowu coś zaiskrzyło. Nigdy nie myślałem, że możesz mieć jakieś... wiedziałem, że Teddy jest synem Kate, no i zdawało mi się, że tobie jest przykro, bo chciałybyś mieć własnego syna... - Pod miazdzącym spojrzeniem Paige słowa zamarły mu na ustach.

- Cała twoja 'wiedza o kobietach nie wypełniłaby

nawet filizanki. Dlatego właśnie ciągle ci muszę dawać rady.

- Wiem, jak postępować z kobietami.

- To czemu żadna nie wytrzymała z tobą dłużej niż kilka miesięcy?

TJ podniósł głowę w postawie obronnej.

< - Każda z nich chętnie wyszłaby za mnie za męża. Kilka nawet proponowało mi małżeństwo i starałem się być naprawdę delikatny, kiedy odrzucałem oświadczenia. Wyobrażam sobie, że to musi być cholernie trudne dla kobiety zebrać się na odwagę i zaproponować mężczyźnie małżeństwo. Mylisz się, siostrzyczko, to ty za-
^ jze potrzebujesz mojej rady na temat mężczyzn.

- Twoje rady sprowadzają się do stwierdzenia „to palant”, i to za każdym razem, kiedy się facet ze mną umówi więcej niż raz.

- Nic nie poradzę, że masz pecha do mężczyzn.

- I to twoje zbawienne: „może byś sobie zamówiła jakąś bieliznę z katalogu”.

- Miałabyś większą szansę na drugą randkę z porządnym facetem, gdybyś była trochę mniej... służbowa w doborze bielizny.

- Dlaczego facet na pierwszej randce ma oglądać moją bieliznę?

- No dobrze, masz rację.

- Poza tym, kiedyż to widziałeś moją bieliznę?

- Nie widziałem.

- No właśnie.

Paige wrzuciła zwinięte ubrania do kosza na śmieci.

- Ale czasami mnie kusiło - powiedział cicho TJ.

- Nieprawda, ale miło, że to powiedziałeś.

W pokoju paliła się tylko jedna świeca, mimo to

TJ nie mógł nie zauważyć kostiumu i jedwabnej bluzki wrzuconych do kosza.

- Nie powiesz tego na wieszaku?
- Nie będę już ich potrzebować.
- Owszem, będziesz, za tydzień.
- No dobrze.

Wyjęła z kosza kostium, jedwabną bluzkę z guzikami z masy perłowej oraz pantofle i złożyła wszystko starannie na stoliku.

- Tak lepiej - powiedział TJ. - Już się przestraszyłem, że nie masz zamiaru wracać do Nowego Jorku. W tej samej chwili przewiesiłbym cię przez ramię i jeszcze dziś w nocy zaniósł tam na piechotę.

- Jakie to szczęście, że uda mi się przespać.

Poszedł do łazienki. Przebrał się w dżinsy i podkoszulek. Po osuszeniu włosów i umyciu zębów poczuł się właściwie wypoczęty. W samochodzie spał dłużej, niż zwykle sobie na to pozwalał. Od kilku godzin nie słyszał dzwonka telefonu ani burczenia faksu, a sygnał poczty elektronicznej informujący, że nadeszła nowa wiadomość, był teraz odległym wspomnieniem.

Wychodząc z łazienki, wziął ze sobą świecę. Paige siedziała na środku łóżka i jadła ciastka.

- Posuń się - powiedział.
- Nie - odparła.

Spojrzał na podłogę. Nawet przy tym marnym oświetleniu widać było, że dywan nie należał bynajmniej do puszystych i miękkich.

- Nie powinniśmy spać razem - stwierdziła Paige.
- To gdzie ja się mam położyć?
- Na podłodze.

- Daj spokój, jesteśmy dorośli, możemy spać w jednym łóżku.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Paige, ja mam dziewczynę.

Skrzywiła się.

- Wiem, że nie lubisz Shawny, ale ona jest bardzo miła.

- To dlaczego nie jesteście razem?

- Ponieważ... właściwie nie wiem.

- Przecież ona ma tyle zalet. Duży biust, blond włosy, duży biust, osobowość kociaka, poza tym duży biust, no i ojca, który jest właścicielem największej rafinerii w Ameryce. Aha, czy wspomniałam o dużym biuście?

TJ westchnął.

- No dobrze, ale twoje romanse nie układają się dużo lepiej. Myślałem o tym, co mówiłaś. Nie twierdziłem, że każdy mężczyzna, z którym się spotykałaś, to palant. Jeśli pamiętasz, sam cię nawet trzykrotnie umawiałem ze wspianymi facetami.

- Chciałeś powiedzieć safandułami - sprostowała Paige. - Aroganckimi safandułami.

- Skoro tak, to jakim cudem każdy z nich ożenił się z następną kobietą, jaką poznał?

- No cóż, w Nowym Jorku jest tak mało mężczyzn, którzy pracują, nie wykazują odchylen i nie siedzieli w więzieniu - zauważyła Paige, strzepując z łóżka okruchy - że każda niedojda z kartą kredytową i krawatem uważa się za donżuana.

TJ spojrział na podłogę, gdzie Paige rozłożyła różowy wełniany koc i białą poduszkę z wyhaftowanym napisem „Pan młody”.

- Pozwól mi chociaż siedzieć na łóżku. Będę trzymał nogi na podłodze, jeśli ci to poprawi samopoczucie. I tak nie zmrużę oka.

- W takim razie możesz siedzieć tam - wskazała na krzesło, które robiło wrażenie wyjątkowo niewygodnego.

„Szczęście to małżeństwo przyjaciół”.

- Każesz mi spać na podłodze, bo powiedziałem, że miałem ochotę się z tobą kochać? W takim razie to cofam. Nigdy nie miałem ochoty iść z tobą do łóżka. To znaczy, od tamtego... no wiesz.

- Wiem, że nie miałeś, a przynajmniej nigdy tego po sobie nie pokazałeś. Mimo to śpisz na podłodze.

Skrzywił się.

- Właściciele tego motelu musieli się bardzo starać, żeby w pokoju dla nowożeńców jedynym wygodnym miejscem było łóżko.

- Odwalili kawał dobrej roboty, nie sądzisz? - zauważyła Paige, przeciągając się niczym zadowolony kot.

- Sądziłem, że nasze stosunki opierają się na całkowitym równouprawnieniu. Żadnych przesądów, żadnego gadania o rolach płci i tak dalej. Po prostu kumple. Dlaczego nie możemy zagrać w orła i reszkę?

- Ponieważ mimo wszystko jestem kobietą - stwierdziła Paige. Wrzuciła do ust ostatnie ciastko i zgmiotła opakowanie. - Kolorowych snów, TJ.

- Jeszcze jedno, Paige. Jutro wracamy do Nowego Jorku.

- Czyżby jeździł tu jakiś autobus?

- Nie wiem. Pojedziemy twoim samochodem.

- Na to nie licz.

Uklękła i lekko uniosła bluzę od pizamy, odsłaniając mlecznobiały brzuch i srebrny łańcuszek wokół talii. Na nim wisiały kluczyki do samochodu.

- Dobranoc. - Opuściła pizamę i rozciągnąwszy się ostentacyjnie po przekątnej, naciągnęła kołdrę na głowę.

TJ czekał chwilę w nadziei, że się namyśli i w końcu posłucha głosu rozsądku. Jak zawsze. Nie może przecież zasnąć, wiedząc, że jest mu niewygodnie i że wystarczy jedno jej słowo, żeby to zmienić.

Czyżby jednak mogła?

4

Usiadł na krześle. Mebel zaprotestował głośnym skrzypnięciem. Podniósł słuchawkę - tak na wszelki wypadek. Telefon nadal był głuchy. Pochylił się nad stołem, ale świece dawały za mało światła, żeby mógł przeczytać broszurę „Witamy w hrabstwie Lancaster”, a tym bardziej raport swojego praktykanta o rozwoju rynku tworzyw sztucznych w Tajlandii. Musiałby zresztą wyjść na deszcz, żeby przynieść z samochodu swoją aktówkę. Podszedł do okna i uchylił zasłonę. Nadal paskudnie lalo. Zresztą, jak on to sobie właściwie wyobrażał? Przecież nie miał kluczyków do samochodu. Spojrzał na łóżko. Kluczyki wisiały na łańcuszku obejmującym jej talię... Była taka szczupła... miała taki płaski brzuch. Jej ciało pachniało wanilią. Skóra nigdy nie tknięta słońcem, jasna jak lilia i delikatna jak...

„Przestań wymyślać takie rzeczy” - powiedział do siebie na głos. Kiedy ostatnio poszli do łóżka, omal nie zniszczyli wspianiałej przyjaźni. Nigdy więcej - obiecali sobie zgodnie. I ich przyjaźń przetrwała lata. Był tym nawet zdziwiony, bo tak naprawdę nie wierzył w przyjaźń między kobietą a mężczyzną.

Nie pamiętał pierwszej dziewczyny, z którą się spotykał po studiach - ani jak miała na imię, ani

gdzie pracowała, czy była wysoka, czy niska. Podobnie było ze wszystkimi następnymi kobietami - zostawało po nich mgliste, nieokreślone wspomnienie. Natomiast zawsze w głębi duszy wiedział, że ma przyjaciółkę, na którą może liczyć w każdej sytuacji. I ona też mogła na niego liczyć. Nawet kiedy się zachowywała wyjątkowo dziwnie, jak na przykład w sprawie tego zjazdu.

- Wiesz, Paige, tak naprawdę wcale się nie spotykam z tyloma kobietami, jak to sobie wyobrażasz. Albo jak się zdaje temu plotkarzowi z „New York Post” - powiedział, poprawiając się na krześle, aż mebel jęknął pod jego ciężarem. - W ogóle ostatnio jakby znudziły mnie kobiety. Czy to nie dziwne? A może po prostu jestem nimi zmęczony. Zastanawiałem się nawet, czy to nie ma jakiegoś medycznego podłoża albo psychologicznego. Czuję, że powinienem być szczęśliwszy, przecież tyle pracy włożyłem w to, żeby odnieść sukces. Bo uważam, że odniosłem sukces. No nie?

Pochylił się nad łóżkiem, nasłuchując jakiejś przerwy lub nierówności w rytmicznym oddechu Paige.

- Wiem, że mnie nie słyszysz - powiedział i skorzystał z okazji, żeby ostrożnie przycupnąć na łóżku. - Ale wiesz, co? Świetna z ciebie przyjaciółka nawet, kiedy śpisz. Postaram się za bardzo nie złościć za to porwanie, co nie znaczy, że pojedę do Sugar Mountain. Widzisz, Shawna wbiła sobie do głowy, że jeśli facetowi zbrzydni kawalerstwo, to jest na to tylko jeden sposób - małżeństwo. Kłopot w tym, że ja nigdy w życiu nie byłem zakochany - tak ślepo, bez pamięci, tak żeby z miłości stracić głowę. Ty

też nie, prawda? Bo ten Francuz się chyba nie liczy. Byłaś zadurzona, a on... on po prostu potrzebował zielonej karty. A poza tym, naprawdę zajmujesz całe łóżko.

Jakby na potwierdzenie jego słów Paige przeturlała się po materacu.

Mógłby się spróbować skulić na tym skrawku nie zajęтым przez jej długie nogi i piękne ciało... Ale nie, po co szukać kłopotów.

Ostrożnie zszedł z łóżka, zdmuchnął świece i ciężko usiadł na swoim pościeliu. Dywan był sztywny i drapiący, a poduszka twarda. Miał wrażenie, że każda nitka ze słów „Pan młody” dosłownie wierci mu dziurę w głowie.

Nie będzie, rzecz jasna, spal. W końcu miał za sobą pięć godzin nieprzerwanej drzemki. Przyjdzie mu przesiedzieć po ciemku całą noc przy odgłosach deszczu i znajomym, delikatnym zapachu wanilii, zapachu jego najbliższej przyjaciółki.

Na pewno nie zaśnie.

To będzie długa noc. Bardzo... bardzo... długa... noc. I bardzo... bardzo... długi... welon.

Zbliżająca się kobieta miała na sobie biały pienisty welon, białą suknię z wyhaftowanymi kwiatami... albo z guzikami. A może to były ziarna popcornu zdobiące głęboki dekolt? Niosła w ręku bukiet kwiatów. Albo jabłek. Albo watę cukrową.

Zauważył, że on sam ma na sobie smoking, a białe wydęte kontury jego snu przeobrażają się w kościół. To, co trzymała kobieta, to były jednak kwiaty. Nad ołtarzem wisiał transparent z napisem: „Szczęście to małżeństwo...”

To był jego ślub! Ciekawe, kim jest panna młoda? Trochę się niepokoił, bo obok niego stał ojciec Shawny, prezes SunOil, uśmiechnięty od ucha do ucha, a przecież panną młodą mogła nie być Shawna. Spotykał się przecież z tą włoską modelką, jeśli tylko pozwalał jej na to napięty terminarz. Była jeszcze dziewczyna z rynku transakcji terminowych - nigdy jej nie przeszkadzało, że w ich związku nie obowiązują żadne terminy, ale... o rany - czyżby ją poprosił o rękę?

Gdzie jest Paige? Ona by mu powiedziała, z kim się żeni. Poza tym, jak mógłby wziąć ślub bez swojej najbliższej przyjaciółki? Powinna być jego drużbą... czy raczej druhną.

Rozejrzał się po kościele. Zobaczył kolegów ze szkoły, klientów, sprzedawcę z bufetu, sekretarkę, kierownika działu korespondencji i kilku wykładowców z uczelni. Nigdzie jednak nie było ani śladu Paige.

Widocznie się spóźnia. Spóźnia się na jego ślub! A zawsze można było na niej polegać. Rozzłościł się.

Próbował powiedzieć pastorowi, że nie mogą zacząć bez Paige, ale muzyka była za głośna.

Wyciągnął rękę, żeby odsłonić twarz kobiety w welonie. Chyba nie będzie miała mu za złe, że chce sprawdzić, kim jest jego narzeczona, skoro Paige nie mogła mu pomóc.

- Przenieś spotkanie z dziesiątej na przyszły tydzień, powiedz, że miałem pilny telefon i musiałem wyjechać z miasta. Poproś Charliego, żeby poprowadził zebranie o wpół do jedenastej; nie jest aż tak zajęty, poza tym wystarczy, jak zrobi notatki. Po-

wiedz też Fritzowi, żeby zabrał Szwajcarów z jedenastej na lunch, on chyba zna niemiecki. Zdaje się, że oni są z niemieckojęzycznego rejonu kraju. Jeśli tak, to niech się nimi zajmie. I w razie czego przetrzymaj tych z drugiej, ale do tej pory powinienem już wrócić. Gdzie jestem?

TJ rozsunął zasłony i popatrzył za okno, na pustą przestrzeń, jeśli nie liczyć zielonych pól, dwupasmowej szosy i kwartetu krów. Krowy przeżuwały, gapiąc się bezmyślnie przed siebie. Czy nie miały dość rozumu, żeby zejść z drogi? No i wiatraki. Naliczył chyba sześć wiatraków. I ani jednej anteny satelitarnej.

' - Jestem w Pensylwanii, gdzieś gdzie nie sięga cywilizacja. Przywiozę ci śniegową kulę.

Paige otworzyła oczy i przeciągnęła się. Przez duże okno do pokoju wlewało się jaskrawe światło. Z dworu dochodził odgłos sprzeczki. Jakaś rodzina pakowała bagaże do samochodu kombi. Słysząc było baryton ojca, niecierpliwe ponaglenia matki i piskliwy trójgłos małych krzykaczy. Przy stoliku TJ potrząsał głową, wysłuchując kolejnych piętnastu czy dwudziestu pilnych spraw, wymagających jego natychmiastowej interwencji.

- Powiedz swojej sekretarce, że będziesz w przyszłym tygodniu, w poniedziałek.

Paige ziewnęła i przeturlała się na brzuch. Obejrzała się. TJ patrzył na nią ze współczuciem. Uważa, że postradała zmysły. Kto wie, może ma trochę racji. Wydaje mu się, że potrzebuje jego pomocy. Może to też prawda. Tak czy inaczej ma już dosyć karkołomnej gonitwy, rywalizacji, grubiaństwa, hałasu, smrodu, dosyć tego miasta i tego, tak zwanego, życia!

Nie chce dłużej trwać w cieniu TJ. Poszła za nim na Harvard, spędziła trzy lata na prawie, w gmachu naprzeciwko jego wydziału zarządzania. Kiedy on dostał pracę na Wall Street, ona przyjęła ofertę firmy Greenough, Challenger & Redmond. Kiedy kupił domek letniskowy na Long Island, spędzała tam każdy letni weekend, jeśli tylko miała pracę, którą się dało zabrać na plażę. Byli czymś więcej niż kochankami. Tak sobie przynajmniej powtarzali.

TJ uważał, że to wystarcza - mieszkać w Nowym Jorku, żyć w pogoni za dolarem, odmierzać dni osiągniętym zyskiem. No więc nie, to wcale nie wystarczało. I skoro tak czy inaczej ona opuszcza Nowy Jork, zrobi to, czego TJ potrzebował najbardziej na świecie, a co może dla niego zrobić tylko prawdziwy przyjaciel. Zabierze go do domu. Może wtedy coś zrozumie. Może się opamięta. Przekona się, że ona jest potrzebna swojej rodzinie.

Poza tym obiecała jego matce, że go ze sobą przywiezie. A obietnice złożone matce są święte.

- Robię, co mogę, żeby wrócić do biura - powiedział TJ do słuchawki. - Zadzwoń do ciebie, gdybym się miał spóźnić na spotkanie o drugiej.

Wstała z łóżka i leniwie podeszła do okna. Patrzyła, jak kłótniwa rodzinka wsiada do samochodu i rusza z piskiem opon, a po chwili skręca gwałtownie, żeby ominąć niewzruszone krowy. Obejrzała się na TJ. Patrzył na nią, kiwając głową do słuchawki, jakby sekretarka mogła słyszeć jego kiwnięcia.

Poszła do łazienki. Ochlapała twarz zimną wodą i spojrzała w lustro. Ze zdziwieniem stwierdziła, że surowa zmarszczka między brwiami, objaw codzien-

nego napięcia, znikła. Ani śladu bruzdy na czole czy grymasu na ściągniętych ustach. Jej wargi były pełne i różowe. Potarła je palcem - i nie popękane od ciągłego nerwowego przygryzania.

Tylko zapakować do słoiczka i sprzedawać jako przepis na eliksir młodości: „Opuścić Nowy Jork. Rzucić pracę. Przestać pędzić na złamanie karku”.

Włożyła džinsy i krótką białą bluzeczkę bez rękawów. O ileż wygodniej niż w rajstopach! A różnica pomiędzy adidasami a szpilekami? Szkoda gadać!

Kiedy wyszła z łazienki, TJ czekał już ze spakowaną torbą. Dobrze chociaż, że nie założył garnituru. Teraz czekało ją najtrudniejsze zadanie - zmusić go, żeby usiadł i posłuchał, co mu ma do powiedzenia.

- Chodźmy gdzieś na kawę - powiedziała.

TJ wlepił w nią wzrok.

- Nie założysz czegoś na wierzch?

Paige spojrzała po sobie. Stare, rzadko noszone džinsy trochę się opinały na jej zaokrąglonych biodrach - w końcu jako dziewiętnastolatka miała figurę niby ołówkę - ale to nie džinsy wprawiły go w takie osłupienie. Nie, jego rozszerzone oczy wpatrywały się w bluzeczkę z dekoltem ozdobionym drobnymi kwiatkami.

Fakt, bluzeczka była skąpa, ale ramiączka zasłaniały paski stanika, a choć strój istotnie był nieco odważniejszy, niż pozwalała sobie na to w biurze, a nawet w ogóle w Nowym Jorku, to w końcu nie była w biurze ani w Nowym Jorku. I co więcej, wcale nie miała zamiaru tam wracać. Nigdy. Mogła się więc ubierać, jak jej się podobało, a to znaczyło: rajstopy? - nigdy więcej. Kostium? - nie w tym wcielę-

niu. Wysokie obcasy - nie na tych nogach! I jeśli miała ochotę w gorący letni dzień włożyć bluzeczkę bez rękawków, to będzie ją nosiła. Nawet jeśli będzie musiała zostać prezesem w banku ojca. Od tej chwili jedyne, co ją obowiązuje w kwestii ubrania, to swoboda. Gdyby jej się udało przekonać TJ, mógłby wywalić te wszystkie kosztowne angielskie garnitury do kosza.

- Miewałeś dziewczyny, na których całą garderobę zużyto mniej materiału, niż ja mam teraz na sobie.

- Tak, ale to były „dziewczyny”.

- Mniejsza z tym - ucięła. - Chodźmy do baru po drugiej stronie ulicy. Napijemy się kawy i porozmawiamy rozsądnie. O zjeździe.

TJ wziął ze stolika jej jedwabną bluzkę i wcisnął sobie w tylną kieszeń dżinsów. Kremowe rękawy zwisały mu do kolan.

Uchwycił jej krytyczne spojrzenie rzucone przez ramię i poczuł dziwny niepokój - jakby dziewczyna z okładki mrugnęła do niego zachęcająco.

5

- Po co to ze sobą ciagniesz? - spytała, patrząc jak rękawy jedwabnej bluzki płaczą mu się wokół nóg.

- Możesz zmarznąć.

- TJ, jesteś moim kumplem, nie zachowuj się jak jakiś zatabaczony neandertalczyk.

Jasne, tylko czemu tak się właśnie czułeś?

Parking przed motelem był pusty, w barze minął już poranny ruch. Przy kawie siedzieli jeszcze czterej mężczyźni w identycznych kombinezonach. Różniły ich tylko czapki z logo firm produkujących paszę dla zwierząt. Między stolikami krzątała się kelnerka w różowej sukience i białym fartuszkuz falbankami.

Kiedy Paige i TJ weszli do baru, mężczyźni na moment podnieśli wzrok, po czym natychmiast wrócili do swojej p jawędki. Kelnerka ledwie rzuciła okiem znad plastikowego kubła, do którego zbierała naczynia. Nikt się nie zgorszył nagimi ramionami Paige ani jej wydekoltowaną bluzką. Nikt nie omdlewał od zapachu wanilii unoszącego się wokół jej ciała, żadna głowa nie obejrzała się za krągłymi biodrami, kołyszącymi się miarowo przy każdym kroku.

Usiedli przy barze. TJ rozglądał się na boki, choć sam dobrze nie wiedział dlaczego. Przez okienko do

kuchni obserwowali, jak krzepki kucharz leniwie skrobie łąpatką ruszt. Śpiewał przy tym niemiecką pieśń, przeciągając niskie tony, a przy wysokich nadając głosowi wibracje. Nawet nie spojrzał na nowych klientów. Mimo to TJ gotów był w każdej chwili zgromić go gniewnym wzrokiem.

Paige wyjęła z kieszeni stoper.

- Po co ci to?

- Pięć minut. Chcę, żebyś mnie wysłuchał przez pięć minut, bez przerywania.

- Paige, ja ci nigdy nie przerywam.

- To dlatego, że zawsze przestaję mówić, kiedy ty zaczynasz.

- Nie wiedziałem o tym.

- Kawy? - zapytała kelnerka. Napełniła filiżanki i rzuciła im dwie karty dań. TJ podziękował skinieniem głowy. Do tej pory, kiedy ktoś twierdził, że jest do niczego, póki nie wypije pierwszej porannej kawy, TJ uważał, że to po prostu wymówki. Tymczasem wystarczyła jedna noc, żeby na własnej skórze poczuł, co to znaczy.

Wypił duszkiem pół filiżanki, rozkoszując się gorącym i odprężającym uczuciem rozchodzącym się po całym ciele.

- Na razie to wszystko. Potrzebujemy kilku minut - powiedziała do niej Paige.

- Proszę bardzo. Nie ma pośpiechu. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Mam stoliki do sprzątnięcia.

- Czy dostanę czas na replikę? - spytał TJ, czując nawrót pewności siebie.

- Możesz dostać swoje pięć minut, kiedy skończę.

Nabrała powietrza. Głęboki dekolt podkreślił

piersi unoszące się w głębokim wdechu. TJ zerknął na mężczyzn przy oknie, lecz ci byli bez reszty pochłonięci kwestią zalet poszczególnych pasz zbożowych. Nie zwracali najmniejszej uwagi na Paige.

- Zbyt ciężko pracujemy. Właściwie nie prowadzimy żadnego życia poza biurem... TJ, na co się tak gapisz?

TJ spojrział na nią ze skruchą.

- No dobrze, daj mi to - powiedziała.

Wyszarpnął z kieszeni jedwabny materiał.

- Zacznę od początku - powiedziała Paige, włożywszy bluzkę.

Popatrzył jej w oczy koloru zielonych jabłek. Pokaz się skończył.

- Nie rozumiem cię, przecież co roku latem widzisz mnie w kostiumie kąpielowym.

- Tak, a ty co roku kupujesz taki sam: czarny i zakrywający wszystko, co może zakrywać kostium kąpielowy, żeby nie zaczął już być kostiumem wizytowym. Poza tym zawsze mam wtedy pod bokiem jakąś dziewczynę, której się mogę przyglądać.

- Bo większość twoich dziewczyn gustuje w bikini składającym się z samych sznureczków - dokończyła jego myśl Paige. - A skape bikini wyczerpuje cały zasób twojej uwagi.

TJ poprawił jej ramiączko koszulki, spod którego wysunął się pasek biustonosza. Czarny. Dziwnie go poruszył fakt, że Paige nosiła czarną bieliznę. Oparł łokcie na kontuarze i wlepił wzrok w filiżankę z kawą.

- To wcale nie jest takie dobre - podsumował, zaciskając szczęki.

- Co? To, że jestem kobietą?

- Nie, to że wyglądasz inaczej. Będziesz przyciągać uwagę. Mówię ci to jako przyjaciel

- Masz na myśli uwagę mężczyzn? I cóż w tym takiego złego?

- To, że w takim stroju będziesz przyciągać ich uwagę w niewłaściwy sposób. Będziesz się musiała opędać od facetów, których nie interesuje u kobiety jej inteligencja. Tacy mężczyźni chcą tylko...

- Czego, mianowicie?

- Zaciągnąć kobietę do swojej jaskini.

- Moim zdaniem, TJ, niepokoi cię zmiana sytuacji. Do tej pory to ty zawsze miałaś dziewczynę, czasem nawet niejedną, podczas gdy ja byłam sama.

- Nie zawsze.

- Na ogół.

- To prawda, ale bardzo bym się cieszył, gdybyś znalazła odpowiedniego faceta. Tylko musiałby być naprawdę miły. A mili faceci, moim zdaniem, nie lubią, kiedy ich dziewczyny chodzą na wpół rozebrane, tak jak ty przed chwilą. Paige, coś cię opętało i to coś nie kończy się na porzuceniu pracy i wyciągnięciu mnie na przejażdżkę.

Paige westchnęła.

- Nie gniewaj się, ale to nawet dobrze, że zwróciłem uwagę na twój wygląd - powiedział. - Zaczynałem się już martwić.

- Czym?

- Tym, że ostatnio przestały mnie interesować kobiety.

- Kobiety? - spytała, z niedowierzaniem.

Skinął poważnie głową. Był pewien, że ona go

zrozumie, że właśnie jej może powiedzieć, co go dręczyło, a co tylko prawdziwa przyjaciółka mogłaby zrozumieć. Kobieta nie będzie go próbowała zaciągnąć do knajpy ze striptizem, zamówić mu subskrypcji na czasopismo pornograficzne albo umówić na randkę z prostytutką.

Paige otworzyła usta. Myślał, że chce kichnąć albo powie zaraz, jak jej przykro i czy chciałby o tym pogadać. A ona wybuchnęła śmiechem, tak głośnym i niepowstrzymanym, że czterej mężczyźni przy stole odwrócili głowy z tym samym tępym zdziwieniem, co krowy na drodze. Kelnerka przerwała liczenie napiwków i podniosła wzrok, niemiecka pieśń kucharza zamarła w środku wibracji.

- Nie wierzę - powiedziała Paige, kiedy się opanowała. - Ty niezainteresowany kobietami! A co z twoją Oliwkową Dziewicą?

- Ma na imię Shawna.

- Wiem.

- A jej ojciec jest prezesem SunOil.

- O tym też wiem.

- I tak się składa, że jest bardzo inteligentną dziewczyną. Ma dużą wiedzę z dziedziny motoryzacji.

Znowu ten piękny dźwięczny śmiech, śmiech który u każdego mężczyzny budzi pragnienie, żeby być współnikiem w żarcie. Niestety TJ był jego obiektem.

Spróbuj jeszcze raz. One się muszą polubić. Shawna i Paige. Nie mógł stracić najlepszej przyjaciółki. A Shawna? Cóż, kiedy wyschnie atrament na dokumentach w Chicago, Shawna będzie nieodłączną częścią jego życia.

- Lubi czytać „Harvard Business Review”, „Automotive News” i „European Automotive Research Quarterly”.

Śmiech Paige zmienił się w chichot, oczy jej zaświeciły, a kształtne ramiona zaczęły podrygiwać. Do diabła, nie takiego efektu oczekiwała.

- Jesteś chyba jedynym mężczyzną w Ameryce, który jest w stanie to powiedzieć z niewzruszoną miną - powiedziała, uspokoiwszy się wreszcie. - Mammy, zdaje się, czerwiec, tak? Z jakąż to częścią samochodu pokazuje się w tym miesiącu Oliwkowa Dziewica na kalendarzu SunOil?

- Z tłumikiem - wymamrotał TJ do filiżanki z kawą.

- A jaką część oplatają jej długie nogi na zdjęciu majowym?

- Korbowód.

- I ty mówisz, że ją cenisz za inteligencję?

- Tego nie powiedziałem.

- I nie dziwi cię, że córka prezesa firmy pozuje do zdjęć w stroju Ewy?

- Ma na sobie specjalne body - fuknął TJ, lecz po chwili westchnął: - Fakt, zawsze mi się to wydawało trochę dziwne. Ale jej zdjęcia na pewno poprawiają sprzedaż.

- Jak to miło z jej strony!

TJ jęknął.

- Nie jestem złośliwa, po prostu... o rany, nie lubię jej i już.

- Chciałbym, żebyś zmieniła zdanie. No dobrze, wróćmy do twoich pięciu minut.

- Tak. - Paige włączyła stoper. - Pięć minut, TJ, tylko wysłuchaj mnie uważnie.

Przełknęła ślinę i znów wzięła głęboki oddech. TJ pomyślał, że kiedy on będzie miał swoje pięć minut, musi jej powiedzieć, że zawsze mu się podobała w kostiumach, zwłaszcza tych szytych na miarę. W spódniczkach urywających się nagle na wysokośći kolan. I w butach na wysokim obcasie.

- Od wielu lat oboje spędzamy w pracy większość świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Dziękczynienia. Zjeździliśmy kawał świata, ale nigdzie nie oglądaliśmy tego, co naprawdę warto obejrzenia. Kiedyś poleciałam do Hongkongu na negocjacje w sprawie jakiejś fuzji i przez cały pobyt nawet nie opuściłam lotniska. Założę się, że nigdy nie widziałeś Big Bena ani Piccadilly Circus, choć tyle razy byłeś "w Londynie.

- Szczerze mówiąc, nie przepadam za turystycznymi...

- Nie zabieraj mi moich minut. Rzecz w tym, że spędzamy mnóstwo czasu w pracy. Zbyt dużo. Wiem, że to jedyny sposób, żeby się piąć w górę, szczególnie w obecnych czasach. Wiem też, że oboje mierzymy wysoko, chcemy być najlepsi we wszystkim, co robimy. Ale żadne z nas nie ma własnego życia. Doprowadzamy się do obłądu.

TJ bez słowa wskazał na nią palcem.

- Wiem, chcesz powiedzieć, że to ja wpadam w obłąd. Może masz rację. Ale kiedy dostałam zaproszenie na zjazd absolwentów, zdałam sobie sprawę, że wszyscy inni jadą do domu z mężem albo żoną, albo dzieckiem, albo przynajmniej jakąś częścią siebie, która nie została zapisana na rachunku klienta ani wliczona w premię na koniec roku.

- Czy chodzi o ten twój zegar biologiczny?

- Nigdy więcej nie zadawaj mi tego pytania. Zresztą, nawet jeśli tak jest, to dobrze, bo powinnam myśleć o swoim życiu. I ty też. Oboje powinniśmy się zastanowić, co jest dla nas naprawdę ważne. Nie wierzę, żeby któreś z nas chciało zostać na starość z kontem w banku i niczym więcej. Poza tym rodzice mnie potrzebują. Starzeją się, tacie się trochę mąci w głowie, mama nie radzi sobie z utrzymaniem domu. Jestem im potrzebna. Początkowo myślałam, że pojedę tylko na weekend. Na zjazd. Zobaczę, co u wszystkich słyhać, może spokojnie pomyślę, co właściwie chcę zrobić z własnym życiem.

- Sądziłem, że robisz właśnie to, co chcesz.

- I tak, i nie. Nie jestem już pewna, czego chcę. I nie wiem, czy chcę tego naprawdę, czy tylko dlatego, że ty chcesz, żebym to robiła. Dlatego postanowiłam wyjechać z Nowego Jorku.

- Na ile?

- Nie wiem.

- Ten zjazd poprzewracał ci w głowie.

- Możliwe.

- Wydaje ci się, że to, co do tej pory zrobiłaś, jest bezwartościowe i... - Twarz mu poczerwieniała. - I dochodzisz do wniosku, że ja też muszę wszystko w swoim życiu przewartościować. I zwyczajnie mnie porywasz!

- Najpierw cię ładnie prosiłam.

- A ja odmówiłem.

- Prosiłam, żebyś zrobił to dla mnie.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko, tylko nie to.

- Właśnie. Zastanawiałam się, dlaczego się tak za-

parłeś, żeby tam nie pojechać, mimo że cię prosiłam i że potrzebuję twojej pomocy.

- Ponieważ Sugar Mountain jest zapadłą dziurą i niczym więcej. I nie mam najmniejszej ochoty spotykać się z ludźmi, z którymi chodziłem do liceum.

- Już to mówiłeś.

TJ miotał spojrzenia na prawo i lewo. Widziała, że jest blisko. Bardzo blisko. Ale jak zareaguje? Zerknęła na stoper. Zostało jej półtorej minuty na powiedzenie tego, co naprawdę chciała powiedzieć.

- Zadaję sobie pytanie, dlaczego jesteś taki nieugięty. Przez jedenaście lat ani razu nie byłeś w domu. Ani razu. Nawet na święta. Mam na myśli te święta, kiedy nie pracowałeś.

- Paige, nie rób tego - ostrzegł ją cicho.

- Nie mogę, TJ. Muszę ci to w końcu powiedzieć. Ty nigdy o tym nie zapomniałeś. I nigdy sobie nie wybaczyłeś. TJ, musisz wrócić do domu, żeby się spotkać z Jackiem. Musisz sobie wybaczyć, że go straciłeś. Chcę ci jeszcze powiedzieć, że twoja matka...

TJ złapał kluczyki i wypadł z baru tak błyskawicznie, że dzwonki nad drzwiami zadźwięczały, zanim jeszcze ucichł odgłos uderzenia dłoni o kontuar. Mężczyźni przy stoliku jednocześnie poderwali głowy i zamilkli z ustami otwartymi w pół słowa. Kucharz urwał swoją pieśń i burknął:

- Co, do...

- TJ, zaczekaj! - wrzasnęła Paige, wybiegając na parking.

Pędził wielkimi krokami na drugą stronę ulicy. Dopadł samochodu, otworzył bagażnik i jednym

gniewnym szarpnięciem wyrzucił na chodnik swoją aktówkę i torbę podróżną.

- TJ, nigdy nie rozmawialiśmy o Jacku. To był zawsze zakazany temat.

- I taki zostanie.

- Widzisz? To tylko dowodzi, że mam rację.

Odwrócił się, wycelował w nią palcem i otworzył usta, lecz po chwili się zreflektował i wsunął dłoń do kieszeni.

- Jeżeli masz zamiar zacząć ten pseudopsychologiczny bełkot o moim powrocie do Sugar Mountain w celu przeżycia jakiegoś dopełnienia po śmierci brata i tłumaczyć, że to mnie uleczy i od razu rzucę pracę, i cały będę cieplusi i milusi, to wiesz co, Paige? Chyba pójdę do Nowego Jorku na piechotę.

- TJ, proszę cię, przestań.

- Czy minęło już twoje pięć minut?

- Chyba tak. Zostawiłam stoper w...

Spojrzeli w kierunku baru. Czterej mężczyźni i kelnerka gapili się na nich przez okno.

- W takim razie teraz moja kolej. Ale nie zajmie mi to tyle czasu. Opuściłem Sugar Mountain, bo jest to zabita dechami pipidówka, która usiłuje udawać miasto. Chciałem coś w życiu osiągnąć i jestem dumny ze swojej pracy i z tego, do czego doszedłem.

- To czemu nie chcesz pojechać na zjazd? Choćby tylko dla mnie?

- Paige Burleson, przyjmij do wiadomości jedno: moja noga nigdy więcej nie postanie w Sugar Mountain. Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego. W związku z tym proszę cię, wsiądź do samochodu i zawieź nas do Nowego Jorku. Wyjaśnię wszystko Green-

oughowi i twoim kolegom. Pomogę ci przebrnąć przez ten kryzys osobowości czy cokolwiek to jest. Ale nie pojedę do Kolorado. Mieszkam w największym salonie gier na świecie i właśnie doszedłem do finałowej stawki.

Zawisła nad nimi cisza. Nawet krowy na drodze przestały pomrukiwać z dezaprobatą.

- Zatem tu się ostatecznie rozstajemy - powiedziała w końcu Paige.

Spojrzał na nią, jakby dostał obuchem w głowę. Z trudem przełknął ślinę. Szukał w jej oczach śladów wahania lub namysłu, ale była w nich tylko niezachwiana wiara w słuszność wyboru dokonanego po długich przemyśleniach i nieprzespanych nocach. Potrząsnął głową, otworzył usta, po czym zamknął je bez słowa. Przeczesał dłonią włosy.

- Trudno. Zdaje się, że nie ma wyjścia, muszę ci pozwolić tam jechać. No to, do widzenia - powiedział i pocałował ją w policzek. - Czy zostajemy przyjaciółmi?

- Jasne. - Pochyliła głowę, żeby nie zobaczył łez.

- Zadzwoń, kiedy dojedziesz... na miejsce. - Oboje wiedzieli, że słowo „do domu” nie mogło mu przejść przez gardło.

Wziął w jedną rękę torbę, w drugą aktówkę i skierował się do biura. Paige z trudem łapała oddech. Od początku zdawała sobie sprawę, że może do tego dojść, że ich ścieżki się rozejdą i straci największą podporę w swoim życiu.

- Przepraszam za to porwanie!

- *Nada* - odpowiedział, podnosząc aktówkę na pożegnanie. Po chwili zniknął w biurze.

Paige zamknęła bagażnik, wsiadła do samochodu, wzięła głęboki oddech i włożyła kluczyk do stacyjki. Nie mogła się otrząsnąć z przygnębienia, jakim spowiły jej pamięć mroczne wydarzenia sprzed dziesięciu lat.

Jeszcze zanim zapadła noc, Sugar Mountain pograżyło się w mroku, jaki ogarnął miasteczko po wstrząsających wydarzeniach ostatnich trzech dni. W domach przygotowywano kolacje i zasiadano do nich bez apetytu. Ekran telewizorów połyskiwały świątecznymi programami, które nie wywoływały uśmiechów. Odwołano zawody łyżwiarskie. Członkinie klubu brydżowego rzuciły karty i oddały się wspomnieniom o swoich zmarłych bliskich.

Matki wykapały dzieci, poczytały im do poduszki i ucałowały na dobranoc czulej i poważniej niż zwykle.

Ojcowie wychodzili do szop, żeby po raz kolejny sprawdzić wiązania nart, zapięcia przy butach do wspinaczki i sznurki przy sankach domowej roboty.

Burmistrz Jonathan Stern pokręcił ciężko głową, kiedy mu sekretarka przypomniała, że przywieziono choinkę na rynek. Obawiał się, że nie znajdzie dość energii, aby powiedzieć choć kilka słów na uroczystości zapalenia lampek. Kiedy sekretarka, pogasiwszy światła, wyszła do domu, otworzył futerał. Grał na trąbce, co i raz pociągając łyk czerwonego wina o silnym dębowym zapachu, idealnego na długie smutne noce.

Paige wepchnęła czarną sukienkę z wełnianej krepy na samo dno szafy i zaszyła się w pokoiku nad

garażem. Tej zimy po raz pierwszy Burlesonowie nie wynajęli mieszkanca nad garażem żadnej kelnerce, przewodnikowi ani windziarzowi z Vail, Breckenridge lub Aspen.

Rozpaliła w kominku i próbowała się skoncentrować na pracy, którą miała do napisania na styczeń. Temat „Prawo konstytucyjne osiemnastego wieku” - od początku brzmiał nieciekawie, teraz zaś wydawał się po prostu wzięty z innego świata. Otworzyła książki, przeczytała kilka zdań i poddała się. Związała ciemnokasztanowe włosy, żeby jej nie opadały na oczy, wyjęła z lodówki colę i oparła się na poduszkach na kanapie.

Nie była ani na tyle głupia, ani zarozumiała, żeby udawać, że to ona wybrała Uniwersytet Harvardzki. To raczej Harvard wybrał ją. Jedną z uczelni Ivy League - grupy najbardziej renomowanych uniwersytetów północno-wschodnich Stanów - nazywała swego czasu dość zgłoszeń ze wschodniego i zachodniego wybrzeża, jak również z najlepszych szkół w Chicago, miała natomiast bardzo mało kandydatów z rejonu Gór Skalistych. Jej zgłoszenie” przyjęto więc szybko i z entuzjazmem. Był jednak i drugi, bardziej osobisty powód, dla którego Harvard wybrał ją na swoją studentkę: tam studiował TJ Skylar, a gdzie był on, tam podążała i Paige.

Obserwując płomyki tańczące za żelazną kratą paleniska, zastanawiała się, czy TJ wróci po świętach na wschód.

Gdy tylko wieść o wypadku zaczęła się rozchodzić po miasteczku, burmistrz Stern wyjął butelkę

brandy. Zniechęceni ratownicy łyknęli alkohol jednym haustem i poszli. W domu Skylarów pastor Kościoła Zjednoczonej Wiary odprawił modlitwę, którą zakończył zdławionym „amen”, po czym wybuchnął płaczem. Kilka kobiet przyniosło przygotowane naprędce zapiekanki, choć i tak nikt nie miał ochoty jeść. Dwaj najmłodszy bracia Skylarowie na zmianę chodzili do pokoiku na piętrze, skąd dochodziło głośne zawodzenie matki.

TJ siedział we wnęce obok kredensu w kombinezonie oblepionym błotem, szpilkami z drzew i kolczastymi gałązkami jeżyn. Twarz miał czerwoną od wiatru, mrozu i krwi sączącej się z zadrapania na czole, na które nikt poza Paige nie zwracał uwagi. Jego spojrzenie, zwykle wyzywające i kipiące pewnością siebie, teraz było tępe i mętne jak wystygła kawa. Serwetką, którą znalazła w kredensie, zaczęła mu ocierać krew z twarzy, ale odsunął się gwałtownie. Cały dom wypełniał żałosny skowyt pani Skylar. Pięć lat temu góry zabrały jej męża, jakże okrutne okazały się teraz, odbierając jej najstarszego syna.

- Puściłem go - powiedział TJ.

- To nie była twoja wina.

- Trzymałem go za rękę. Powiedziałem, że go nie puszcze, a potem... po prostu nie mogłem go utrzymać.

- Zrobiłeś, co mogłeś, TJ.

- Był taki ciężki, a ja byłem bez rękawiczek. Miałem mokre ręce.. Nie mogłem go dobrze uchwycić.

- To musiało być okropne.

- Zabiłem swojego brata.

- To nieprawda, TJ.

- Ona tak uważa - powiedział, wskazując głową

w kierunku schodów. - Kazała mi się wynosić i nigdy więcej nie wracać.

- Ona tak naprawdę nie myśli. To tylko rozpacz. Chciała go objąć i pocieszyć, ale się odsunął.

- TJ, czasami dobrze z kimś pogadać. To pomaga.

- Nie, Paige, to wcale nie pomaga. Choćbym gadał w nieskończoność, gdybym nawet wygadał wszystkie słowa świata, to i tak nie zmieni tego, co się tam stało. I ona o tym wie. - Pokazał palcem w stronę schodów. - Wszyscy o tym wiedzą.

- TJ, proszę cię. Nikt nie może winić...

Lecz TJ rzucił się już do wyjścia, potrącając po drodze właściciela stacji benzynowej i jego żonę. Mruknął zdawkowe „przepraszam” i już go nie było. Na dziewiczo białym śniegu został tylko ciemny ślad po spalinach jego pick-upa.

Nie wrócił na nocne czuwanie przy zwłokach, które zgromadziło wstrząśniętych mieszkańców Sugar Mountain. Nie wrócił również na pogrzeb. Kiedy w kościele dwaj młodszy bracia prowadzili panią Skylar do pierwszej ławy, jego nieobecność wywołała liczne komentarze. Oni też byli wtedy na górze, a teraz niby dwa bliźniacze filary podtrzymywali rozpaczającą matkę.

Jeśli chodzi o TJ, większość się zgadzała, że robił, co mógł, że musiał przeżyć piekło w chwili porażki. Naturalnie znaleźli się i tacy, którzy twierdzili, że stać go było na więcej, że mógł się bardziej postarać. Był przecież przewodnikiem górskim. Wszyscy bracia Skylarowie świetnie sobie radzili w górach, byli silni i zwinni, a TJ zawsze uchodził za najlepszego z całej czwórki.

A teraz! Zęby się nie zjawił, kiedy go rodzina potrzebowała!

Paige zamartwiała się jego zniknięciem. Nawet smutek z powodu śmierci Jacka nie zagłuszył jej niepokojów. Po pogrzebie pojechała do przydrożnego baru, czego przyzwyczajone dziewczyny z Sugar Mountain nie robiły zbyt często. Nie było go tam. Szukała go w gospodzie koło domu burmistrza, ozdobionej, niczym wyrzut sumienia, wesołymi światełkami. Pojechała do doliny u podnóża góry; trzepocząca żółta taśma oznaczała miejsce, gdzie spadł Jack. Nigdzie nie było ani śladu TJ.

Usłyszała kroki na zewnętrznych schodach. Czyżby to znowu matka? Otworzyła drzwi. Na dworze ciemność ugięła się pod ciężarem gwiazd. Tuż przed nią wyrósł jak spod ziemi TJ. Widać było, że jest wyczerpany i znękanym. Na czole, w miejscu skaleczenia, widniała gruba czerwona kreska. Miał na sobie dżinsy, flanelową roboczą koszulę, puchowy bezrękawnik i trapersy.

Rzuciła mu się na szyję.

- TJ, jak ja się o ciebie cholernie martwiłam!

Stal sztywno i niezdecydowanie, przez chwilę Paige miała wrażenie, że trzyma w objęciach pustą puchową kamizelę. Dopiero po jakimś czasie z wahaniami odwzajemnił jej uścisk. Jego ciałem wstrząsnęło łkanie.

Wciągnęła go do środka i zatrzasnęła drzwi. Scałowywała łązy z jego policzków, dopóki zupełnie nie wyschły.

- Nie całuj mnie w ten sposób, dziecino - powiedział

ochryple. - Przeszedłem piekło, jestem słaby i bezsilny.

- Wiem, co robię - skłamała.

- Tak, jak cholera - powiedział i wyrwał się jej z objęć. - Nie powinienem był tu przychodzić.

- Właśnie, że powinienesz. Ja...

Coś, jakiś ostrzegawczy błysk w jego oczach powstrzymał ją przed dokończeniem tego, co chciała powiedzieć - że go kocha, że zawsze go kochała, że nie było w jej życiu ani jednego dnia, kiedy by nie miała tej niezachwianej pewności, nawet w pierwszej klasie, gdy siedzieli w sąsiednich rzędach.

Nie powiedziała tego. Całe jej życie polegało na niemówieniu mu tego.

- Paige, nie nadaję się do rozmowy.

- Nie proszę cię o rozmowę - powiedziała w nagłym przypływie kobiecej mądrości. Wiedziała, że nie mógł ani rozmawiać, ani płakać. Nie potrafił się przełamać i poddać uczuciom. Potrzebował czegoś na wskroś męskiego - erotycznego ukojenia, nawet gdyby miał nigdy w życiu nie przyznać się do tej chwili słabości i potrzeby oparcia.

Pocałowała go. Początkowo jego pełne, mocne wargi odwzajemniły pocałunek powściągliwie, lecz już po chwili zawładnęły nią namiętnie. Wsunęła dłoń pod rozpiętą kamizelkę, gdzie miękka ciepła flanela opinała się na muskularnym ciele.

Nagle ją puścił i powiedział urywanym głosem:

- To ja jestem tutaj dorosły. Nie powinniśmy...

Paige położyła mu palec na ustach.

- Mam osiemnaście lat. Mogę prowadzić samochód, głosować i wstąpić do wojska. Dzisiaj to ja będę dorosła.

- Nie jestem facetem, który...
- Wiem, jakim jesteś facetem.
- Nie mogę teraz nawet myśleć o związku...
- Nie szukam związku - odparła Paige. - Nie interesuje mnie jutrzejszy ranek. Interesuje mnie dzisiaj. Oboje już wiemy, że każdy dzień może nie mieć jutra.

Popatrzył na nią uważnie, po czym wziął na ręce i zaniosł do sąsiedniego pokoju, na łóżko z baldachimem.

Następnego ranka, zaraz po przebudzeniu Paige zrobiła najbardziej bezinteresowną rzecz, na jaką ją było stać.

- Było naprawdę przyjemnie - powiedziała, naciągając dzinsy. Dziękowała Bogu, że w nocy nie krwawiła, że to nie zwiększy ciężaru, jaki go przygniatał.

Poklepała go po gołych pośladkach, jakby był dobrym koniem, który się nieco rozleniwił. Bolesny wyraz jego twarzy można było wziąć za reakcję na klapsa, ale jej to nie zwiódło. Spojrzał na nią, zamrugał i po chwili miejsce bólu zajął wstyd.

- To znaczyło „dziękuję” - powiedziała, siląc się, aby słowa zabrzmiały buńczucznie. - Ale nie róbmy tego więcej, dobra? Nie chcemy chyba zniszczyć naszej przyjaźni.

TJ uniósł głowę z poduszki i otworzył usta, żeby zaoponować.

- Wolę być za dziesięć lat twoją przyjaciółką niż byłą dziewczyną - stwierdziła.

Zamknął usta. Jabłko Adama drgało, kiedy przełykał ślinę, rozważając wszystkie implikacje tego, co powiedziała.

- Tak mi przykro, Paige. Wykorzystałem...

- TJ, ja niczego nie żałuję - powiedziała. - Oboje tego potrzebowaliśmy. Proszę cię, niczego nie żałujmy.

Zapięła bluzkę pod szyją. Nie zdołała go przekonać. Przewrócił się na plecy, odsłaniając potężną klatkę piersiową z silnie zarysowanymi mięśniami i linią włosów biegnącą wzdłuż mostka, po brzuchu i dalej pod flanelową poszwą aż do...

Nie mogła oderwać oczu.

- Paige, ja... ja cię kocham. Naprawdę.

Przygryzła wargę z bólu, jaki jej sprawiło to wyznanie. Ileż razy marzyła, żeby usłyszeć od niego te słowa. Teraz jednak słyszała w nich wyrzuty sumienia, wstyd i przytłaczające poczucie odpowiedzialności.

- Jesteś do szpiku kości poligamistą, TJ, i dobrze o tym wiesz - to mówiąc, poderwała się z łóżka i szybko podeszła do drzwi. - Nie, panie Skylar, mam dla ciebie zbyt wiele przyjaźni, żeby ją marnować na miłość.

- Skąd wiesz, że przyjaźń między kobietą i mężczyzną jest w ogóle możliwa - zawołał za nią.

- Mamy całe życie, żeby się o tym przekonać - odparła Paige i zatrzasnęła za sobą drzwi, zamykając w ten sposób jeden rozdział swojego życia.

Kiedy godzinę później zapukał do domu jej rodziców, był świeżo ogolony. Powiedział, że natychmiast wyjeżdża do szkoły. Zmusił się, żeby popatrzeć jej w oczy, kiedy jednak próbował coś powiedzieć, uciszyła go. Robiła to jeszcze wiele razy w ciągu następnego semestru, aż w końcu uwierzył w to, co mówiła - że to się zdarzyło tylko raz, że popełnili błąd, ale

wszystko można naprawić; że przyjaźń jest nieporównanie trwalsza i że jej, Paige, naprawdę zależy tylko na ich przyjaźni.

- Ale nie żałujmy tego, co się stało - powtarzała mu wiele razy. - Niczego nie żałujmy, TJ.

Aż w końcu przekonała samą siebie.

6

- Jasne, że jeździ autobus - powiedział recepcjonista, podnosząc wzrok znad gazety. - Najbliższy będzie jutro rano, ale nie do Nowego Jorku, tylko do naszej stolicy. Dojeżdża na miejsce w środę w nocy. Dużo przystanków, sam pan rozumie. Może pan pojechać do Waszyngtonu, a stamtąd złapać pociąg.

- Dobrze, dobrze. To znaczy, że dzisiaj nie ma autobusu do Nowego Jorku?

Recepcjonista spojrział na niego z wyrzutem, jak gdyby sam pomyślał o kursowaniu autobusu na tym odcinku drogi częściej niż co drugi dzień był karygodną rozrzutnością.

- Do Waszyngtonu co drugi dzień. Jak w zegarku.

„W bardzo powolnym zegarku” - pomyślał TJ.

- Gdzie jest najbliższe lotnisko?

- W Lancaster, ale zamknięte z powodu burzy.

- A wynajem limuzyn?

Mężczyzna uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Tu nie ma takich samochodów.

- A taksówki?

Recepcjonista odchylił się na krześle i rozsunął lekko firanki.

- To jest to, co ludzie u nas nazwaliby taksówką - powiedział, wskazując brodą drogę za oknem.

TJ wytrzeszczył oczy. Klip-klap, klip-klap, klip-klap. To był czarny powozik z pomarańczowym trójkątem przyczepionym do tylnej szybki. Obok powozu podskakiwało troje dzieci - dwóch chłopców w kapeluszach z szerokimi czarnymi rondami i smutnych, ciemnych garniturkach oraz dziewczynka ubrana w ciemnoszarą sukienkę, która płała się jej wokół kostek. Włosy dziewczynki i część twarzy zasłaniał biały koronkowy czepek.

TJ poczuł się, jakby go przeniesiono w inne stulecie.

- Co to za...

- Amisze - wyjaśnił recepcjonista. - Siedem kilometrów na godzinę. I tyle samo, jeśli się jedzie za nimi samochodem. Szkoda, że to nie niedziela, mógłby pan złapać okazję do Nowego Jorku.

- Czemu akurat w niedzielę?

- W niedzielę w Lancaster wszystko jest pozamykane. W weekendy dużo się was tu zjeżdża, żeby posmakować prostego życia, kupić kołdrę, konserwę, jakiś mebel. Jeden z tych Amiszów podaje w domu kolacje. Nowojorczyacy płacą dwadzieścia dolarów od łebka, żeby zjeść proste jedzenie domowej roboty. Ja też bym mógł im takie zrobić. Mięso z trzema dodatkami, to ich tu przyciąga. Proste życie. Całe to staromodne dziwactwo zapakowane w trzy dni wolne od pracy. A w niedzielę wszyscy ci nowoczesni ludzie zabierają się z powrotem. Mają dosyć prostoty.

- Nie mogę czekać do niedzieli.

- Chłopie, jeśli nie zawrzesz pokoju z tą swoją babką, nie wydestaniesz się z Lancaster, dopóki nie

znajdziesz nowojorczyka z dobrym sercem i wolnym miejscem w samochodzie.

TJ spojrział przez okno na parking. Samochód Paige nadal stał przed domkiem numer sześć.

- Zmierzamy w przeciwnych kierunkach - wyjaśnił TJ.

- Wszystkim młodym kochankom tak się czasami zdaje.

TJ wyjął portfel i odliczył banknoty z Benem Franklinem, Andrew Jacksonem i Abrahamem Lincolnem.

- Zapłacę dwieście dolarów, jeśli mnie pan zawiezie do Nowego Jorku, i dodatkowo jeszcze pięćdziesiąt, jeśli dotrzemy do mojego biura przed drugą.

Recepcjonista przechylił się przez biurko i odwrócił tabliczkę z napisem OTWARTE na ZAMKNIĘTE.

- Zawsze chciałem zobaczyć Statuę Wolności.

Paige ustawiła sobie lusterko i patrzyła, jak z biura motelu wychodzi TJ, a za nim recepcjonista z torbą i aktówką. Mężczyzna postawił bagaże na ziemi, żeby zamknąć drzwi na klucz, potem kopnął w automat do napojów i nadstawił rękę. Z urządzenia wytoczyła się puszka z napojem. Wrzucił torby do blad różowego bagażnika zwięzającego się w kształcie łódki.

TJ podszedł do Paige i wsunął głowę przez okno od strony pasażera.

- Paige, poradzisz sobie?

- Oczywiście - skłamała, po czym dodała już zgodnie z prawdą: - Przepraszam za to porwanie.

Myślałam, że to zadziała. Sądziłam, że potrafię ci przemówić do rozumu. Szczerze mówiąc, kiedy się przestałeś wściekać, miałam nadzieję, że uda nam się spędzić przyjemną podróż i wygospodarować trochę czasu na przewartościowanie tego i owego.

TJ ściągnął surowo usta. Nie ma mowy o jakimkolwiek przewartościowaniu w jego życiu.

- Nie próbuj tego z nikim więcej. Może ci nie wybaczyć.

- Przepraszam też, że poruszyłam temat... - urwała, widząc jego wzrok. Niezależnie od okoliczności Jack był zawsze tematem tabu. Zastanawiała się, co powie jego matce.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Najdalej za dwa dni będę w Chicago. Prawdopodobnie zatrzymam się w hotelu Palmer House, ale jeśli mnie tam nie znajdziesz, możesz mnie łąpać przez biuro. Gdybyś potrzebowała pieniędzy, mieszkania albo po prostu z kimś pogadać... no wiesz, jak zwykle.

Tak, jak zwykle w ich przyjaźni.

- Poradzę sobie.

Popatrzył na nią z namysłem.

- Masz pieniądze?

- Pięćset dolarów w gotówce, czeki podróżne i karty kredytowe.

- A mapy?

Wskazała głową skrytkę.

- Znam drogę: międzystanową 70 do samego końca. Nie jadę tam po raz pierwszy.

Podczas studiów jeździła do domu cztery razy w roku samochodem TJ. Później, kiedy już miała

pieniądze, ale za to nie miała czasu, raz na rok leciała samolotem, żeby się zobaczyć z Teddym, rodzicami i nieodmiennie poddać się wypytywaniom: „Czy poznałaś w Nowym Jorku jakiegoś miłego mężczyznę?”.

-Zadzwoń - powiedział TJ.

- Zadzwonię.

- Baw się dobrze. Życzę ci, żebyś znalazła to, czego szukasz.

- Dzięki. Mam nadzieję, że mi się uda.

- No to do widzenia, Paige.

- Do widzenia, TJ.

Poklepał maskę samochodu i poszedł w kierunku różowego pojazdu, który nagle zaczął czkać dymem, zaterkotał i wreszcie buchnął kłębem szarych spalin. Po chwili wystający błotnik w kształcie płetwy prawie dotknął zderzaka Paige i samochód z rykiem silnika i kaszlącym tłumikiem wyjechał z parkingu, po czym śmignął na wschód, w kierunku Nowego Jorku.

- Żegnaj - powiedziała Paige.

Uruchomiła silnik. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Dłużej już nie mogła znieść tego życia jak w szybkowarze, życia nowojorskiego prawnika. Chciała mieć normalną rodzinę, męża, własne dzieci. Wiedziała, że nie znajdzie ich w Nowym Jorku, bo tam każdy mężczyzna był tylko cieniem TJ.

Ostrożnie wycofała i zatrzymała się przed znakiem „stop”, żeby przepuścić czarny powóz, powolny jak kondukt pogrzebowy.

Nagle otworzyły się drzwiczki od strony pasażera i nad przednim fotelem przeleciała torba podróż-

na, a za nią aktówka. Obie wylądowały na tylnym siedzeniu. Po chwili obok niej siedział TJ.

- Chicago - powiedział, nie patrząc na nią. - Możesz mnie chyba podrzucić do Chicago?

- Skąd ta zmiana decyzji?

- Amisze.

- Amisze? Czyżby cię skłonili do refleksji nad własnym życiem?

- Do niczego mnie nie skłonili. Jadą z prędkością siedmiu kilometrów na godzinę i nie wolno ich wyprzedzić. Szybciej bym dotarł do Nowego Jorku na piechotę. Utknęliśmy między powozem Amiszów i czterema krowami.

- Ale ja nie jadę do Nowego Jorku.

- Nie słuchałaś mnie, Paige. Po powrocie do Nowego Jorku musiałbym natychmiast "wsiadać w samolot i lecieć do Chicago. Możesz mnie dowieźć do Chicago przed północą, prawda?

- Będę musiała zboczyć w Indianapolis na trasę 65 - zgodziła się Paige, powstrzymując uśmiech. - Logistyka, co?

- O jedno cię tylko proszę, Paige.

- Słucham.

- Nie próbuj tego wykorzystać i przekonywać do zmiany zdania.

- Cóż za pomysł! - wykrzyknęła z oburzeniem Paige, kładąc rękę na piersi.

- I proszę cię, włóż z powrotem bluzkę. - TJ sięgnął na tylne siedzenie. - Poczuję się dużo lepiej.

- Dobrze, ale nie będę w niej siedzieć, jak się zrobi gorąco.

O pierwszej zatrzymali się na lunch w restauracji ukrytej z dala od autostrady, pięćdziesiąt kilometrów za Bedford. Po powrocie do samochodu Paige odniosła wrażenie, że silnik pracuje inaczej niż zwykle, ale doszła do wniosku, że nie warto się tym przejmować. Tymczasem nie ujechali nawet pół kilometra, kiedy silnik prychnął kilka razy i zamilkł. Przed nimi rozciągało się pole pszenicy.

- Zabrakło benzyny? - zapytał TJ.

- Według wskaźnika mamy jeszcze ćwierć baku.

- To co się stało?

- Nie wiem.

- No więc co się stało? - powtórzył pytanie trzy godziny później.

Mechanik wytarł ręce o kombinezon roboczy. Pokiwał głową i uśmiechnął się dobrodusznie, chociaż od chwili doholowania samochodu do „Stacji benzynowej i warsztatu Hermana” TJ zadawał to pytanie mniej więcej co pięć minut. Za każdym razem Herman, nie podnosząc głowy spod maski, wydawał w odpowiedzi nieokreślone odgłosy: mruknięcia, burknięcia, jęki albo po prostu wzruszał tylko ramionami.

Tym razem zamknął klapę i poklepał samochód niczym czuły i dumny ojciec.

- Nic wielkiego. Wszystko przez ten drobiazg - powiedział z wyraźnym akcentem zdradzającym, że jego ojczystym językiem był niemiecki. Otworzył pulchną dłoń i pokazał cienki, delikatny kawałek miedzi.

- Niech pan to naprawi - powiedział TJ.

- Nie da rady - właściciel, a zarazem jedyny pra-

ownik „Warsztatu motoryzacyjnego Hermana” pokręcił ze smutkiem głową. - Jest złamany.

- No to niech pan wymieni.

- /a, to mogę zrobić. - Herman skinął głową. - Zamówię tę część, jak tylko pan zwolni mój telefon.

Wytarł spoconą twarz chusteczką i nałożył czapkę z napisem SunOil, którą wyciągnął z tylnej kieszeni kombinezону.

- Mój telefon, młody człowieku.

TJ spojrział na słuchawkę, którą trzymał w ręku.

- Zadzwoń do ciebie później - powiedział swemu rozmówcy.

- *Danke schön* - podziękował Herman. Ze słuchawką w ręku poszedł śladem kabla oplecionego wokół wózka z narzędziami, wijącego się nad platformą pick-upa, a następnie wąskim korytarzykiem do biura.

- Jak tylko gdzieś wytropię ten duperelek, pošle pana i pańską damę w dalszą drogę.

Paige siedziała przy biurku zatopiona w lekturze czasopisma ilustrowanego, z truskawkowym lizakiem w ręku. Spod kasy wystawały wetknięte pieniądze za słodycze. Jedwabna bluzka leżała zwinięta w kłębek na krześle pod oknem. TJ podniósł ją i wsunął do tylnej kieszeni spodni. Nie lubił, jak zdejmowała bluzkę. Już miała ramiona zaróżowione od słońca. Czy nie zdawała sobie sprawy z groźby raka skóry?

Podniosła głowę znad gazety.

- Wiedziałaś, że Michael Jackson ożenił się z córką Presleya? - zapytała. - Tylu ciekawych rzeczy się można dowiedzieć z tych tygodników.

Herman roześmiał się głośno.

- To już przebrzmiała sprawa. - Z półki za głową zdjął pożółkły katalog. - Zdążył się z nią rozwieść i ożenić z Debbie Rowe, asystentką swojego chirurga plastycznego. Mieli syna, Prince'a, a potem córkę, Paris. Teraz się rozwiedli, bo on...

- Czy nie moglibyśmy wreszcie zamówić tej części? - przerwał mu TJ.

Paige i Herman spojrzeli na niego z wyrzutem; taki ciekawy temat do pogawędki.

- Tak, panie Skylar, już się robi.

Paige odsunęła na bok gazetę i cukierki i zwolniła miejsce Hermanowi.

- TJ, nie musisz się zachowywać jak gbur - powiedziała. - Robi, co może.

- Tak, •wiem, tylko, że on jest taki... - spojrzął na mechanika.

- *Ja*, jestem powolny - Herman dokończył jego myśl. - Ale robię, co trzeba.

- TJ, nie wszyscy żyją według nowojorskiego zegarka.

- Ty pracujesz tak samo sprawnie jak ja.

- Już nie. Przehandlowałam jakość za ilość. - Klapnęła na zieloną winylową kanapkę pod oknem. Błyszczące włosy rozsypały się jej wokół głowy jak świetlista korona. Ugryzła owocową pałeczkę, która zabarwiła jej usta truskawkowym kolorem. TJ odwrócił wzrok.

- Tylko dlatego, że masz czas do piątku, żeby dojechać do Kolorado, a dla mnie każda minuta na tym pustkowiu...

- W Pensylwanii - sprostował Herman, lecz szyb-

ko spuścił głowę, napotkawszy piorunujący wzrok TJ.

- Niech będzie Pensylwania, i tak z każdą minutą tracę pieniądze.

- Sama nie wiem, kiedy przestało cię obchodzić wszystko, co nie ma przyczepionej metki z ceną - mruknęła Paige.

- Dostyc już! - powiedział Herman. - Nie słyszę własnych myśli, jak tak gadacie. Potrzebuję ciszy do pracy.

Pochylił się nad pożółkłymi stronicami. Paige się posunęła, żeby TJ mógł usiąść na kanapce.

Herman zadzwonił do najbliższego sklepu z częściami oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów, potem do sklepu niedaleko Uniontown, gdzie go odesłano do jeszcze innego sklepu.

- Mogę mieć tę część najwcześniej pojutrze - poinformował ich po następnych sześciu telefonach. - Zamontowanie też mi zajmie cały dzień, sami rozumiecie, zagraniczny samochód. Ale za to prawdziwe cacko. Samo siedzenie przy nim to czysta frajda. Marzenie nie samochód.

TJ złapał się za głowę.

- Posłuchaj, Herman. Cieszę się, że tak lubisz swoją pracę, ale muszę być w Chicago przed...

Zadzwonił telefon. Herman podniósł słuchawkę.

- Stacja i warsztat Herma.../a, jest tutaj.

Podał słuchawkę TJ i puścił go na krzesło przy biurku.

- Hermanie, chciałabym panu coś zaproponować - powiedziała Paige.

Oczy Hermana, małe i ciemne jak rodzyнки, powędrowały w stronę TJ.

- Porozmawiajmy na zewnątrz - szepnęła.

Wyszli na dwór, podczas gdy sekretarka dyktowała TJ ostatnie dane sprzed zamknięcia nowojorskiej giełdy. TJ wyciągnął szyję, nie spuszczać z oka niedźwiedziowatej sylwetki mechanika. Herman kręcił głową, słuchając tego, co mówiła Paige. Na szczęście nie świdrował jej wzrokiem. Biedna dziewczyna, nie zdawała sobie sprawy, że igra z ogniem, bo większość mężczyzn by... Położyła Hermanów rękę na ramieniu, coś jeszcze powiedziała i energicznie pokiwała głową.

- TJ, słuchasz mnie? - dopytywała się w słuchawce sekretarka.

- Tak, tak, słucham.

Znowu. Herman potrząsnął głową. TJ przygryzł sznur od słuchawki. Nie podobało mu się, że dotyka tego faceta. Co gorsza miała na sobie tę niby-bluzkę. Czy naprawdę musiała zdejmować tamtą tylko dlatego, że się wymazała smarem? A do tego jeszcze te dzinsy. Stała do niego tyłem i jej pełne, okrągłe pośladki...

- TJ, czy ty słyszałeś, co mówiłam? - sekretarka przerwała swoją relację.

- Tak, oczywiście.

- To kupujesz czy sprzedajesz?

Stanął na palcach, żeby wyjrzeć nad stojakiem z gazetami. Kiedy przestępowała z nogi na nogę, jej biodra wychylały się w jedną lub w drugą stronę. Herman spojrzał w dół. Lustruje jej kształty, bez dwóch zdań! Po chwili mechanik się schylił i podniósł z ziemi papierki od cukierka.

- Chcę ją tylko chronić - powiedział TJ na głos.

- Co ty chcesz chronić? TJ, gadasz od rzeczy.

- Nic, nic, mów dalej. - Wtulił głowę w ramiona, żeby go nic nie rozpraszało. - Mówiłaś o akcjach Intela.

- W dół o dwa pięćdziesiąt osiem.

- A SunOil?

- W górę o cztery dwadzieścia pięć. Poszła pogłoska o fuzji. Aha, właśnie, dzwoniła Shawna. Powiedziała, że się spotkacie w hotelu Palmer House. Bo chyba jedziesz do Chicago, prawda?

Shawna. Włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął niebieskie aksamitne pudełeczko. Uchylił wieczko i spojrzał markotnie na płomienny pięciokaratowy diament osadzony w platynie. Żadne z nich wprawdzie nie mówiło otwarcie o małżeństwie, ale czuł, że powinien to zrobić. Ona naprawdę jest inteligentna, dużo inteligentniejsza, niż się wszystkim zdaje. Poza tym coraz częściej robiła aluzje - że w życiu mężczyzny przychodzi chwila... że tworzyliby zgrany zespół i tak dalej.

Jego wzrok przyciągnęło wyzywające zdjęcie przypięte po wewnętrznej stronie stalowych drzwi szafki za biurkiem. Kalendarz SunOil. Herman nie przewrócił kartek ani na maj, ani na czerwiec. Zostawił zdjęcie kwietniowe, na którym Shawna ze swoim firmowym uśmiechem niczym z reklamy gumy do żucia i niedbale rozrzuconymi lokami (fryzura zajęła stylisście trzy godziny i pochłonęła trzy litry żelu), naga od pasa w górę (tak przynajmniej mogli sądzić ci, którzy nie wiedzieli o body), trzymała w smukłych, starannie wypielęgnowanych palcach dwie puszeki płynu do spryskiwaczy i zasłaniała nimi piersi.

Jednym kopnięciem TJ zatrzasnął stalowe drzwiczki, lecz po chwili, tknięty wyrzutami sumienia, że tak źle potraktował swoją przyszłą wybranekę, otworzył je z powrotem. Zerwał kwietniową kartkę, potem majową i czerwcową. Z lipcowego zdjęcia Shawna była szczególnie dumna. Miała na sobie obcisły roboczy kombinezon i trzymała w górze filtr oleju marki SunOil. A przecież tak naprawdę była bardzo przyzwoitą dziewczyną. Gdyby tylko nie ten prowokacyjny wyraz twarzy traktujący mężczyzn jak nieokrzesanych samców.

- Postaram się dotrzeć do Chicago jak najszybciej. Zadzwon do nich i powiedz, że będę później.

Z dworu dobiegł go śmiech. Podniósł się. Herman wycierał pulchne palce w delikatną białą chusteczkę, którą wyjął z tylnej kieszeni kombinezonu. Dopiero gdy wypolerowana skóra na dłoniach zrobiła się różowa jak u niemowlęcia, uścisnął wyciągniętą dłoń Paige i ucałował koniuszki palców.

Tego już było za "wiele. Oto, do czego dochodzi, kiedy się Paige zaczyna zachowywać jak nieodpowiedzialna podfruwajka.

- Muszę iść - powiedział. - Zadzwonię później.

- Później to ja idę do domu - przypomniała mu sekretarka. - Kiedy ty w końcu zrozumiesz, że ja mam prywatne życie?

TJ rzucił słuchawkę i wyszedł na dwór.

- No dobra, co się, do diabła...

- Mamy samochód - powiedziała Paige.

- Świetnie, ale czy on musiał cię całować w... jak to mamy samochód?

- Weźmiemy samochód Hermana. Zawiozę cię do ChicCgo.

TJ pomyślał o Shawnie.

- Ostatecznie możemy poczekać na tę część.

- Nie, nie, TJ, wiem, jak ci na tym zależy. Pojedziemy zaraz po kolacji. Herman zaprosił nas do siebie.

Mechanik wyszczerzył zęby w obrzydliwie przyjacielskim uśmiechu. I do tego to całowanie w rękę.

- Czy interesów nie przypieczętowuje się na ogół uściskiem ręki? - zapytał z irytacją.

- Nie, kiedy jedna ze stron jest taka urocza - powiedział Herman.

- TJ, opanuj się - syknęła Paige. - Ten człowiek daje nam swój samochód.

- Moja siostra, Berta, robi knedelki z nadzieniem z wątroby wołowej. Zemdlejecie z rozkoszy - powiedział Herman, jakby nie zauważając nachmurzonej miny TJ. - Z przyjemnością będziemy was gościć na kolacji, zanim ruszycie w dalszą drogę.

- Poza tym musimy pojechać z Hermanem do domu po jego samochód - dodała Paige.

- Bierzemy jego prywatny samochód?

Twarz Hermana promieniała.

- Uczciwa wymiana - wyjaśniła Paige. - Mój samochód za jego.

TJ zaniemówił. Wszystkie słowa, które mu się cisnęły na usta, uwięzły w gardle.

- To mustang, kabriolet-limuzyna z 1967 - powiedział Herman, prostując się i wypinając dumnie pierś pod kombinezonem. - Sam przerobiłem silnik.

- Paige, nie możesz zamienić swojego samochodu na mustanga! Masz pojęcie, ile tracisz pieniędzy?

Paige wzruszyła ramionami. TJ wymierzył palcem w pierś Hermana.

- Wykorzystujesz tę kobietę.

Herman splótł ręce na piersi.

- To ona zaproponowała transakcję.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile jest wart jej samochód?

Herman skinął głową.

- *Ja*, to prawdziwa piękność. Nigdy nie będzie mnie stać na taki skarb. Mimo to ona robi lepszy interes.

- Czyżby?

- *Ja*, bo mój samochód jeździ.

7

- Nie mogę uwierzyć, że oddałaś swój samochód - powiedział TJ, wciskając się do kabiny holowniczego pick-upa. - Byłaś z niego taka dumna. Trzy lata oszczędzałaś, żeby go kupić.

Paige wzruszyła ramionami. Piegi na jej skórze zamigotały w słońcu.

- Dlaczego się po prostu nie umówisz z Hermanem, że odbierzesz samochód w drodze powrotnej z Sugar Mountain?

- Ponieważ nie wracam z Sugar Mountain.

TJ zaschło w ustach.

- Co znaczy „nie wracam”?

Z nagłym zainteresowaniem Paige zaczęła się przyglądać widokowi za szybą: Herman zamykający biuro stacji benzynowej; Herman obrywający przed drzwiami zwiędłe kwiaty geranium, rosnące w starym kotle perkusyjnym; Herman obmacujący kieszenie w poszukiwaniu kluczyków do samochodu i przypominający sobie po chwili, że zostały w stacyjce.

- Paige, co to znaczy, że nie wracasz z Sugar Mountain?

Wyglądała teraz tak samo jak przed laty, kiedy piłką baseballową wybiła szybę w salonie domu Sky-larów. Tak samo jak wtedy spuściła głowę i z tru-

dem przełknęła ślinę, lecz już po chwili odzyskała rezon i śmiało popatrzyła mu w oczy. Tylko teraz w jej spojrzeniu nie było takiego poczucia winy jak po zbieciu okna.

- Zrezygnowałam z pracy.

- Paige, błagam cię, powiedz, że to nieprawda.

- Prawda.

- Czy rozmawiałaś z Greenoughem?

- Tak, dwa tygodnie temu.

- I nic mi nie powiedziałaś?

- Nie, bo próbowałbyś mi to wybić z głowy.

- I miałbym rację, do diabła. - Walnął pięścią w deskę rozdzielczą. - Paige, zawsze rozmawialiśmy o swoich planach.

- Teraz możemy porozmawiać.

- Dlaczego nie dwa tygodnie temu?

- TJ, czy ty nigdy nie podjąłeś żadnej decyzji bez konsultowania się ze mną?

Pomyślał o Shawnie. Tak naprawdę to nie była decyzja. Raczej nieunikniona kolej rzeczy.

- W drobnych sprawach, owszem, ale zawsze rozmawialiśmy o twojej pracy. Co na to Walter?

- Walter powiedział, że moje świadczenia zdrowotne będą obowiązywać jeszcze przez rok. Będzie im mnie brakować i w każdej chwili mogę wrócić.

- To dobrze. W każdej chwili, to znaczy na przykład w przyszłym tygodniu. Czy nie zaświtało ci w głowie, że nie musisz rzucać pracy, żeby pojechać na ten zjazd absolwentów?

- TJ, nie traktujesz mnie poważnie.

• - Paige, porwałaś mnie z Nowego Jorku, wyrzuciłaś przez okno moją komórkę, przez ciebie tkwię na jakimś

bezludziu w Pensylwanii zamiast się zajmować interesami. Trudno brać cię poważnie. Wieczorem zadzwonię do Greenougha i powiem mu, że wracasz do pracy.

- Nic takiego nie zrobisz.

- Paige, zawsze się tobą...

- Tak, wiem, zawsze się mną opiekowałeś. Ale ja nie jestem twoją małą siostrzyczką. Ani twoją protegowaną. Nie kierujesz moim życiem.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

- Zawiozę cię do Chicago, jeśli chcesz, ale pod warunkiem, że nie będziesz się wtrącał w moje plany ani sobie z nich kpił. Najlepiej, żebyś przez całą drogę w ogóle nie otwierał ust.

- A co się stanie, jeśli je otworzę?

W tej chwili do samochodu wsiadł Herman.

- Możesz zostać z Hermanem, jeśli nie chcesz jechać ze mną - powiedziała Paige.

Na dźwięk swojego imienia mechanik uśmiechnął się szeroko do TJ.

- Będziesz mile widzianym gościem - powiedział i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał przy akompaniamencie skocznej, zalotnej polki płynącej z włączonego radia. Herman znał dokładnie słowa piosenki, a każdy refren powtarzał z żywiołowym zapamiętaniem.

Paige spojrzała na TJ. Położyła palec na ustach, po czym obróciła dłoń w nadgarstku, gestem naśladując przekręcenie kluczyka w zamku. Następnie wdzięcznym trzepotem palców pokazała mu, że kluczyk został wyrzucony.

„Ani mru-mru” - dała mu bezgłośnie do zrozumienia.

Przy głośnych owacjach brata Berta wniosła do pokoju wazę z kremowej porcelany. Postawiła ją na srebrnym trójnogu tonącym w istnym morzu koronek, półmisków i tac, które zaścięłały stół jadalny.

- Oto knedelki. - Uniosła pokrywę, aby aromat mógł podrażnić nozdrza gości.

Berta przypominała posturą swego brata, z tą różnicą, że jej figura przybierała łagodne kobiece kształty. Jak najdalsza od typu anorektycznych modelek i rzeźbionych hollywoodzkich wampów, Berta była pięknnością innego rodzaju, z innej epoki. Można sobie bez trudu wyobrazić, jak by jej sam Rubens nadskakiwał - tyleż dla jej urody i subtelności, wzbogaconej błękitną jedwabną sukienką, co dla... zdolności kucharskich.

Przed osławionymi knedelkami wjechały na stół trzy inne dania. Sałatka ziemniaczana mogła zaćmić wszystkie oferty nowojorskich barów sałatkowych, a buraczki na słodko rozpływały się w ustach i zabarwiały język na czerwono, który to kolor dawał się usunąć tylko łykiem wina z czarnego bzu i kęssem cebulowego chleba domowej roboty.

W domu Hermana i Berty przy stole mówiło się tylko o jednym - o jedzeniu. Można się było nim zachwycać, delectować, wzdychać. Każde danie porównywano z potrawami, które Berta przygotowywała na spotkania wiernych, przyjęcia składkowe w klubie brydżowym i minione Wigilie. Dyskusję, toczącą się pod przewodnictwem Hermana, Paige przerywała kwiecistymi pochwałami, po których Berta oblewała się rumieńcem.

Z kolei gospodarze uprzejmie wypytywali o jedzenie w Nowym Jorku. Odpowiedzi Paige Berta wita-

la współczującymi gdaknięciami, a Herman pełnymi troski pomrukami. Nowojorczycy - podsumowali - są biednymi i poszkodowanymi istotami. Takie chwytnie jedzenia w biegu od ulicznych sprzedawców czy w rozmaitych barach szybkiej obsługi jest katorgą, której oni sami by nie znieśli.

A gdy Paige opowiedziała o modnych restauracjach, zarówno tych wyspecjalizowanych, jak tych wszechstronnych, z głębi serca narzekali, że zmusza się ludzi do płacenia takich olbrzymich sum.

Dobry Bóg dał ludziom jedzenie, żeby się nim cieszyli, orzekł Herman. To jedna z największych przyjemności w życiu, obok małżeństwa i dzieci.

Paige pokiwała głową, wpatrując się w TJ. Dobry Bóg nie wspominał nic o zyskach, giełdach ani wrzodach żołądka wywołanych stresem - mówiły jej zmrużone oczy.

TJ należał do osób, które przywykły jeść szybko, byleby zabić w biegu nękający głód. Kupował bajgle od ulicznych sprzedawców, w drodze do biura połykał hot dogi albo jeśli nie mógł wyjść z pracy, kazał sekretarce zamówić coś gotowego. Jedzenie było po prostu paliwem. Wyjątek stanowiły naturalnie obiady z klientami, ale ten wysoce nieefektywny sposób załatwiania interesów trzeba było po prostu ścierpieć.

A coś takiego jak tu? Och, to było zwyczajne marnotrawstwo czasu.

Od początku kolacji TJ siedział w milczeniu. Przestała go "wprawdzie dręczyć absurdalnie wyzywająca bluzeczka, bo Paige przebrała się w jasnoróżową sukienkę, zakrywając wszystko od szyi aż do kostek. A jednak wewnętrzny niepokój nie minął.

Koronkowe mankiety, ozdobne guziczki, delikatna atłasowa rozetka na łokciu - to nie była sukienka nowojorskiej bizneswoman ani ciuch w stylu „idę z kolegą na mecz”.

Szczerze mówiąc, w tej sukience zakrywającej ją od stóp do głów wyglądała jeszcze bardziej kobieco. A on się czuł jeszcze bardziej zmieszany. Bardzo zmieszany.

Wszystko przez Hermana. To on zarządził, żeby się wszyscy przebrali do kolacji. To on z uporem podsuwał swojej siostrze krzesło i nalegał, żeby to samo robił TJ. Oczywiście dla Paige. To on wstawał za każdym razem, gdy któraś z kobiet wchodziła do pokoju lub wychodziła, i TJ musiał robić to samo. W końcu zaczął się czuć jak marionetka. Zapytał nawet Bertę, czy Herman zawsze się tak zachowuje.

- Jakżeby nie? - odpowiedziała pytaniem.

Ta sukienka, staroświeckie maniery Hermana, włosy Paige - nie tak jak dawniej gładko przyczesane, lecz tworzące bujną masę fal i loków, delikatna różowa szminka - wszystko to coraz natrętniej uświadamiało mu, że Paige jest kobietą, a on mężczyzną. I było bolesne, że odkrywa ten fakt tak późno.

Poprzednich trzech dań uszczknął dosłownie po trzy kęsy, lecz kiedy zobaczył wazę wypełnioną rosołem i brązowymi pękatymi knedelkami, potrząsnął głową.

- Nie jestem głodny - powiedział.

Berta była strapiona.

- Nie jem mięsa - wyjaśnił.

- Nieprawda, wcale nie jesteś wegetarianinem - stwierdziła Paige.

Skrzywił się.

- Bez urazy, Herman, ale na moim zegarku jest dziewiąta. Nawet jeśli wyjedziemy natychmiast, to i tak z trudem zdążymy do Chicago przed świtem.

- Chyba nie chcecie jechać teraz w taką daleką podróż! - zawołała Berta.

- Ja też uważam, że to nie najlepszy pomysł - dodała Paige. - Jestem trochę zmęczona. - Ziewnęła dyskretnie, zasłoniwszy dłonią usta. - Poza tym wypiliśmy kieliszek wina. Nie powinnam prowadzić po alkoholu.

- *Ja, ja* - potwierdziła Berta, dolewając TJ wina.

- Ja poprowadzę - powiedział TJ, wstając. - To była wspaniała kolacja, ale naprawdę musimy już ruszać.

- Nie wyjdziecie teraz - powiedział flegmatycznie Herman.

TJ rozłożył ręce. Miał już tego dość.

- I czemuż to?

- Ponieważ ja mam kluczyki do samochodu - odparł mechanik, zwracając się do Paige. - Czy pani sobie życzy, żebym mu dał kluczyki?

- W żadnym wypadku. Siadaj, TJ. Skończ najpierw kolację, a potem pojedziemy. Może.

Pokonany i zniechęcony TJ usiadł. Berta nalała mu do kokilki rosół z knedelkami.

- TJ, może byś opowiedział Bercie i Hermanowi o obiedzie, jaki wydałeś dla prezesa Motorconu. To były tajlandzkie potrawy, prawda?

Szczerze mówiąc, TJ z całego przyjęcia, które odbyło się dwa miesiące temu, pamiętał tylko tyle, że przy kawie wynegocjował pięćdziesięciomilionową transakcję przejęcia firmy. Dla niego był to po prostu służbo-

wy obiad; jedzenie, jakie przed nim stawiano, kwitował skinieniem głowy. Przy przystawkach członkowie zarządu Motorconu stwierdzili, że ich firma stanie się filią SunOil, którego starannie dobrani pracownicy zajmą kluczowe stanowiska w Motorconie.

Tajlandzkie jedzenie było bardzo modne, drogie i obfite, ale stanowiło tylko oprawę dla tego, co się naprawdę liczyło.

Tymczasem trzy osoby patrzyły na niego wyciekająco.

- Och, mieli tam... no wiecie, jedzenie.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Herman skinął z namysłem głową. Berta patrzyła pytająco, a Paige wzniosła oczy ku górze. No dobrze, spróbuje jeszcze raz, chociaż na usta cisnęło mu się zupełnie co innego: „Paige, trzymam w kieszeni aksamitne pudełeczko, które naprawdę powinienem dać Shawnie. W Chicago czeka na mnie największa transakcja w życiu, a ty mnie zbijasz z tropu, bo chcesz wszystko między nami zmienić”.

- Podawali te małe rzeczy z warzyw. Jedliśmy to przed obiadem.

- Rozumiem - powiedział Herman. - Kto był na obiedzie?

- Ludzie z Motorconu. - TJ wzruszył ramionami. - Prezes, dyrektor finansowy, zastępca prezesa do spraw sprzedaży i zatrudnienia.

- Przyjaźnisz się z tymi ludźmi?

- Och, skądże. Prowadziłem negocjacje w sprawie sprzedaży ich firmy.

- Aha, pogrzeb Motorconu - powiedział ze zrozumieniem Herman.

- W pewnym sensie. Firma dostała pięćdziesiąt milionów dolarów. Po rozdzieleniu tych pieniędzy między akcjonariuszy prezes i najwyżsi urzędnicy dostaną po milionie dolarów na głowę. Nikt z nich do końca życia nie będzie musiał pracować.

- Ale chyba mogą pracować gdzieś indziej - powiedziała Berta.

- Nie, ponieważ jednym z punktów klauzuli o eliminowaniu konkurencji jest zastrzeżenie, że nie podejmą pracy w tym przemyśle - odparł TJ, wyraźnie ożywiony. - To praktyka powszechnie stosowana przy sprzedaży firm. Kupujący nie chcą, żeby ci ludzie kręcili się w biznesie i zakładali konkurencyjne przedsiębiorstwa.

- Pogrzeb - powtórzył Herman.

- Odebrać człowiekowi pracę, to jakby odebrać mu sens życia - powiedziała Berta.

- To nie tak. Gdyby po sprzedaży Motorconu jego pracownicy utworzyli nowe przedsiębiorstwo, starliby SunOil na proch. Prawdę mówiąc, to właśnie dlatego SunOil musiało kupić Motorcon. Ci ludzie są za dobrzy w swoim fachu. A ponieważ obie firmy dostają solidnie po nosie od przemysłu, muszą połączyć kapitały. Jedna z załóg musi odejść.

- To marnowanie talentów. A przecież talent to największy kapitał tych firm.

- Ciekawe, że tak samo twierdzi Shawna.

- Shawna to Oliwkowa Dziewica - wyjaśniła Paige. Berta robiła wrażenie zaszokowanej wzmianką o Shawnie. Herman pokręcił głową.

- Nie chciałbym jej poznać - powiedział stanowczo. Tymczasem podano deser: szarlotkę, lody i cheddar

krojony w trójkąci. Postanowienie wyruszenia w drogę do Chicago osłabło. Napełniono kieliszki winem i wypito za zdrowie TJ. Kiedy on z kolei wznosił toast na cześć gospodarzy, jego oczy napotkały wzrok Paige. Wkrótce się rozstaną. Straci przyjaciółkę, najlepszego kompana, partnerkę do tenisa i siostrę, której nigdy nie miał. Będzie mu jej brakowało. Jeśli opuści Nowy Jork, jeśli wypadnie z gry, nie będą już sobie tak bliscy jak dotąd.

Wzniósł kieliszek w jej kierunku. Wcale mu się to nie podobało, ale musiał jej życzyć powodzenia.

Aksamitne pudełeczko, które wypalało mu dziurę w kieszeni, poszło w zapomnienie. Nie prosił Shawny o rękę, ona mu też nie proponowała małżeństwa. Może w ogóle się nie ożeni z Oliwkową Dziewczyną. Pozostanie nowojorskim samotnym strzelcem mającym tylko jeden cel - osiągnięcie sukcesu. W końcu niewielu było takich jak on. Do tej pory sądził, że jednym z nich jest Paige, ale okazała się kobietą.

A teraz odchodziła.

8

Po kolacji Berta oznajmiła, że w pokoju gościnnym przygotowała im łóżko. TJ już się podnosił, żeby stanowczo obstawać przy jeździe do Chicago, lecz gdy poczuł w głowie szum, którego sprawcą było wino z czarnego bzu, stwierdził, że byłoby jednak głupotą siadać teraz za kierownicą.

- Łóżko w pokoju gościnnym jest bardzo wygodne - zapewniła Berta.

- Nie będziemy spać razem - powiedziała Paige.

- Ale przecież jesteście małżeństwem? - zapytała Berta.

- Nie.

Berta otworzyła usta w małe okrągłe „o”.

- W takim razie pewnie zaręczeni?

- Nie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Herman wymienił z siostrą rozbawione spojrzenia.

- Mężczyzna i kobieta nie mogą być przyjaciółmi - orzekła Berta. - Mężczyźni zawsze chcą czegoś więcej.

- A niekiedy kobiety - dodał Herman.

- Tak czy inaczej jedno z dwojga zawsze pragnie czegoś więcej - podsumowała Berta.

- Przyjaźnimy się od dawna - wyjaśniła Paige. - I wcale tak nie jest. TJ nie interesuje się mną w ten sposób. Ani ja nim.

Czemu się nagle poczuł nieswojo? Pewnie dostał niestrawności od tych knedelków.

- O, tak. Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi - potwierdził.

Herman uśmiechnął się pobłaźliwie, a Berta, pokręciwszy tylko głową, otworzyła bieliźniarkę uporządkowaną z pedantyczną skrupulatnością i wyjęła koc oraz dwie poduszki dla TJ.

- Na kanapie będzie ci wygodnie.

TJ spojrział na Paige. „Dlaczego zawsze tobie się trafia łóżko?” - zapytał bezgłośnie.

W odpowiedzi Paige z wdziękiem wzruszyła ramionami.

Wbrew zapewnieniom Berty wcale nie było mu wygodnie. Kanapa w domu Hermana i jego siostry z pewnością nie należała do przyjemności darowanych ludziom przez Dobrego Boga - takich jak obfite jedzenie, dobre wino i ziemie uprawne Pensylwanii. To było istne łożo tortur - począwszy od wżgórków i wklęsłości pikowanego obicia, poprzez sprężyny, aż po drapiącą narzutę, która się zwijała i wpijała mu w ciało.

TJ podświetlił tarczę zegarka. Już pół godziny tak się przewraca i kręci. Skończą we wraku przy drodze, jeśli się porządnie nie prześpi i usiądzie za kierownicą.

W półśnie przewijały mu się przed oczami tysiące wypadków samochodowych, a wszystkie były skutkiem zaśnięcia za kierownicą. Kilka razy zrywał się gwałtownie, by po chwili sobie uprzytomnić, że samochód nadal stoi w garażu, a on leży na kanapie w domu Hermana.

Zamknął oczy i liczył owce, ale zwierzaki zaczynały brykać i tańczyć jak postaci ze zwariowanych kreskówek.

Postanowił spróbować czegoś, co robił na studiach - zaczął wymieniać sławnych ludzi, których imiona i nazwiska zaczynały się na tę samą literę. Alan Aida. Babs Branson. Nie, ona nie była sławna, była jego sąsiadką. B. B. ktoś z imieniem i nazwiskiem na B. Barbara Streisand. Nie, Streisand się zaczyna na S. Na S przypomniała mu się Shawna.

Co zrobić z Shawną? Uważała, że małżeństwo to dobry pomysł. I pewnie tak było - ze względów marketingowych, a może i osobistych. Czasami mu się wydawało, że jest upośledzony w sferze stosunków międzyludzkich. Umawiał się co prawda na randki. O tak, można nawet powiedzieć, że był pod tym •względem farciarzem - używając języka rodem z męskich szatni. A jednak nie potrafił się z nikim związać. Naturalnie poza Paige, ale to było możliwe tylko dlatego, że nie planował z nią romansu. Co on bez niej pocznie?

Przewrócił się na plecy. Ciekawe, czy sprężyny w kanapie Berty uszkodzą mu nerki.

Był rok starszy od Paige. Władze szkoły podstawowej w Sugar Mountain niezachwianie wierzyły w metodę posyłania chłopców do szkoły rok później niż dziewczęta, które dojrzewają wcześniej. Tak więc Paige miała dwadzieścia osiem lat, a on dwadzieścia dziewięć. To nie było dużo jak na kawalera. Może za pięć, sześć lat ludzie z jego otoczenia zaczęliby się dziwić, rozgłaszać plotki o jakiejś fobii małżeńskiej, niedojrzałości albo homoseksualizmie.

Nie narzekał na samotność. Miał czas tylko dla siebie - przynajmniej kiedy nie pracował, to znaczy co najmniej czterdzieści pięć minut dziennie. Mógł pić mleko prosto z kartonu - o ile oczywiście było w lodówce i nie skwaśniało. Mógł się umawiać z każdą kobietą, co zresztą robił - dwa, trzy razy, zanim dochodziło do rozmowy na temat „dokąd ten związek zmierza”. Nie musiał się użerać z hałaśliwymi dziećmi, teściami wtykającymi nos w nieswoje sprawy, nie musiał spać na wycieraczce za karę, że zapomniał o rocznicy ślubu... Ani się witać z piękną kobietą, czekającą na niego w domu.

Przewrócił się na brzuch i podłożył poduszkę pod głowę. Poczul kłucie w okolicach żołądka. Pewnie kulinarne popisy Berty skończą się zatruciem pokarmowym. Po bliższych oględzinach przyczyną okazała się jednak igła wbita we wzór do haftowania.

Na dworze rozległo się bicie dzwonu. Druga.

W Nowym Jorku pomimo ciągłych drażniących hałasów - muzyki z mieszkania sąsiadów, klaksonów taksówek, zawodzenia karetok pogotowia, "warokotu młotów pneumatycznych - nigdy nie miał kłopotów z zaśnięciem. A tu cisza, przerywana jedynie donośnym chrapaniem gospodarzy za zamkniętymi drzwiami sypialni sąsiadujących z salonem.

Wstał z łóżka, wlokąc za sobą koc. Po omacku przeszedł przez kuchnię i dotarł do pokoju gościnnego. Pod drzwiami jaśniała cienka nitka światła. Zapukał.

- Paige, otwórz, to ja.

Usłyszał szelest materiału, kłapanie bosych stóp po drewnianej podłodze i wreszcie drzwi się otworzyły. TJ zaniemówił. Gdzie się podziała flanelowa

piżama? Stała przed nim Paige w koszuli zwiewnej jak babie lato i podomce, która opływała jej kształtną figurę i zbierała się w fałdy na smukłych kostkach.

Zaschło mu w gardle.

- Co chciałeś, TJ?

Po raz pierwszy zauważył, że Paige nosi okulary do czytania. W rękę trzymała książkę. Ciekawe, czy ma na sobie majtki. Nigdy się przedtem nad tym nie zastanawiał.

- Nie mogę zasnąć.

- Napij się ciepłego mleka.

- Paige, naprawdę nie mogę spać.

- Licz owce.

- Nie da rady. Są za bardzo rozbrykane.

- To czego właściwie chcesz ode mnie?

Zajrzał jej przez ramię na nęcące łóżko z giętego drewna w kształcie sań. Materac robił wrażenie miękkiego i sprężystego, poduszki piętrzyły się wysoko jedna na drugiej, pościel była nieskazitelnie biała.

- Proszę - powiedział błagalnym tonem.

Spojrzała na niego złowrogo.

- To kiepski pomysł.

- Słowo harcerza, że będę grzeczny.

- No, dobrze.

Odwróciła się. Na widok jej krągłych pośladków pod delikatnym materiałem chłopięca obietnica TJ rozsypała się w proch.

- O rany. Może lepiej spróbuję jeszcze raz na tej kanapie.

- Jak chcesz - powiedziała Paige i usiadła na łóżku, starannie okrywając nogi. - Jeszcze przez jakiś czas będę czytać.

- O, to bardzo dobrze. Godne pochwały. Mam na myśli czytanie. W dzisiejszych czasach ludzie za mało czytają. Czytanie staje się zanikającą sztuką. Mam zamiar się zabrać do tej nowej książki Toma Wolfa, tylko że jest bardzo gruba i trochę odstrasza.

Paige otworzyła książkę i spojrzała na niego jak na wariata.

- Wspominałem ci, że wtórny analfabetyzm jest poważnym problemem w naszym społeczeństwie?

Łóżko wyglądało tak zachęcająco, ale Paige siedziała tam niczym ściana ognia, która go spali, jeśli się do niej zbliży. Wszedł do pokoju i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Zaczął rozpinać spodnie, lecz gdy uchwycił jej spojrzenie znad okularów i usłyszał znaczące chrząknięcie, zapiął je szybko z powrotem. Usiadł na brzeжку łóżka. Najprawdziwszy puch ugiął się pod nim rozkosznie. Co za luksus. Położył się, naciągnął kołdrę na ramiona i odprężył mięśnie. Poczul pieszczotliwy dotyk powłoczki pachnącej lawendą, a potem... szturchnięcie w żebra.

- Nie powiedziałam, że możesz spać na łóżku - odezwała się Paige. - Możesz się położyć tam.

Smukły palec wskazywał kąt pokoju i niewielką leżankę pokrytą perkalem. TJ popatrzył na Paige, próbując jednym spojrzeniem wyrazić ogrom swojego rozgoryczenia, sprowadzającego się do pytania „Dlaczego ja?“, ale Paige siedziała ze wzrokiem znów utkwionym w książce.

Podniósł się ciężko i z westchnieniem poszedł na leżankę.

Był to mebel, na jakim kobiety lubią spędzać deszczowe popołudnia, popijając herbatę i czytając ro-

mans. „Albo haftując” - pomyślał z goryczą i wyciągnął z obicia igłę z długą różową nicią. Odłożył ją na malutki podręczny stoliczek, po czym spróbował się ułożyć. Przewrócił się na lewy bok, potem na prawy, skrzyżował nogi w kostkach, podciągnął kolana do piersi, położył pod nie haftowaną poduszkę, spojrzał wilkiem na swoją najlepszą przyjaciółkę i omal nie zaczął skamleć.

Jego najlepsza przyjaciółka przerzuciła stronę w książce, nie obdarzywszy go nawet przelotnym spojrzeniem czy choćby cieniem współczucia.

Do diabła, jeśli tak dalej pójdzie, to w ogóle nie zaśnie. A już na pewno nie przy Paige. Nie przy zapachu jej perfum, subtelnym jak aromat narcyzów w Boże Narodzenie, a działającym tak silnie jak feromony. Od jej nagiego ciała dzieliły go tylko dwie cieniutkie warstwy materiału. Kiedy ona się zdążyła zrobić taka piekielnie seksowna?

Nie ma mowy o spaniu. Zwłaszcza, jeśli się usiłuje wcisnąć dziewięćdziesięciokilogramowe ciało, mające metr dziewięćdziesiąt na mebel pasujący bardziej do domku dla lalek. Nie zaśnie, ale z obowiązku zamknie chociaż oczy.

Znowu była tam ta kobieta. W białej atłasowej sukni i w welonie z takiego samego materiału jak koszula nocna Paige. Welon całkowicie zasłaniał jej twarz.

Sunęła między ławami jak na wolnej taśmie transportowej. Niejasno przeczuwał, że ludzie z SunOil będą bardzo zadowoleni.

Kątem oka zauważył dyrektorów Motorconu. Mieli niezwykle ponure miny. Między nimi stał Her-

man w czarnym garniturze i z nachmurzoną miną. Berta płakała w delikatną chusteczkę. Żadne z nich nie składało mu życzeń.

To był jego ślub, a nie jakiś cholerny pogrzeb! Jego i... no tej, której imienia nie znał.

Wyciągnął rękę w kierunku panny młodej i uniósł pianisty welon. Chyba pastor nie będzie miał nic przeciwko, zwłaszcza że TJ za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to poprosił Shawnę o rękę.

Aha, a gdzie jest Paige? Co z niej za przyjaciółka, że się nie zjawia na jego pogrzebie? Żeby go zamienić w ślub.

Wracając z maleńkiej łazienki, Paige zrobiła krok nad TJ. Ciekawe, że w końcu zasnął na podłodze z poduszką „Księżna Niejednego” w objęciach i jedną nogą wsuniętą pod stół nocny. Miał bardzo łagodny wyraz twarzy, przynajmniej z tej strony, która nie była wciśnięta w zrolowany chodnik.

To był doprawdy dziwny widok: TJ odpoczywający - bez telefonu komórkowego przy uchu i licznych wysoce dochodowych pomysłów krążących mu wokół głowy. Ciekawe, czy kobiety, z którymi sypiał, miały okazje widzieć go w takich okolicznościach. Zresztą, to bez znaczenia. Nie jej sprawa. Nie myślała o nim w ten sposób od czasu, gdy dawno temu schowała swoje uczucia do kieszeni. Nie powinna teraz zaczynać.

Potrząsnęła go za ramię.

- TJ, obudź się - powiedziała.

Nic.

-TJ.

Nic.

- TJ, Dow Jones dla przemysłu spadł o czterysta punktów, a NASDAQ poszedł w dół o dziesięć procent.

TJ poderwał głowę, uderzając nią o spód leżanki.

- Co, do...

- Spokojnie. Nic się nie stało. Giełda w Nowym Jorku jest jeszcze zamknięta. Jestem pewna, że amerykański przemysł dotkliwie odczuwa twoją nieobecność, ale na razie dzielnie trwa na swoich pozycjach.

TJ wlepił w nią wzrok. Przetarł oczy, potarł zarost na szczęce, przeciągnął się i nadal patrzył na nią jak na niespodziewaną zjawę.

Popatrzyła po sobie. Rękawki białej bluzki tym razem zasłaniały wszystko powyżej łokcia, kołnierzyk nie odsłaniał nawet centymetra tego, czego nie powinien. Naprawdę, całkiem konserwatywne, na swój sposób.

- Chyba nie zaczniemy na nowo całej afery z moim ubraniem?

- Nie, tylko że byłaś ubrana na biało.

- Teraz jestem ubrana na biało.

- Nie, nie, to było coś innego.

- Chodzi ci o moją koszulę nocną?

Znowu przetarł oczy i dalej się na nią gapił. Nie mógł oderwać oczu.

Nie była pewna, czy jej się podoba to lustrujące spojrzenie.

- Śniłaś mi się. Byłaś ubrana na biało, ale nie w koszulę nocną ani bluzkę. To byłaś ty?

- Co robiłam w twoim śnie? - Nie mogła powstrzymać ciekawości.

TJ usiadł. Patrzył na nią ze zdumieniem i zachwytem, jakby nagle ujrzał znak z nieba. Zmrużył oczy i wyszeptał coś do siebie. Po chwili zacisnął usta i skrzyżował ręce na piersi.

- Miałaś na sobie biały kaftan bezpieczeństwa. Bo

upadłaś na głowę, żeby mnie wyciągnąć na to bezludzie.

Paige poderwała się na równe nogi.

- Jeśli chcesz się dostać do Chicago, lepiej się pośpiesz. Za pięć minut wyjeżdżam i nie będę się na ciebie oglądać.

- Nie ma sprawy - powiedział i przeciągnął się, zajmując prawie całą długość pokoju. - Nadal się upierasz przy tej swojej śmiesznej mrzonce o prostym życiu?

- Nie, TJ. Zrozumiałam, że miałeś rację - powiedziała z irytacją, wciskając koszulę nocną do torby. - Nie mogę rzucić pracy. Byłabym skończoną idiotką, gdybym to zrobiła. Wybaczysz mi, że byłam taka głupia?

- Och, nie ma sprawy, Paige.

Odetchnął.

- Jak tylko dojedziemy do Chicago, zadzwonię do Greenougha - ciągnęła, wrzucając rzeczy do worka: okulary, książka, Tylenol Extra na bóle głowy. Po namyśle wyrzuciła Tylenol do kosza. Nie będzie go potrzebować. - Uproszę go, żeby mnie przyjął z powrotem.

- Naprawdę? A co z mieszkaniem?

- Jestem pewna, że moja współlokatorka powita mnie z otwartymi ramionami. W końcu tylko ja tam gotuję, sprzątam i wynoszę śmieci.

- A parking?

- No cóż, miejsca na parkingu nie odzyskam, bo mają długą listę oczekujących.

- Załatwię ci miejsce u siebie.

- Nie potrafię wyrazić, jaka ci jestem wdzięczna. Dzięki tobie zrozumiałam swoją głupotę.

- W końcu od czego są przyjaciele.

- TJ, żartowałam - powiedziała, zapinając torbę. - Nie zadzwonię do Greenougha. Nie wracam do Nowego Jorku.

Mina mu zrzedła. Paige wstała, wzięła torbę i wyszła, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Berta zaproponowała jej kawę oraz jajka, bekon, kiełbaski, dwa rodzaje tostów, naleśniki i kompot. Paige poprzestała na kawie. Wyjrzała przez okno na rabaty pomarańczowych nagietków i jaskrawoczerwonych niecierpków. Na podjeździe stał Herman z głową wetkniętą pod maskę jasnożółtego mustanga, zawoskowanego na wysoki połysk.

Sączyła kawę, rada, że Bercie, trajkoczącej nieustannie o sąsiadach, pogodzie i warzywach rosnących w ogródku za domem, wystarczało jako odpowiedź sporadyczne skinienie głową.

Musiała przemyśleć kilka spraw. Zauważyła to tajemnicze spojrzenie, ten 'wzrok, jakim TJ zawsze patrzył na inne kobiety - wysokie zgrabne blondynki robiące kariery w świecie modelek. Zaraz potem powiedział o kaftanie bezpieczeństwa.

Nic dziwnego, że kobiety dostawały bzika na jego punkcie. Nawet teraz, nękana rozterką i obsesyjnym pytaniem o "własną przyszłość, musiała przyznać, że kiedy tak na nią spojrział... była zgubiona.

Popatrzyła na zegarek. Ósma. O tej porze na Manhattanie byłaby już po drugiej filiżance kawy. Tępy ból z tyłu głowy rozprzestrzeniaby się właśnie na boki i mogłaby zaręczyć, że przypadnie jej jedna czwarta prac zaplanowanych na ten dzień przez „niecierpiące zwłoki” sprawy klientów.

Nie ma mowy o powrocie, nawet gdyby TJ znowu obrzucił ją tym swoim spojrzeniem. Nawet i dwa razy. Trzy? Nie była pewna, czy wytrzymałaby trzy razy.

- No dobrze, chodźmy. - Aż podskoczyła, kiedy usłyszała jego głos. - Będziemy w Chicago przed szóstą.

Spojrzała na zegarek. W trzy minuty zdążył się ogolić, umyć zęby i przebrać w świeżą, idealnie uprasowaną koszulę z oksfordzkiego płótna, z kołnierzykiem zapinanym na guziki.

Duszkciem wypił kawę, uśmiechnąwszy się przy tym do Berty w taki sposób, że policzki kobiety spłonęły rumieńcem. Jakie to szczęście - uświadomiła sobie Paige jeszcze wyraźniej - że przez te wszystkie lata nie wykorzystywał tego swojego uroku przeciwko niej. Jeśli jeszcze raz spojrzy na nią w ten sposób, stopnieje - jak każda kobieta w jego towarzystwie.

„Nic z tego” - myślała. - „Jeśli zrobi to jeszcze raz, po prostu wysadzę go na najbliższej stacji, pierwszym dworcu autobusowym albo lotnisku. W przeciwnym razie skończę u Greenougha w Challenger & Redmond”.

Żeby się utwierdzić w swoim postanowieniu, jednym haustem wychyliła resztę kawy, parząc sobie przy okazji usta i przełyk.

- Gotowy? - spytała rzeczowo.

TJ zarzucił na ramię jej torbę, podziękował Bertcie za gościnność i wyszedł z takim impetem, że trzaśnięcie drzwi odbijało się echem jeszcze chwilę po jego zniknięciu.

- Co za mężczyzna - powiedziała Berta, kręcąc głową. - I naprawdę nie jesteście małżeństwem?

- Nie.

- I nawet najmniejszego romansiku między wami?

- Nie. Nie jest w moim typie.

- Jak może w ogóle być jakiś typ, do którego on się nie zalicza?

- Zbyt dużo widziałam kobiet, na które rzucił urok - powiedziała zimno Paige. - Medycyna jeszcze nie wynalazła odtrutki.

- A po co komu odtrutka? - westchnęła Berta.

Paige podziękowała jej za gościnność, na co Berta odpowiedziała natychmiast podziękowaniem za sportowy samochód, który zawdzięcza ich kłopotom. Wyszły przed dom w chwili, gdy Herman zamykał maskę mustanga.

- To maleństwo nie sprawi wam najmniejszego kłopotu. - Uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie.

TJ wyciągnął rękę po kluczyki.

- O, co to, to nie - powiedział mechanik. - Samochód należy do damy.

Paige wzięła kluczyki, wdzięcznym skinieniem odpowiedziała na szarmancki ukłon Hermana i wśliznęła się za kierownicę największego pojazdu, w jakim zdarzyło jej się siedzieć. Gdy przekręciła kluczyk w stacyjce, silnik zamruczał łagodnie. TJ rzucił torbę na tylne siedzenie i usiadł obok Paige.

Wyjechali na drogę. Herman i Berta stali przed domem ramie przy ramieniu - ona machając ścierką do naczyń, on z palcami przy daszku czapki.

- Dzięki Bogu, w końcu się stamtąd wydostaliśmy - powiedział TJ. - Okropne jedzenie.

- Moim zdaniem było bardzo dobre.

- Nie kpij sobie, Paige. Znam cię. Liczysz każdy

gram tłuszczu i każdy kryształek soli w tym, co jesz. Podczas kolacji musiałaś odchodzić od zmysłów.

- Wcale nie. Może lepiej jeść bez kalkulatora w ręku.

- Ależ oni w ogóle nie jedzą surówek. Pewnie nawet nie znają sałaty.

Paige wzruszyła ramionami.

- Musisz przyznać, że to dziwaczna para.

- Możliwe, ale przynajmniej są szczęśliwi.

- Żyją odcięci od świata, bez kabłówki, bez komputera. A Herman mówił, że nie dostają nawet gazet.

- A ja czytam gazety i denerwuję się sprawami, na które i tak nic nie mogę poradzić. Nie wiem, czy to takie zdrowe.

- Paige, proszę cię, jak tylko będzie się można gdzieś zatrzymać, kupimy gazetę.

- Dostaniesz choroby lokomocyjnej.

- Babcine gadanie. Usiądę z tyłu, tam jest tyle miejsca, że można by zwołać obrady Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Będę się czuł jak w swoim gabinecie, z tym wyjątkiem, że moje biurko się nie porusza.

Powinien był wykazać więcej czujności, kiedy zjechała z autostrady i kupiła sześć dzienników, trzy miesięczniki o tematyce ekonomicznej i gorące cappuccino w styropianowym kubku.

- Och, jak dobrze - powiedział, otwierając „New York Timesa”.

Niespełna godzinę później poczuł delikatne mdlenie w żołądku. Zignorował je. Po dziesięciu minutach zdał sobie sprawę z pulsującego bólu, umiejscowionego gdzieś za oczami. Jeszcze pięć minut, a krajobraz zaczął mu wirować wokół głowy.

- O rany, Paige.

Zatrzymała samochód w ostatniej chwili.

Kiedy wrócił, wręczyła mu paczkę miętówek. Wypłukał gardło kawą.

- Mówiłam ci - przypomniała Paige. - To żadne babcine gadanie. Od czytania w samochodzie naprawdę się robi niedobrze.

Podniósł wzrok i zobaczył zieloną tablicę, informującą podróżnych, że się właśnie zbliżają do wesołego miasteczka hrabstwa Jefferson.

- Paige - wycedził z wolna. - Gdzie jesteśmy?

- W Ohio.

- Tego się domyśliłem. Dlaczego nie jesteśmy na międzystanowej 70?

- Pomyślałam, że wybiorę bardziej malowniczą trasę.

- Zdawało mi się, że mieliśmy jechać prosto do Chicago.

- Pojedziemy. Ale może zrobimy przedtem mały postój. Źle się czujesz i w ogóle.

Musiał przyznać, że na samą myśl o jeździe znowu mu się robi niedobrze.

- Zostań w samochodzie, żeby dojść do siebie, a ja tymczasem pójdę sobie do wesołego miasteczka.

- Nigdy w życiu nie interesowały cię wesołe miasteczka.

- Och, zawsze uwielbiałam dobrze zorganizowane lunaparki. Poza tym mam ochotę spędzić tu godzinę. Potem poprowadzę do samego Chicago.

- Nie, potem ja poprowadzę.

- Dobrze, zawrzyjmy umowę. Dasz mi godzinę na wesołe miasteczko, a ja ci potem dam poprowadzić.

- Czy ty na pewno niczego nie knujesz, żeby mnie...

- TJ, mamy tyle czasu, że trudno by było nie zdążyć do Chicago na szóstą. Zdaje się, że o szóstej masz obiad z panem Smithem.

Paige uruchomiła samochód i zaczęła wyjeżdżać na drogę.

To był jednak kiepski pomysł.

- Dobrze, zgoda - powiedziała. - Ale ja zostaję w samochodzie.

- Rób, jak chcesz.

- Jedna godzina.

- Popatrz, mają tu diabelski młyn i karuzelę.

- Paige, karuzele są dla dzieci.

- A ja się właśnie czuję jak dziecko.

Zaparkowała samochód.

- Godzina, tak?

- Nie ufam ci.

- Będę z powrotem za godzinę.

- Idę z tobą - burknął. - Uważaj na... hej, poczekaj na mnie!

Wygramolił się z samochodu, sprawdził, czy nie będą mieć kłopotu z wyjazdem z pola zarośniętego trawą, po czym dogonił Paige, która maszerowała przed siebie w typowo nowojorskim t_*npie.

- Czy to nie wspaniałe? - zapytała podniecona. - Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi i rodzice zawozili nas do wesołego miasteczka w Breckenridge? Popatrz, tu jest zupełnie tak samo.

Wcale nie jest tak samo, pomyślał TJ. Vail, Breckenridge i Aspen z czasów jego dzieciństwa to były wysokie góry, orzeźwiający zapach ziemi i sosen,

diabelski młyn, wysoki i majestatyczny, a zwierzęta z •wiejskich ośrodków „4-H” wyglądały jak prawdziwe cuda natury. Kiedyś uwielbiał wesołe miasteczka w miejscowościach otaczających Sugar Mountain, ale od wielu lat w ogóle o nich nie myślał. Każde wspomnienie tak czy inaczej prowadziło do Jacka, odsuwał więc je od siebie, aby już nigdy nie wyszło na światło dzienne. Z wyjątkiem rzadkich chwil melancholii, które szybko odpędzał.

Powinien wracać do samochodu, nawet nie zajrzał do „Investor's Business Daily”. Gęsty tłum falował to w jedną stronę, to znów w drugą. Nagle stracił Paige z oczu. Przestraszył się na myśl, że mógłby ją zgubić - czy dlatego, że nie dotarłby do Chicago, czy że jej po prostu potrzebował? Nie był pewien.

Przepchnął się obok dwóch kobiet, rzucił im pospieszne „przepraszam” i wreszcie złapał ją wpół.

- No dobrze - zgodził się. - Jeden diabelski młyn i jedna karuzela. Potem wracamy prosto na trasę do Chicago. I żadnych więcej malowniczych objazdów.

- Pozwól mi chociaż na jedną przejażdżkę w wirujących filiżankach.

- Mmm... Niech będzie.

- I watę cukrową.

Na razie nie mógł nawet myśleć o jedzeniu, choć ból głowy powoli mijał, a pewnie i nudności wkrótce ustąpią.

- Strasznie się targujesz. Niech będzie i wata cukrowa, ale w drodze powrotnej do samochodu. Paige, za godzinę się stąd zbieramy..

- Bez dwóch zdań!

Zielone oczy zaiskrzyły z radości. Uśmiechnęła

się, a jemu przyszło do głowy, że niejeden mężczyzna umarłby szczęśliwy, widząc ten uśmiech jako ostatnią rzecz w swoim życiu. Naturalnie dla niego Paige była tylko przyjaciółką, nikim więcej. Na niego to tak nie działało. Po prostu się zastanawiał, z czystej ciekawości, jak daleko by się posunęła, żeby go namówić do pozostania tu dłużej.

Nieważne, i tak byłyby nieugięty. Jeden diabelski młyn i jedna karuzela, ostatecznie wirujące filiżanki i wata cukrowa w drodze do samochodu. Żaden, nawet najbardziej czarujący uśmiech Paige nie skruszy jego postanowienia, żeby dotrzeć na czas do Chicago.

10

Straganiarz mówił z papierosem zwisającym mu z dolnej wargi. Wyjął go tylko na krótką chwilkę, żeby nadmuchać balon i związać go, używając przy tym zębów i ręki, w której nie trzymał rzutek. Potem wetknął papierosa z powrotem do ust i przypiął balon do tablicy za plecami. Wyciągnął następny balon i powtórzył cały rytuał. Dziw brał, że nie przypalił sobie przy tym ust, balonu ani namiotu.

- Za jeden balon w dwóch podejściach mały pluszak. Dwa balony bez pudła, a zgarniacie średniego pluszaka i jedną rzutkę ekstra. Trzy podbijają stawkę: większy zwierzak zamiast średniego i następna rzutka. Szczęściarz za cztery dostaje takiego olbrzyma! - Machnął głową w stronę najwyższej półki za plecami, gdzie stały wypchane zwierzęta, tak duże jak dzieci, które się tłoczyły wokół Paige i TJ. - Jakież pytania?

Szczerze mówiąc, Paige miała kilka pytań, poczynając od tego, czy mógłby powtórzyć wszystko od początku, tylko wolniej i jeśli to możliwe, bez papierosa w ustach. Jednak zaczepnie wysunięty podbródek mężczyzny dawał jasno do zrozumienia, że końcowe pytanie było zwykłym ozdobnikiem.

TJ oddał jej gumową kaczkę, którą wygrał na

strzelnicy „Palnij i zgrarnij”, kosmitę z kramu „Złap je i zgrab je”, balon oraz największy stożek waty cukrowej, prawie już zjedzony przez Paige.

- Mogę wygrać dla ciebie pingwina - powiedział, wskazując na półkę z największymi pluszakami. - Lubisz pingwiny.

- Lubię?

- Ten was będzie kosztował podwójne rzutki - wycedził przeciągle straganiarz. Wyjaśnienie, które nastąpiło po tym oświadczeniu, było tyleż barwne, co niezrozumiałe. Paige i TJ zdołali jedynie wywnioskować, że muszą po prostu zapłacić osiem dolarów, za co dostaną osiem rzutek, którymi TJ ma przebić osiem balonów. I pingwin będzie ich.

Paige przełożyła swoje trofea do drugiej ręki. Z poranka zdążyło się już zrobić popołudnie, w dodatku wyjątkowo skwarne. Z jednej jazdy na diabelskim młynie wyszły dwie, a karuzela i wirujące filizanki na drugim końcu placu wyglądały bardzo kusząco.

Paige nie miała powodu do narzekań. Nie musiała się nigdzie spieszyć, TJ zachowywał się jak najwspanialszy kumpel. Tylko raz jej dotknął - na kolejce górskiej. Złapali się wtedy za ręce, bo na tym chybotliwym urządzeniu, od którego żołądek wywracał się do góry nogami, każdy kto miał choć śluby zdrowego rozsądku, chwycił za rękę swego sąsiada i trzymał mocno. I tylko raz się jej przyglądał - w krzywych zwierciadłach, w których oboje wyglądali jak pękate żywe kręgle.

Znowu byli starymi serdecznymi przyjaciółmi, tak że Paige zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle porzu-

cali ten zażyły, lecz całkowicie aseksualny związek. Może to była tylko senność w jego wzroku, kiedy na nią patrzył dziś rano. Może mu coś wpadło do oka? A może potrzebował okularów. Może ten bezgłośny poządlivy szept był tylko wytworem jej wyobraźni, skutkiem niepokoju o przyszłość, smutku z powodu rozstania. Mogła to być wreszcie gra światła sączącego się przez firanki albo odurzające działanie powietrza Pensylwanii.

Bum! Pękł żółty balon. Po chwili następny. Grupa chłopców przyglądających się wyczynom TJ urosła do dziesięciu, potem do dwudziestu. Całe rodziny przystawały i wyciągały szyje. Ktoś popchnął Paige na TJ, ale odstąpił, kiedy kramarz upomniał widzów - żeby się odsunąć i zrobić człowiekowi trochę miejsca - z taką gorliwością, że o mały włos nie połknął papierosa.

Bum! TJ mrugnął do Paige z uśmiechem mówiącym: „tak się to robi”, na widok którego kobieta stojąca obok westchnęła głośno. Rozległy się sporadyczne oklaski; w rozgrzanym powietrzu unosiły się tumany pyłu.

- Hej, ludzie, mamy tu chyba *bona fide* rachmistrza! - ogłosił kramarz. - Jeszcze cztery balony i puści mnie z torbami. Będę musiał zwijać namiot i zabierać się z powrotem na Florydę.

Z pewnością jednak nic podobnego mu nie groziło dzięki zainteresowaniu, jakie wzbudził sukces TJ. Coś szturchnęło Paige w nogę. Odwróciła się i zobaczyła kobietę z wózkim, która przeprosiła ją i wycofała się pospiesznie. W tej samej chwili na zwolnione miejsce wśliznęło się trzech mężczyzn.

- Umiałbyś tak? - zapytał jeden z nich swojego kumpla.

- Eee tam, pewnie że nie. Ale te kramarskie popisy są ustawiane.

- Nie wierzę.

- Tak samo jak zawodowe zapasy.

- Zawodowe zapasy wcale nie są ustawiane! - W tych słowach zabrzmiało głębokie oburzenie.

Paige zaczęła się przeciskać w bok. Poczowała delikatne szarpnięcie, kiedy jej kosmita zaplątał się w sznurek od balonu. Uwolniła się jednym szybkim ruchem.

Bum!

- Ten człowiek to mistrz rzutek! - piał kramarz. - Właśnie wygrał dla swojej damy ślicznego pluszowego pingwina.

Tłum nagrodził zwycięzcę gromkimi owacjami. Kramarz za pomocą haka zdjął z półki pluszaka, wręczył go TJ i zapaliwszy kolejnego papierosa, już rozpytywał, kto następny spróbuje szczęścia. Do walki przystąpił uśmiechnięty obrońca uczciwości zawodowych zapasów i lunaparkowych rozrywek.

TJ przeciskał się przez tłum, przyjmując po drodze serdeczne poklepywania i gratulacje. Nieco zmieszany, ale i dumny zarazem wręczył pingwina Paige.

- Czy teraz już możemy stąd iść? - zapytał.

Paige powstrzymała się od komentarza, że nikt inny tylko on sam chciał tu zostać dłużej.

Po drodze do samochodu Paige podarowała komśmitemu dziecku, które się zachwycało zabawką, chłopcu, któremu najwyraźniej nie powiodło się w ringo,

sprezentowała gumową kaczkę, a balon wręczyła starszej pani siedzącej samotnie na ławce.

Był to zwyczaj, który Paige i TJ pielęgowali, kiedy w dzieciństwie jeździli do lunaparków - zwycięzcy zawsze dzielili się trofeami z tymi, którzy nie mieli szans wygrać. Zatrzymała tylko pingwina, bo był na swój sposób wyjątkowy. Dała go TJ, żeby się mógł przyjrzeć głupawemu uśmiechowi zwierzaka i poczuła się lekka jak piórko. Wreszcie miała wolne ręce - pierwszy raz od wyjścia z samochodu...

- TJ - powiedziała, a serce jej łomotało - mamy kłopot.

- Co takiego? - zapytał, wyraźnie rozdarty między chęcią wykorzystania pozostałych biletów na obelisk Kleopatry, a obowiązkiem powrotu do samochodu.

- Ktoś mi ukradł torebkę.

TJ zlustrował ją od góry do dołu, lecz mała skórzana torebka na ramię jakoś się nie zmaterializowała. Wrócili do straganu z rzutkami. Tłum przy namiocie już zrzędł, chłopak, który zajął miejsce TJ nie spisał się tak dobrze. Zostali tylko jego koledzy, którzy go dopingowali i wykpiwali,

- O nie - jęknęła Paige. - Wszystko przepadło: karty kredytowe, prawo jazdy, pieniądze.

Rozglądali się po placu, chociaż doskonale wiedzieli, że złodziej dawno zdążył uciec. W końcu oboje mieszkali w Nowym Jorku, mieli wielu znajomych i sąsiadów, którzy padli ofiarą przestępstw.

- Kurczę, zachowałam się idiotycznie. Gdybyśmy byli w mieście, trzymałabym torebkę przed sobą, nie spuściłabym jej z oka.

- Przestań się obwiniać - powiedział TJ. - Poza tym, nie przesadzajmy z tymi kłopotami. Karty kredytowe możesz unieważnić. Pieniądzy mam dość, a co do prawa jazdy, to i tak miałem... - Sięgnął do tylnej kieszeni i... - O rany, Paige, naprawdę jesteśmy w kłopotcie.

Łączny stan posiadania w chwili opuszczenia komisariatu w Columbii w stanie Ohio o godzinie 19.30:

1. Tymczasowe prawo jazdy wystawione na nazwisko Paige Burleson, do niedawna mieszkanki Nowego Jorku.

2. Pudełko z resztkami obiadu z kurczaka dla trzech osób przyniesionego przez żonę komisarza Boba Kenera.

3. Dwadzieścia dolarów pożyczonych od komisarza Boba, jak również jego adres na wypadek ewentualnego zwrotu powyższej sumy, przed którym komisarz Bob się wzbraniał, lecz przy czym TJ stanowczo obstawał.

4. Wypchany pingwin, którego uśmiech Paige uważa teraz za głupawy.

5. Zaproszenie na obiad od prezesa SunOil bez określonego terminu.

- Złapiemy cię jutro wieczorem - powiedział pan Smith, kiedy TJ zadzwonił do niego z komisariatu. - Przyjeżdżasz rano, tak? Będą tu ludzie z Motorconu, żeby dopracować ostateczne szczegóły. Ogłosimy wtedy, że zostajesz powołany jako doradca na stanowisku dyrektora naczelnego. Nie będziemy mogli tego zrobić, jeśli cię tu nie będzie, a ponieważ to jest ważny element umowy...

TJ skinął głową, przytrzymując słuchawkę między uchem a ramieniem.

- Poza tym Shawna nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy - ciągnął prezes SunOil. TJ spojrział na Paige, zatopioną w rozmowie z żoną komisarza Boba. - Nie widzieliście się chyba miesiąc?

- - Mniej więcej.

- Nie pochwalam małżeństw na odległość.

- Właściwie nie jesteśmy jeszcze...

- Obojgu wam przydałoby się odrobinę ustatkować. I skończyć z nadprogramowymi zajęciami, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Panie Smith!

- Dzwonił do mnie mój nowojorski jubiler. Mówił, że byłeś u niego i wybrałeś ładny brylancik. Uważam, że będzie z was świetny zespół.

TJ łyknął wodę ze szklanki komisarza Boba.

- Panie Smith, sądzę, że powinniśmy porozmawiać...

- Nie teraz, nie teraz. Pogadamy jutro - podsumował wesoło prezes SunOil.

- Obawiam się, że żadne z nas nie jest zakochane do tego stopnia, żeby... - Ciągły sygnał w słuchawce był jedynym pocieszeniem i napomnieniem.

Shawna - Oliwkowa Dziewczyna. Blondynka, ale nie tleniona, wysoka, ale nie aż tak, żeby mężczyzna czuł się przy niej nieswojo. Zgrabna, ale wystrzegająca się wulgarności - mogłaby być po prostu atrakcyjną dziewczyną z sąsiedztwa. Inteligentna, chociaż nikt poza nim tego nie dostrzegał. Ambitna? No cóż, nigdy tak nie uważał, ale przynajmniej ich ambicje ze sobą nie kolidowały.

Miała wszystko, absolutnie wszystko, czego oczekował od kobiety. Przynajmniej teoretycznie. No i nie miała mu za złe, że jej nie kochał, a w każdym razie nie tak, jak to przedstawiały rozmaite przepisy na miłość, od sonetów aż po filmy lepkie od słodyczy.

Powinien się z nią ożenić. Nie, nie powinien. Powinien.

Po jakimś czasie jego półkule mózgowe zaczęły przypominać stół pingpongowy. Jak tak dalej pójdzie, wpadnie w obłąd. Skoncentrował się na mapie leżącej na biurku komisarza. Siedem godzin. Za siedem godzin może być w hotelu Palmer House w Loop, finansowej dzielnicy Chicago. Komisarz zaznaczył na mapie prostą, niezawodną trasę do Chicago - autostradą numer 70 do Indianapolis, potem międzystanową 65.

- Teraz musi prowadzić pańska uroczą znajoma - ostrzegł go komisarz Bob. - Pańskie nowojorskie prawo jazdy jest nieważne od siedmiu lat.

- Nie zauważyłem. W mieście właściwie nie używam samochodu.

- Możliwe, ale każdy policjant pana za to przyszpili. Niech ona prowadzi, a pan pilotuje. Jeśli jedzie pan do Chicago w interesach, musi pan pilnować trasy. Proszę trzymać mapę na kolanach i nie spuszczać jej z oka. Niech pan nie zasypia i nie pozwoli swojej przyjaciółce zbaczać z drogi. Jeśli dobrze zrozumiałem, właśnie przez to się wpakowaliście w kłopoty.

- Niezupełnie, to znaczy, tak, panie komisarzu, ma pan rację.

- Mów mi Bob. Chodźcie, odwiozę was z powrotem do wesołego miasteczka.

Siedzieli na tylnym fotelu radiowozu. TJ czuł, że Paige robi sobie wyrzuty. Tak naprawdę to nie była jej wina, a w każdym razie nie to, co się wydarzyło po porwaniu. Wziął ją za rękę.

„Przepraszam” - ścisnęła jego dłoń.

„Nada.” - odpowiedział tym samym.

Wesołe miasteczko jaśniało z daleka neonowym przepychem. Jazgotliwa muzyka i przeszywające skrzywienie karuzeli pulsowały w rytmie bębnow Wikingów. Przez otwarte okna do samochodu przenikał słony zapach popcornu i potu.

- Do diaska - powiedział komisarz Bob, zjeżdżając na pobocze. - Nie wydobędziecie swojego mustanga przed zamknięciem lunaparku.

Paige i TJ wysiedli z radiowozu i popatrzyli na samochody zaparkowane we wzór tak powikłany, jak najbardziej skomplikowana bizantyjska mozaika. Żółty mustang Hermana stał uwięziony w samym jej środku.

- Mógłbym spróbować przez megafon ściągnąć tych ludzi. Może by się udało zrobić jakiś przejazd - powiedział komisarz Bob bez przekonania. - Z tysiąc dolarów w mandatach tu parkuje i czeka, żebyśmy coś z tym zrobili.

- Nie zawracaj sobie głowy - powiedział TJ.

- Może dać wam jeszcze trochę pieniędzy? - zapytał Bob. - Moglibyście zafundować sobie jeszcze kilka przejażdżek, tych które was wtedy ominęły.

- Nie ma mowy - powiedział TJ. - Mamy dość wesołego miasteczka. Paige, a może masz ochotę?

Potrząsnęła głową.

- Moim zdaniem, jeszcze godzina, góra dwie -

stwierdził Bob. - Po fajerwerkach ludzie się zaczną rozjeżdżać.

Kiedy komisarz odszedł, Paige i TJ wrócili do samochodu.

- Fajerwerki - powiedział w zadumie TJ. - Lepiej naciągnijmy dach.

Paige ułożyła się na tylnym siedzeniu i owinęła nogi kocem, który im zapakowała Berta. TJ manipulował przy radiu, dopóki Paige nie zaczęła mu dokuczać, że szuka tylko wiadomości finansowych.

- Nieprawda - skłamał i żeby dowieść prawdziwości swoich słów, nastawił jakąś smętną Stevie Nicks. - Chociaż to pierwszy dzień w moim dorosłym życiu, kiedy nie wiem, co się dzieje na Wall Street ani na światowych giełdach.

- Wypiję za to - powiedziała Paige, wznosząc puszkę dietetycznej coca-coli.

TJ przecisnął się na tylne siedzenie i położył głowę na jej kolanach. Słońce znikło za sadem jabłkowym rozciągającym się po drugiej stronie szosy. Na różowo-błękitnym niebie zaczęły się rozsiewać drobniutkie białe kropki. Wyglądały ślicznie, jak brylanciki. Paige też. Zanim zdążył jej to powiedzieć, zaczęły się fajerwerki.

Wyglądali jak para zakochanych na tylnym siedzeniu kabrioletu: on z głową na jej kolanach, spowity zapachem jej perfum.

Po pokazie ludzie zaczęli wracać do samochodów. Słysząc było jęki i narzekania tych, których pojazdy utknęły zablokowane między innymi. Wkrótce jednak wszystkie nieprzyjemne emocje rozplynęły się w morzu pożegnań i grzecznościowych „Nie, nie,

proszę, państwo pierwsi". Właściciele samochodów zaparkowanych w pobliżu żółtego mustanga dopytywali się z troską, czy Paige i TJ chcą, żeby im zrobić miejsce na wyjazd.

- Nie, nie, dziękujemy - odpowiadał TJ. - Po prostu oglądamy gwiazdy.

Na poboczu komisarz Bob kierował ruchem. Dwa-
dzieścia minut później było już po wszystkim. Na
placu przed lunaparkiem zostały tylko błotniste śla-
dy opon, porozrzucane puszki po napojach, dziecię-
ca bluza i wspomnienie samochodowych reflektorów.
Ciszę wypełniała teraz cicha nastrojowa muzyka z ja-
kiejś stacji z Chillicothe i odgłosy demontowanych
urządzeń.

- Najbardziej lubię Wielką Niedźwiedzicę - rzekł
TJ. - To taki jednoznaczny gwiazdozbiór. Prostoli-
nijny, nowoczesny, oszczędny, a jednocześnie wy-
kwintny.

- Ja zawsze miałam słabość do Małej Niedźwie-
dzicy - powiedziała Paige.

- Filigranowe cacuszko, co? Zupełnie jak ty.

Roześmiała się. TJ uniósł się na łokciu.

- Wiesz, Paige, nie wyobrażam sobie, żebym mógł
tkwić na tym bezludziu z kimś innym poza tobą.

- To nie lada komplement.

- Mówię poważnie. Coś dziwnego się z nami sta-
ło, od kiedy zaczęliśmy tę podróż. Powinniśmy częś-
ciej urządzać takie wyprawy.

- Z twoim harmonogramem zajęć w rękę? I z któ-
rą twoją dziewczyną na doczepkę?

- Może potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko
przemyśleć.

I nagle górę wzięł instynkt. TJ przyciągnął Paige i pocałował, smakując słodycz jej ust i sól popcornu. Pierwszy jęk protestu przeobraził się po chwili w pomruk rozkoszy. Początkowo był gotów ją puścić, gdyby poczuł opór jej warg, ale teraz już było za późno.

To było takie oczywiste, takie właściwe i słuszne, że gdy dotknął jej ciała łagodnie wygiętego pod bluzką, wiedział, że ona też go pragnęła...

11

Drzwi samochodu trzasnęły równocześnie. TJ stał po jednej stronie żółtego mustanga, Paige po drugiej.

- O rany! - zawołał TJ, pocierając brodę.

- To był błąd - powiedziała Paige stanowczo, opierając dłonie na krawędzi drzwiczek.

- Tak myślisz? No, nie wiem. Było bardzo...

- Nie kończ.

- W ogóle?

- W ogóle. I tak już jest za późno.

- Na co?

- Na nasz związek.

- Nasz związek już jest faktem. Od lat. To w samochodzie, to był tylko pocałunek.

Oboje spojrzeli na tylne siedzenie samochodu, jakby siedział tam Kupidyn z pękatą kartoteką wykroczeń i zaległymi nakazami aresztowania.

- To nie był tylko pocałunek.

- No dobrze, dotknąłem twojej... piersi.

- Jesteśmy przyjaciółmi - powiedziała Paige. -

A to nie był przyjacielski pocałunek.

- To był nad wyraz przyjacielski pocałunek.

- Nie. Był dużo bardziej... pożądlivy.

TJ położył prawą dłoń na piersi, a lewą podniósł jak do przysięgi.

- No dobrze, pani mecenas, przyznaję, że był to nad wyraz pożądlivy pocałunek. I nad wyraz pożądlive uczucie. Ale nie widzę nic złego w całowaniu i dotykaniu, i nawet w posunięciu spraw jeszcze dalej.

Oczy Paige zwęziły się niebezpiecznie.

-Jak dużo dalej?

- Co to za pytanie? Jesteś dorosła, wiesz, dokąd to może prowadzić. - Pod presją jej spojrzenia uczynił szeroki gest. - No... dalej.

- Jak dużo dalej? Czy mówimy o dalej: Kochaniu się, czy dalej: całowaniu i dotykaniu?

Rozluźnił kołnierzyk, który nagle się stał wyjątkowo ciasny.

- Kochanie się byłoby miłe - powiedział z udawaną nonszalancją. - Jeśli oboje tego chcemy. I coś ci powiem: ja jestem za. Zdecydowanie głosuję za Kochaniem się.

Powoli zaczął odzyskiwać pewność siebie. Kiedy ją całował, miał uczucie, jakby wszystkie gwiazdy nagle zabłysły mu w głowie - Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica, a także wszystkie inne, średnie niedźwiedzice.

Teraz wiedział, czego chce, i wiedział, że to było słuszne. Uniósł głowę, oparł łokieć na przedniej szybie samochodu.

- Paige, pragnę cię. I sędzę... nie, wiem, że ty też mnie pragniesz. Twoje usta nie kłamią. One powiedziały „tak”. I tak samo twoje...

Paige jęknęła, zachwiała się i oparła o samochód. W oczach miała lęk.

- A więc to koniec naszej przyjaźni.

- Może nie jesteśmy stworzeni do przyjaźni, kochanie. To wcale nie byłby koniec świata.

Jej ściągnięte usta wyrażały sprzeciw.

- Paige, może to jednak prawda, że mężczyzna i kobieta nie mogą być przyjaciółmi - powiedział, zapalając się nagle do tej myśli. - Może zawsze istnieje między nimi niebezpieczeństwo pożądania. Tak jak powiedział Herman, jedno zawsze oczekuje czegoś "więcej niż drugie. Jedno jest istotą skomplikowaną, a drugie pożądlivym zwierzęciem, myślącym tylko o jednym. Możesz się domyślić, którym z dwojga jestem ja.

Między nimi stał samochód, niby gniazdo występku, symbol niskich pragnień i żądz, które mogły im przynieść rozkosz lub zniszczenie.

- A wtedy wystarcza jeden dotyk - ciągnął TJ - i bach! Koniec przyjaźni, a początek... czegoś innego.

Paige potrząsnęła głową.

- Pragnę cię, Paige - powiedział łagodnie. - I sądzę, że ty mnie też.

- Nie, TJ - odparła z namysłem. - Już za późno na coś więcej niż przyjaźń między nami, a twoje słowa przekonują mnie, że teraz i przyjaźni nie będzie. Zatem wszystko, w co wierzyłam, okazało się fikcją.

Łza spłynęła jej po policzku.

- Nie, kochanie, nie to miałem na myśli. Chciałem po prostu powiedzieć, że oboje czujemy coś więcej i że to może naturalne, że kobieta i mężczyzna chcą zrobić krok dalej. Przez całe stulecia nikomu nawet do głowy nie przychodziło, że kobieta i mężczyzna mogliby być przyjaciółmi. Tak więc jesteśmy całkiem nowocześni.

- Ani kroku dalej - powiedziała Paige, potrząsając głową.

- Boisz się, że następnego ranka do ciebie nie zadzwonię? To niemożliwe, ponieważ tkwię razem z tobą na kompletnym bezludziu i jutro rano też tu będę.

- To nie jest bezludzie, TJ. To jest Ohio - sprostowała Paige. - A co do następnych ranków, to wiozę cię właśnie do Chicago.

TJ popatrzył ze wstrętem na samochód, który ich rozdzielał - blacha i skóra rozciągały się w nieznośnie długie metry. Gdyby trzymał Paige w ramionach, przewyciężyłby jej opory. Wystarczyłby jeden pocałunek. Świadczyły o tym jej pałające policzki, twarde sutki pod bluzeczką, a nawet nerwowe bębnienie palcami w maskę samochodu. Wystarczyłby jeden pocałunek - żeby przestała nerwowo przygryzać wargi, jeden dotyk - żeby była jego.

Zaczął ostrożnie okrążyć samochód, lecz ona zrobiła tyle samo kroków w przeciwną stronę. Kiedy się skradał wzdłuż maski, ona przesuwiała się w stronę bagażnika, po czym oparła na nim dłonie; on ruszył w lewo, ona skręciła w prawo. Wyciągnęła palec w jego kierunku niczym nauczycielka upominająca niesfornego przedszkolaka, żeby się uspokoił. Wyglądali jak dzieci grające w „brakujące krzesło”.

- Posłuchaj, Paige, jadę do Chicago na spotkanie w sprawie fuzji - powiedział, opierając łokcie na bagażniku. - Ty możesz sobie spędzić ten czas wesoło na zjeździe absolwentów. Potem wrócimy razem do Nowego Jorku i będzie jak dawniej, albo lepiej. Znacznie lepiej niż dawniej. To zależy tylko od ciebie.

Pomyślał o pudełeczku z brylantem. Mógłby je teraz wyjąć i poprosić, żeby za niego wyszła. Tu i teraz. To by załatwiło sprawę.

Była przecież poważną kobietą, nie taką na mały skok w bok czy na jedną noc. To samo twierdził każdy facet, z którym TJ ją umawiał. A jeśli któremuś • to nie odpowiadało, dostawał od niego taką odprawę, że 'więcej nie próbował dyskutować.

Ożenić się z nią. O tak.

Klepnął się w czoło. Małżeństwo? O czym on w ogóle myśli? Jeszcze tydzień temu Paige była jego przyjaciółką i żadna inna myśl na jej temat nawet nie zaświtała mu w głowie. Małżeństwo? Z Paige to by było prawdziwe małżeństwo, a nie luźny związek, o jakim wspominała Shawna.

Musiał postradać zmysły, żeby snuć takie daleko- siężne plany. Pakowanie się w coś na oślep pod wpływem chwilowego impulsu było nie tylko nierozsądne, ale zupełnie do niego niepodobne. Poza tym nie mógł jej dać pierścionka, który kupił dla innej. Takie pogwałcenie etykiety zasługiwało na pięć lat w zawieszeniu. Co najmniej.

- Zapominasz o czymś, TJ. - Paige rozwiała jego złudzenia. - Ja nie wracam do Nowego Jorku.

- Och, naturalnie, kiedy byliśmy po prostu przyjaciółmi, nie mogłem oczekiwać, że zostaniesz w mieście tylko po to, żeby być ze mną. Ale teraz sytuacja się zmieniła.

- Nie wrócę do Nowego Jorku.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Moglibyśmy zamieszkać w Connecticut, w West-

chester albo na Long Island. Załatwię prawo jazdy, kupię samochód albo będę dojeżdżał na Manhattan pociągiem. Dwa dni w tygodniu będę pracował w domu. Mogę być wściekle nowoczesny, tak długo, jak długo będziemy konserwatywni pod jednym względem.

- Jakim?

- Będziemy szli spać do jednego łóżka.

Paige potrząsnęła głową.

- Wracam do Sugar Mountain, niewykluczone, że na stałe. I jeszcze jedno: raz się kochaliśmy i bardzo mi zależało, żeby zamknąć tamten rozdział ostatecznie i nigdy do niego nie wracać. Sądziłam, że mi się to udało. - Głos jej się załamał. - Tak czy inaczej tamta noc zmieniła moje życie: stałam się wybredna w doborze mężczyzn, przyjąłam pracę w Nowym Jorku, poszłam na prawo, mimo głębokiego przekonania, że ludzie powinni rozwiązywać swoje kłopoty w mniej konfliktowy sposób. Nie chcę się z tobą kochać, bo nie chcę, żeby mi się własne życie wymknęło spod kontroli. Panuję nad nim i nad sobą. Nie wdam się z tobą w romans ani teraz, ani nigdy więcej.

Spojrzała mu śmiało w oczy. Była blada, ale zupełnie spokojna. Dłonie opierała lekko i delikatnie na masce samochodu. Oczy w kolorze zielonych jabłek patrzyły na niego odważnie - nie miał teraz szans się przekonać, czy jej piersi wykazywały oznaki jakiegoś pobudzenia. Spokojnie wytrzymał jej spojrzenie. W końcu spuściła wzrok.

Westchnął. Starał się myśleć o czymś zimnym: lody, bałwan, igloo, lodowisko... aż w końcu czerwony wieczór zaczął bardziej przypominać styczeń.

Policzki przestały go piec, a tętno nieco zwolniło obłąkańcze tempo.

- Jedźmy lepiej - powiedział wreszcie. - Bo to tylne siedzenie płata nam niecne figle.

- Daj mi kluczyki. Nie masz prawa jazdy, poza tym to mój samochód.

Kiedy się mijali, TJ złapał ją za rękaw. W tle cytrusowo-sosnowego zapachu poczuła znajomą nutę, która przywołała jej na pamięć noc sprzed pięciu, nie, sprzed dziesięciu lat. Kochała się z nim, nie dopominając się o przyszłość, tymczasem przyszłość dopomniła się o nią. Wysłała ją w długi, wieloletni objazd. Tym bowiem był w gruncie rzeczy Nowy Jork - długim objazdem w jej życiu.

- Naprawdę uważasz, że jest za późno? - zapytał szeptem.

Skinęła głową. Dłonie, gotowe, żeby ją objąć, opadły bezwładnie. Oczy, ledwie widoczne w bladym świetle księżyca i uspionego diabelskiego młyna wyrażały zdumienie. Rozumiała go. Wszystko zawsze było dla niego w zasięgu ręki, wszystko można było zdobyć - ciężką pracą albo urokiem osobistym, po długich godzinach albo jednym uśmiechem. Tak czy inaczej zawsze dostawał, czego chciał. Czasem to było łatwe, czasem trudne, ale zawsze możliwe.

Nagle przyszła jej do głowy myśl, że przez te wszystkie lata traktował ją jak swoją, wprawdzie tylko przyjaciółkę, ale taką, która zawsze jest do jego dyspozycji, zawsze niezawodna - bez względu na to, czy chodziło o późną kolację, wyjazd na urlop czy piątego zawodnika do koszykówki.

Chętnie by mu ofiarowała tę niezawodność i teraz,

i... na zawsze, ale oczekiwała od życia tego, czego on jej nie mógł dać. Wcale się nie cieszyła, że będzie musiała sama stawić czoło wszystkiemu, co czekało na nią w Sugar Mountain, ale zrobi to. A potem będzie się zastanawiać nad przyszłością.

- Tak, dużo za późno - odpowiedziała i prześliznęła się między nim i maską samochodu.

Usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. TJ wsiadł z drugiej strony.

- W skrytce jest mapa - powiedziała rzeczowym tonem. - Rzadko jeżdżę do Chicago, chciałabym, żebyś mi trochę pomógł.

Po półgodzinnym milczeniu Paige westchnęła.

- W Sugar Mountain musi być ślicznie o tej porze roku. Wyobrażam sobie te dywany dzwonek i rudbekii, powietrze czyste i rześkie, nie jak w Nowym Jorku. I gra burmistrza Sterna na trąbce... Ciekawe, że weekend poza miastem może tak człowieka odświeżyć.

- Nie rób tego, Paige.

- Czego?

- Nie próbuj mnie przekonywać.

- Dobrze, ale ty mnie nie próbuj namawiać do powrotu.

- Zgoda.

Uścisnęli sobie dłonie.

- No to, o czym chcesz pogadać? - zapytał TJ.

W niezręcznym milczeniu wjechali na trasę międzystanową 65 i pomknęli na północ w kierunku Chicago. Paige zerknęła na TJ. Patrzył w zadumie przez okno. Kiedy zauważył jej badawcze spojrzenie, włączył radio i wyszukał stację z wiadomościami finansowymi. Głęboki męski głos podawał ostatnie kursy wa-

lut sprzed zamknięcia giełdy. Rubel, jen, peso, dolar...

- Nie mogę tego słuchać - powiedziała Paige, zmieniając częstotliwość. - Zaraz przy tym zasnę.

- To ważne informacje.

- Świetnie, więc wysłuchasz ich sobie w Chicago - odparła i nastawiła stację muzyczną.

- Jeśli każesz mi znowu tego słuchać... - ostrzegł TJ. - Rany, to chyba nigdy nie schodzi z list przebojów, a przecież to beznadziejna piosenkarka.

- Dobrze, dobrze, masz rację.

Znowu poruszyła gałką i spośród szumów wyłowiła jakąś audycję. Temat rozmowy: polityka Waszyngtonu.

- Brr - zareagowali zgodnie.

Wyłączyła radio. Zapadła przesywająca cisza.

- Paige, pamiętasz to? - zapytał TJ i zaczął śpiewać pieśń Kościoła Tysiąclecia: - „Darem jest wolność, darem w prostocie żyć, darem jest znaleźć się tam, gdzie powinienes być”.

W pierwszej chwili Paige nie poznała hymnu szkoły podstawowej w Sugar Mountain.

- Dziwię się, że to pamiętasz.

- Śpiewaliśmy to podczas każdej uroczystości, a potem co rok na spotkaniu absolwentów. Trudno to wyrzucić z pamięci. Przedwczoraj w nocy, w motelu, myślałem o tej pieśni i nie mogłem jej sobie przypomnieć. A teraz ciągle ją słyszę.

- „Darem jest wolność, darem w prostocie żyć”.

- Paige, co powiesz swoim rodzicom?

Przestała śpiewać. To nie będzie łatwe. Odebrać ojcu bank, najcenniejszą rzecz od chwili, gdy jako świeżo upieczony absolwent studiów po raz pierwszy otwo-

rzył jego drzwi. Trudno będzie również spojrzeć w oczy ludziom, którzy ucierpieli przez jego chorobę. Pewnie to rozumieją, ale Sugar Mountain i tak nie skorzastało należycie w latach rozkwitu i Paige wzdragała się na myśl, że przyjdzie jej kazać mieszkańcom miasteczka zacisnąć pasa jeszcze bardziej. Ogarnęła ją znajoma chęć, żeby podzielić się myślami z TJ, ale zdusiła ją, przygryzając wargi, aż poczuła w ustach słony smak.

Mogłaby mu też powiedzieć o jego matce, sam zrobił dobry wstęp. Ale milczała. Nie chciała, żeby wyskoczył z samochodu, a zrobiłby to z pewnością.

- Co powiem? - zastanawiała się na głos. - Nic, po prostu wejdę i zażądam z powrotem swojego starego pokoju.

- Nie jesteś zmęczona? - zapytał TJ kilka godzin później, podając jej puszkę z napojem. Chwilę przedtem pociągnął z niej spory łyk i czuł teraz w tyle głowy orzeźwiający wpływ kofeiny.

Paige potrząsnęła głową.

- Nie, wszystko w porządku. Jeszcze dwie godziny i wysadzę cię przed hotelem. - Jej głos zabrzmiał ochryple, może ze zmęczenia, a może dlatego, że struny głosowe przez długi czas nie pracowały.

Kilkugodzinne milczenie było dla niego ciężką próbą. Nie lubił długo rozmyślać, był człowiekiem czynu. Wiedział, co myśleć o fuzji: SunOil się umocni; o Motorconie: świetny nabytek - jak kupno złota po trzy dolary za kilogram, kiedy na szwajcarskim parkiecie kosztuje sto dwadzieścia; o stanowisku dyrektora naczelnego: zaszczyt.

Lecz na temat Shawny? Owszem, wiedział, czego

się spodziewać, jakie można mieć nadzieje i czego się obawiać, podobnie jak w każdej fuzji. Tylko że teraz jego z gruntu racjonalne postanowienie stało się nagle całkowicie absurdalne. Jezu, jeden pocałunek Paige wystarczył, żeby zapomniał o wszystkim, co przemawiało za poślubieniem Shawny.

Spojrzał na Paige. Przypomniało mu się, co powiedziała: że się stała wybredna w wyborze mężczyzn. Bóg jeden wiedział, ile w tym było prawdy. Mężczyźni byli zawsze albo za niscy, albo za wysocy, zbyt ambitni albo za mało ambitni. Co jeszcze mówiła? Aha - wszystko przez to, że raz, wiele lat temu poszli do łóżka.

- Mogę trochę poprowadzić - powiedział. - Powinnaś się zdrzemnąć. Widać, że jesteś zmęczona.

- Nie możesz prowadzić, nie masz prawa jazdy.

- Będę jechał wolno - nalegał TJ.

- Tobie się akurat bardzo spieszy.

- Dziewięćdziesiątką i tak spokojnie zdążę na poranne spotkanie.

- Musisz się jeszcze ogolić i oddać garnitur do wyprasowania. No i wziąć prysznic.

- Wszystko jest do zrobienia. Chodź, zamieńmy się. Ja sobie zawsze lepiej radziłem bez snu niż ty.

- No dobrze, ale nie miej do mnie pretensji, jak cię złapią. Wiesz dobrze, że ci z policji stanowej patrzą krzywym okiem na ludzi jeżdżących bez prawa jazdy.

- Potrafię się wykręcić z każdego mandatu.

- Nie miałem zamiaru przekraczać prędkości - tłumaczył TJ. - Tylko że ta ciężarówka wjeżdżała mi prawie na zderzak.

- Na razie proszę tylko o prawo jazdy.

TJ ściągnął usta.

- Nie mam.

- Wie pan, my tu w Indianie nie lubimy ludzi, którzy jeżdżą bez prawa jazdy - powiedział młody, gładko ogolony policjant. - Obawiam się, że muszę pana poprosić, aby pan wysiadł z samochodu.

TJ odpiął pas i otworzył drzwiczki. Policjant cofnął się, żeby mu zrobić miejsce. Oświetlił latarką samochód. Na tylnym siedzeniu spała Paige z jedną ręką na pluszowym pingwinie.

- Czy ta pani ma prawo jazdy? - zapytał policjant. - Jeśli tak, mogła poprowadzić.

- Była zmęczona. Martwiłem się o nią.

- Tak czy inaczej nie powinien pan prowadzić bez prawa jazdy. Trzeba się było zatrzymać w jakimś hotelu. - Zauważył wyraz twarzy TJ. - Nie ma w tym nic oburzającego.

- Nie dla wszystkich.

- Proszę o kartę rejestracyjną samochodu, a potem obudzimy tę panią, dobrze?

- Jasne.

TJ sięgnął do skrytki. Gdyby to był jego samochód, tam by właśnie włożył kartę wozu. Lecz skrytka była pusta - ani śladu mapy, ani nawet papierka po gumie do żucia.

- Pewnie ten Herman dał jej kartę, a ona ją schowała do torebki.

Policjant skierował snop światła na tylne siedzenie. Żadnej torebki tam nie było.

- No tak, zapomniałem. Torebkę skradziono jej w wesołym miasteczku.

- Proszę pana, to się może naprawdę skończyć jazdą na posterunek.

TJ popatrzył na szerokie rondo policyjnego kapełusza.

- Czy nie dałoby się jakoś uniknąć mandatu?

- Obawiam się, że sprawa jest za poważna na mandat.

, - Mamy jechać na posterunek?

- Niestety tak.

- Czy nie moglibyśmy załatwić tego między sobą? Jestem biznesmenem i na ogół staram się rozwiązywać problemy na gruncie bardziej, no wie pan, prywatnym.

Policjant zmrużył oczy.

- Do czego pan zmierza?

- Do czegokolwiek, co by mi pozwoliło jechać dalej. Widzi pan, jestem z Nowego Jorku, za kilka godzin muszę być w Chicago w interesach i naprawdę nie mogę sobie pozwolić na kolejną wizytę w komisariacie.

- Co to znaczy „kolejną”? - zapytał policjant, wyciągając zza paska kajdanki.

12

- Ze wszystkiego się potrafisz wykręcić, co? - powiedziała Paige, kiedy opuścili posterunek.

- Głowa do góry, przynajmniej nie siedzę w więzieniu.

- Bo się okazało, że nie miałeś czym przekupić policjanta.

- Wcale nie miałem zamiaru go przekupywać. - Nie krył irytacji, choć przez myśl mu przemknęło, że szczęściem w nieszczęściu nie wpuszczono Paige do pokoju przesłuchań, kiedy go przeszukiwano. Policjant otworzył aksamitne pudełeczko, rzucił okiem w kierunku poczekalni, gdzie się przechadzała Paige, i wyciągnął własne wnioski. TJ został wypuszczony tylko z ostrzeżeniem i cichym „Powodzenia, mam nadzieję, że powie: tak”, któremu towarzyszyło znaczące trącenie kapelusza.

- Muszę coś zjeść - stwierdził, przystając przed pustym, ciemnym barem. - Nim skończymy śniadanie, otworzą parking policyjny. Odbierzemy samochód i ruszymy w drogę.

- Rozmawiałam z dyżurnym sierżantem. Nie wydadzą nam z powrotem samochodu.

- Przecież dzwonili do Hermana - zauważył TJ. - Wiedzą, że samochód nie jest kradziony.

- Nie oddadzą go, dopóki Herman nie przyśle pi-semnego upoważnienia.

- Niech przyśle faksem.

- On nie ma faksu. Powiedział, że jego brat ciotecz-ny w sąsiednim miasteczku ma chyba faks na swojej stacji benzynowej. Zadzwoń do niego o siódmej. Te-raz jest czwarta. Sierżant mówił, że jak przyjdzie faks, to po wszystkich formalnościach będziemy mieć sa-mochód o dziesiątej. To i tak nie wystarczy, żebyś zdążył na spotkanie do Chicago. Zresztą nie wiado-mo, czy brat Hermana rzeczywiście ma faks.

- To znaczy, że zawałęm najważniejsze spotka-nie w mojej karierze, ponieważ nikt nie ma urzędze-nia, żeby przesłać jakiś świstek z jednego stanu do drugiego! - jęknął TJ, pocierając szczękę szorstką jak papier ścierny. Zauważył swoje odbicie w oknie ap-teki. Szkoda, że nie chodził w czasie studiów na za-jęcia z aktorstwa. Zmarszczył surowo usta. - Muszę się przespać. - Przeszedł na drugą stronę ulicy i wy-ciągnął rękę w kierunku małego pensjonaciku, o któ-rym mówił im policjant. - Popatrz, może byśmy coś wynajęli i chociaż na chwilę zmrużyli oko.

- Wykluczone - odparła Paige stanowczo.

- Daj spokój, tylko się zdrzemniemy. Zjemy śniada-nie, weźmiemy prysznic i załatwimy kilka telefonów.

- Nie, bo znowu wszystko skomplikujemy.

W ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie po-wiedzieć, że lubi komplikacje, zwłaszcza w pozycji horyzontalnej. Była teraz tak usposobiona do żar-tów jak średniowieczny scholastyk.

- Paige, i tak nie zdążymy do Chicago na moje spotkanie. Chodźmy się trochę przespać i odświe-

żyć. Napijemy się kawy, a o jakiejś przyzwoitej godzinie zadzwonię do Smitha i powiem mu, że nawa-liłem.

- Czemu cię jakoś nie martwi, że stracisz to spotkanie?

- Ponieważ ono jest ważne, ale nie na tyle, żeby... rany nie wytrzymam, jeśli się nie prześpię.

Zrobiła gest, jakby chciała mu przyłożyć dłoń do czoła, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki. Może nawet mógłby dostać Oscara? Złapał się za żołądek i jęknął.

- Zdasz na swoje spotkanie - powiedziała sucho. To by było na tyle, jeśli chodzi o jego aktorstwo. - Dojedziemy do autostrady. Prawdopodobnie uda nam się dotrzeć do Chicago na czas. Powinieneś być na tym zebraniu, skoro masz zostać dyrektorem naczelnym w nowym konglomeracie SunOil.

Minęła motelik. Przed gankiem paliło się światło. Właścicielką pensjonatu była matka owego policjanta z policji stanowej. Powiedziała synowi, że zostawi klucze pod wycieraczką. Mogli skorzystać z apartamentu dla nowożeńców na drugim piętrze.

Dogonił Paige.

- Masz zamiar iść do Chicago na piechotę?

- Nie, pojechać autostopem.

- To zbyt niebezpieczne dla kobiety. Tam jeździ kupa szaleńców.

- Przecież będziesz ze mną.

- Jeśli będę z tobą, nikt się nie zatrzyma.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał rację. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Jednodniowy zarost zmienił się w gęstą kłującą szczecinę. W koszuli, kupowanej

na zamówienie w jednym z najlepszych sklepów w Nowym Jorku i kiedyś wyprasowanej na sztywno, brakowało teraz dwóch guzików, była na niej za to tłusta plama niewiadomego pochodzenia. Włosy domagały się grzebienia, ale Paige nie była w nastroju do głaskania go po głowie.

- Może byś zszedł z drogi - zaproponowała.

- Posłuchaj, to kiepski pomysł. Możemy po prostu poczekać w motelu... Hej, zaczekaj na mnie!

Maszerowała w stronę wylotu na autostradę, nie zważając na pierwsze krople deszczu. „Zabierz go do Chicago. Dowieź go na to spotkanie” - nakazała sobie, ocierając policzek. Potem wróci tu szybko po samochód i pojedzie do Kolorado.

A może tam nie jechać, zważywszy na to, co ją czeka w domu? Mogłaby pojechać gdzieś indziej i zacząć nowe życie. Nie, była potrzebna rodzicom, nawet jeśli ojciec jej tam nie chciał.

W każdym razie była już prawie u celu. Odstawi TJ do Chicago, odda go w ręce prezesa SunOil i jego Oliwkowej córki, a potem zmyje się czym prędzej.

Deszcz padał coraz gęstszy. TJ zdjął koszulę i rzucił jej na ramiona. Podziękowała mu przelotnym spojrzeniem i w tym samym momencie dostrzegła za jego plecami światła samochodu. Wyciągnęła rękę z uniesionym kciukiem.

- Paige, cofnij się - ostrzegł TJ. - Ten facet się nie zatrzyma. Proszę cię!

Ale ona się Zawzięła. Coś się wreszcie musi udać. Nie drgnęła nawet wtedy, gdy ciężarówka mignęła ostrzegawczo światłami i zatrąbiła donośnie.

Jednym szarpnięciem TJ ściągnął ją z pobocza do-

kładnie w chwili, gdy osiemnastokółowy gigant bryzgał na nich strumieniem zimnej, błotnistej wody. Pchnięci siłą podmuchu stoczyli się po nasypie i wyładowali w rowie na rozmokłej trawie - TJ pierwszy, łagodząc upadek Paige. Zamknął ją w ramionach.

- Wiesz, Paige, to jedna z trudniejszych podróży w moim życiu.

Stękając, ściągała z twarzy źdźbła trawy i wypychała językiem błoto z ust. Próbowwała się podnieść, lecz TJ przytrzymał ją mocno i gdyby zwróciła na niego więcej uwagi niż na rozdarcie w bluzce, zauważyłaby, że nad czymś usilnie myśli, coś pracowicie knuje.

- Paige, wyobraźmy sobie przez chwilę, że jesteśmy w ciepłym wygodnym łóżku - powiedział. - Na stoliku nocnym stoi telefon, możemy wezwać obsługę. Wzięliśmy właśnie gorący prysznic i wytarliśmy się w duży puszysty ręcznik.

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie szeroko otwartych zielonych oczu.

- Udajmy, że to była przyjemna podróż - ciągnął. - Nie porwałaś mnie, wymyślając podstępnie bajeczkę o bogatym pustelniku. Nie próbowałaś mnie zaciągnąć na zjazd absolwentów pomimo mojej zdecydowanej odmowy. Spotkanie w Chicago nie jest dla mnie aż tak "ważne, żebym miał ochotę stać i czekać, aż mnie zdmuchnie z szosy następna ciężarówka.

Paige wyszarpnęła się z jego objęć. Naddartym kawałkiem materiału targał wiatr, buty i skarpetki TJ przesiąkły wodą, ramię bolało go po upadku, śmierział błotem, trawą i spalinami.

- No dobra, przepraszam! Przykro mi! - zawołała.

- Powinno ci być piekielnie przykro.
- I jest.
- Na tyle, żeby wrócić do motelu?
- Wstawaj - warknęła, podnosząc się i wyciągając rękę. - Spróbuję jeszcze raz. Odstawię cię do Chicago i to jeszcze dzisiaj rano.

Przyjmując jej wyciągniętą rękę, chciał tylko udawać, że potrzebna mu pomoc, lecz ból w żebrach przekonał go, że naprawdę nie da rady wstać o własnych siłach.

- To ty jesteś Tygrysem z Wall Street - powiedziała. - To ty się tak cholernie zawzięłeś, żeby poświęcić życie dla biznesu, że w końcu nie masz już życia w ogóle.

- W tej chwili marzę tylko o wygodnym łóżku, gorącym prysznicu i czystym ubraniu. Pod wycieraczką tego małego hoteliku obok posterunku leży klucz i uważam, że po tym wszystkim, co przez ciebie przeszedłem, powinnaś wykazać odrobinę przyzwyczajenia i... - Spojrzał na pobocze oświetlone reflektorami nadjeżdżającego samochodu. Paige trzymała wyciągnięty kciuk.

- I co? - zawołała, przekrzykując piekielny terkot tłumika nadjeżdżającego cadillaca.

Samochód zatrąbił niecierpliwie.

„No nie, znowu?” - pomyślał TJ i wyskoczył z gęstej trawy na pobocze, żeby złapać Paige. Zobaczył przerażony wzrok kobiety siedzącej za kierownicą.

Tym razem się nie przewrócili.

- Sama widzisz, że to nie ma sensu - powiedział, wskazując znikający pojazd. - To był głupi pomysł. Wracajmy do motelu. Czy nie mogłabyś... czy nie... czy...

- TJ, co się stało z twoim głosem?

- Nic - odparł, odchrząknawszy. - Tylko nigdy bym nie podejrzewał, że możesz nosić biustonosz z lampartem.

Paige spojrzała na rozdarcie w bluzce, przez które w pomarańczowym świetle latarni widać było firmowy nadruk w postaci dzikiego lubieżnego zwierzęcia.

Cadillac zniknął już dawno za horyzontem.

- No dobrze, może rzeczywiście autostop nie jest w tej sytuacji najlepszym wyjściem - burknęła, poprawiając bluzkę. - Potrzebuję igły i nici.

- Ja też czegoś potrzebuję i nie ma to nic wspólnego z przyrządami do szycia - powiedział TJ tak cicho, że Paige go nie usłyszała.

- Gdzie jest ten motel? - rzuciła przez ramię.

Pod cienką białą bluzeczką widział zarys czarnego ramiączka i za tym cieniutkim paseczkiem poszedłby teraz na koniec świata.

Zgodnie z tym, co powiedział policjant, klucze leżały pod wycieraczką. Cichutko, na palcach weszli do holu pachnącego karmelem i naftaliną. Na kredensie z klonowego drewna leżała wiklinowa taca z talerzem herbatników, dwiema szklankami mleka i karteczką: „Mój syn kazał Wam powiedzieć, że zadzwonią, kiedy samochód będzie gotowy”.

TJ wziął ciastko.

- Cśśś, nie chrup tak głośno - upomniała go Paige.

Wzięła tacę i ruszyła w stronę schodów, lecz deski podłogi zaprotestowały głośnym trzeszczeniem. Zsunęła zabłocone buty i ostrożnie postawiła stopę na pierwszym stopniu. Skrzypnięcie było okropne.

- Nawet nie usiłujcie nie hałasować - odezwał się z góry głos.

Podnieśli głowy i ujrzeli na podeście kobietę z głową przyozdobioną ogromnymi wałkami.

- W tym domu podłoga zawsze skrzypi. Prawdopodobnie nikomu by się nie udało mnie okraść, bo usłyszałabym złoczyńcę, zanim by zdążył dojść do pierwszego wartościowego przedmiotu.

TJ bez skrupułów dokończył czekoladowe ciastko z orzechami.

- Przykro nam, że panią obudziliśmy - powiedziała Paige, wchodząc na piętro.

- Nic nie szkodzi. Syn ciągle mi przysyła zagubionych turystów i pijanych kierowców.

Nagle kobieta zwróciła uwagę na nadmiernie wydekoltowaną bluzkę Paige.

- Bardzo ładny biustonosz - stwierdziła. - Czy to „Victoria's Secret”?

Paige odwróciła głowę i stanęła twarzą, a właściwie biustonoszem w twarz z TJ, który popatrzył na nią z miną niewiniątka: „W końcu jeśli próbujesz łapać autostop na pustej autostradzie w rozdartej bluzce, sama się prosisz o to, żeby ludzie komentowali twój gust w doborze bielizny”.

- Tak - przyznała przez zaciśnięte zęby. - To „Victoria's Secret”.

„No proszę, nie wiedziałem, że w ogóle zwróciłaś uwagę na ten katalog” - pomyślał TJ. „I to po tylu latach mojego namawiania”.

- Ja mam nawet ich kartę kredytową - powiedziała kobieta. - A pani?

- Nie sądzę, żebym...

- Zaprowadzę panią i męża do pokoju. Macie jakieś bagaże?

- Nie, proszę pani - odrzekł TJ.

- On nie jest moim mężem - wtrąciła Paige.

Kobieta zmierzyła ich oboje spojrzeniem sędziego, który z góry rozstrzygnął wynik walki zapaśniczej, a teraz jej przebieg był zupełnie nie po jego myśli.

- Mam tylko jeden wolny pokój, a bardzo mocno wierzę w więzy małżeńskie. Jeżeli nie jesteście małżeństwem, lepiej niech jedno od razu wyjdzie.

„To nie będę ja” - stwierdziła bez słów Paige, spoglądając dwa stopnie w dół.

„To nie będę ja” - odpowiedział nieustępliwym spojrzeniem TJ.

- Jesteśmy małżeństwem - oświadczył.

- Jesteśmy - potwierdziła Paige, krzyżując palce za plecami.

- Strasznie się cieszę, bo taka śliczna z was para - powiedziała gospodyni. - Co wy na to, żebym wam pożyczyła koszulę nocną i bluzkę na wyjazd? Dostałam je w zeszłym miesiącu z „Victoria's Secret”.

- To by było bardzo miłe z pani strony - rzekł TJ. - Prawda, kochanie? Moja droga żoneczka ubóstwia „Victoria's Secret”. Ciągle coś u nich kupuje.

Wobec niemożności wyrażenia swojej dezaprobaty w inny sposób, Paige pokazała mu język. W odpowiedzi TJ posłał jej całusa.

Kobieta zaprowadziła ich do sypialni na drugim piętrze. Było to urocze małe ustronie ze skośnym sufitem, łóżkiem ze słupkami i stolikiem nocnym. TJ wziął tacę z ciastkami, schylił głowę i zamknął za sobą drzwi. W czasie gdy Paige poszła z gospodynią

po koszulę nocną i nową bluzkę, on ściągnął brudne dżinsy, koszulę i skarpetki. Wskoczył pod kołdrę dokładnie w chwili, gdy Paige wróciła do pokoju.

Zaprezentowała w powietrzu kawałek materiału, który przypominał serwetkę na stół.

- Co to?

- Moja nowa koszula nocna - powiedziała Paige. - Nie mogłam przecież odmówić ani poprosić o coś bardziej... no, bardziej...

- O kurczę, podoba mi się. Przymierz.

Spojrzała na niego wzrokiem: „Nawet o tym nie myśl.

• - A bluzka?

- Zamknij oczy. I nie podglądaj.

Kiedy się skończyła przebierać, jęknęła żałośnie. TJ otworzył oczy. Miała na sobie ażurową bluzeczkę, która bez wątpienia mogłaby zastąpić sieć rybacką, lecz jako bluzka pozostawiała sporo do życzenia. W każdym razie tak mogliby uważać niektórzy, bo według TJ były to bardzo miłe życzenia. Zwłaszcza jeśli pod spodem był biustonosz z lampartem.

- Jest naprawdę... urocza.

- Wyglądam jak jakaś lafirynda.

Ponieważ istotnie mogłaby pozować do zdjęć w katalogu, z którego pochodził jej strój, wolał z nią nie dyskutować.

- Może gdybyś włożyła na wierzch moją koszulę...

- Gdybym to zrobiła, ty byś nie miał co nosić. A co do twojej koszuli, to zdaje się, że jej nie masz na sobie.

- Coś takiego - powiedział TJ, patrząc na swój goły tors.

- Śpisz na podłodze, więc wychodź spod kołdry.
- Spałem na podłodze wczoraj i przedwczoraj.
Dzisiaj śpię na łóżku. Zasłużyłem na to.

- W takim razie ja będę spać na podłodze.

- Paige, tu nie ma miejsca, żeby się położyć na podłodze. Proszę, chodź do łóżka. Nie jestem zwierzakiem. Będę leżał grzecznie po tej stronie. Tylko ty się pilnuj, żeby leżeć na swojej połowie.

- Zamknij oczy.

Zrobił, co mu kazała. Usłyszał odgłos rozpina-nych dżinsów, potem szelest materiału, kiedy się wyśliznęła ze spodni i kopnięciem odrzuciła je na bok. Zaszło mu w gardle.

- Mogę już otworzyć oczy?

- Jeszcze nie.

Uniosła kołdrę. Poczul pieszczotliwe dotknięcie chłodnego powietrza, a potem znowu ciepło, kiedy się ułożyła na łóżku. Nie śmiał się poruszyć. Ich ciała się nie dotykały

- Wiesz, Paige - powiedział, oblizując spierzchnięte wargi. - Nigdy nie myślałem o tobie jak o kobiecie seksy. W ogóle cię nie łączyłem w myślach z seksem.

- I wzajemnie.

- Wygląda to tak, jak gdybyśmy usunęli tamtą noc z naszej pamięci. Byłaś dla mnie kumplem, partnerem do golfa, kimś, z kim można potrenować wsady do kosza.

Otworzył jedno oko. Ponieważ go nie zbesztala, rozluźnił się i położył rękę swobodnie na prześcieradle.

- Albo iść do kina - dodała. - Albo spędzić deszczowe popołudnie, takie, kiedy ma się chęć poczytać przy kominku.

- Dawno tego nie robiliśmy - powiedział. - W każdym razie to bardzo dziwne uczucie. Wiem, że jesteś kobietą, cholernie piękną kobietą. Zawsze o tym wiedziałem, tylko... no wiesz, jakoś to do mnie nie docierało. Nie wiem, jak to wpłynie na nasze...

Zerknął na nią z ukosa. Miała zamknięte oczy, długie rzęsy rzucały cień na policzki. Oddychała wolno i rytmicznie. Jej palce zaciskały się na koronkowym obszyciu kołdry.

Ostrożnie wyjął jej z palców koronkową lamówkę i na ułamek sekundy uniósł kołdrę. Gwizdnął cicho, po czym starannie wygładził kołdrę.

- No, no. Majteczki do kompletu - westchnął i postanowił, że lepiej jednak prześpi się na podłodze. Co z tego, że oboje leżeli na samych krawędziach łóżka?

Wcisnął się między ścianę i falbankę zwisającą z łóżka. Starał się odwrócić myśli od wszystkiego, co erotyczne, od Paige i od majteczek z lampartem.

O, nie - pomyślał, spoglądając na zegarek. Za pięć wpół do piątej. Zatem spędzi dwie i pół godziny, gapiąc się w sufit.

Spróbuj wyliczać sławnych ludzi o imionach i nazwiskach na tę samą literę. Alan Aida, Barbi Benton, Bia... biała... suknia...

Znowu był w kościele i czekał na swoją przyszłą żonę idącą ku niemu w białej sukni.

Kobieta w białej sukni sunęła między ławami na wy głównej. Czarne ramiączko biustonosza prześwitywało przez połyskujący ażurowy materiał.

Nie czekał na pastora. Nie czekał na przysięgę. Wziął ją w ramiona i...

Obudził się.

Przez firanki wlewało się do pokoju jasne światło. Obejmował ją w talii, nogami oplatał jej nogi, jego twarz tonęła w jej włosach.

Paige odskoczyła jak oparzona. TJ usiadł. Jakim cudem się znalazł na łóżku?

- Przepraszam - wymamrotał.

Nie wychodząc spod kołdry, podniosła z podłogi dzinsy, włożyła je i zapięła, nie dając mu najmniejszej szansy rzucenia jeszcze raz okiem na majteczki z lampartem.

- Jest za piętnaście siódma - powiedziała. - Zbierajmy się i chodźmy na posterunek.

Wyśliznęła się spod kołdry i poszła do łazienki.

TJ się przeciągnął. Widać nie będą rozmawiać na temat tego przebudzenia w jednym łóżku. Cóż, jeśli o niego chodzi, nie ma sprawy. Miał więcej doświadczenia niż Paige i świetnie wiedział, jak to się skończy. To tylko kwestia czasu. Będzie cierpliwy.

Już raz się kiedyś kochali i prędzej czy później ona będzie jego. Na zawsze.

- Przykro mi - powiedział sierżant dyżurny, nie kryjąc zachwyty na widok Paige w jej nowej, ażurowej bluzeczce. - Pan Herman powiedział, że jego brat cioteczny nie ma jednak faksu na stacji. Może przysłać upoważnienie pocztą, ale to potrwa kilka dni, albo przyjechać tu za jakieś trzy godziny.

- Czemu nie może mu pan po prostu uwierzyć na słowo i wydać nam samochód? - spytała Paige. Kosmyk włosów opadł jej na oczy błyszczące dojrzałą zielenią. Nawet z najlepszymi firmowymi produktami w ręku, nawet z kwiatem nazwanym na swoją cześć nie mogłaby być bardziej seksowna niż w tej chwili.

Sierżant otworzył usta jak pisklę czekające w gnieździe na dżdżownicę przyniesioną w dziobie przez matkę. TJ nie podobało się to spojrzenie.

- Paige, przepisy są przepisami. Muszą mieć dokumenty, zanim nam wydadzą samochód. Lepiej wracajmy do łóżka i... - Obejrzał się, lecz ona była już prawie przy drzwiach. - Paige, nie przejmuj się tym moim spotkaniem. Zadzwońię do Chicago. Nic się nie stanie, jak nie zdążę. Naprawdę. - Odwrócił się do sierżanta. - A pan niech więcej nie patrzy na moją dziewczynę takim wzrokiem.

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać - odparł policjant, rozluźniając kołnierzyk. - To przez tego lamparta prześwitującego przez bluzkę. Poczuję się jakoś dziwacznie, jak, jak...

- Zwierzę - warknął TJ. - Wiem. Czuję się tak sa-

mo. Ale to jeszcze nie znaczy, że może się pan na nią gapić.

- Dobrze, już dobrze. Ale lepiej niech pan za nią idzie, bo jak faceci na ulicy się na nią zagapiają, to będziemy mieli korek jak jasna cholera.

Piekielna autostrada. Międzystanowa 70, potem trasa 65. Prościutko do Chicago.

Minęła motel, minęła park, w którym para kochanków mogła sobie leżeć na trawie i przez godzinę grzać się w promieniach słońca. Minęła tablicę głoszącą: „Opuszczacie Middlefork. Życzymy bezpiecznej i przyjemnej podróży. Wracajcie szybko!”.

TJ klął na autostradę.

- Paige, nie pojedziemy autostopem.

- Owszem, pojedziemy. - Stała przy drodze, wyciągnęła kciuk, uśmiechnęła się. I rozpętała piekło.

Droga nie była wprawdzie zanadto zatłoczona: trochę ciężarówek, których kierowcy chcieli przejechać jak najwięcej za dnia, farmerzy, dla których siódma rano nie jest wcale taką wczesną porą, ludzie dojeżdżający do pracy, którzy musieli wyruszyć o świcie, aby o dziewiątej siedzieć przy biurku. Każdy pojazd miał jakiś punkt docelowy i każdy kierowca chciał do niego dotrzeć jak najszybciej.

Wszystkie jednak punkty docelowe zeszły na dalszy plan wobec konsternacji na widok ślicznej, seksownej damy w potrzebie. Droga się nagle zapełniła rycerzami w lśniących zbrojach.

- Podrzucić cię, siostrzyczko?

- Nie, nie podrzucić - powiedział TJ do lubieżnie uśmiechniętego kierowcy sześciokołowej ciężarów-

ki, która z piskiem opon zahamowała tuż przed Paige. Kierowca zaklął wściekle i z rykiem silnika ruszył w dalszą drogę.

- Czemu to zrobiłeś?

- Nie podobał mi się ten facet.

Tymczasem na pobocze zjechał z warkotem nowy model pontiaca.

- Dokąd to się wybierasz, młoda damo? - Z samochodu wysiadł kierowca w blezerze w kratę, szarych spodniach i szpetnym tupeciku. Kiedy człapał w ich stronę, niósł ze sobą ostry zapach czosnku.

- Do Chicago - powiedziała Paige.

- Mogę panią zabrać. Jadę co prawda do Minneapolis, ale nie mam nic przeciwko nadłożeniu drogi, aby pomóc pięknej kobiecie.

- Mnie też pan musiałby zabrać - odparował TJ. - I ja będę siedział z przodu. I uprzedzam, że przez ostatniego faceta, który patrzył na moją siostrę w ten sposób, wylądowałem za kratkami.

Kierowca bez słowa wrócił do samochodu.

W ten sam sposób zostały odprawione wszystkie następne ciężarówki, pick-upy, sedany, furgonetki i motocykle.

- TJ, nie poprawiasz sytuacji takim niegrzecznym zachowaniem - powiedziała Paige po szczególnie ostrej wymianie zdań z kierowcą samochodu dostawczego z piekarni, który gotów był wziąć wolny dzień w pracy, żeby odwiedzić Paige (samą) do Chicago. - Ciebie też by zabrali, gdybyś się nie zachowywał jak gbur.

- Nie zachowuję się jak gbur, tylko się staram cię chronić.

- Zachowujesz się jak palant.

Znowu wystawiła kciuk.

- Wielki Boże, nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy się zamienisz w wampa.

- Tylko dlatego, że założyłam tę głupią bluzkę?

- Nie tylko. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Włosy ci opadają na twarz, piersi jakoś... rzucają się w oczy, a dzinsy podkreślają twoje kształty. Ale to też nie wszystko. W Nowym Jorku roztaczałaś wokół siebie aurę profesjonalizmu, zawodowstwa, jakbyś wysyłała fluidy: „traktujcie mnie z szacunkiem”.

- A teraz?

- Teraz jesteś chodzącą reklamą kobiecego seksapilu.

- Naprawdę?

- Czy ty się tym w ogóle nie przejmujesz? Nie martwi cię to?

Zastanowiła się. Naturalnie była przyzwyczajona, że odnoszono się do niej z respektem i uznaniem, które wzrastały wraz z jej pozycją i eleganckim gabineciem. Ciężko pracowała na to, żeby ją traktowano poważnie. A teraz...

Minęła ich zielona wojskowa ciężarówka i choć nie stanęła, posypały się z niej liczne okrzyki, gwizdy i całusy posłane Paige przez żołnierzy.

Pomachała ręką w stronę samochodu.

- Nie - podsumowała. - Wcale mnie to nie martwi.

- No to nie mamy o czym gadać - powiedział TJ, ściągając koszulę. - Zakładaj to.

- Teraz faktycznie nikt się nie zatrzyma.

- No i dobrze. Wolę tu stać tydzień, niż próbować swoich sił z którymś z tych zwierzaków.

Paige założyła koszulę, która sięgnęła jej do kolan. Wyraźnie poprawiło to stan bezpieczeństwa na drodze, ale nie zmieniło samopoczucia TJ. A powodem wcale nie była strata koszuli.

- Paige, nie wiem, czy kiedykolwiek będę mógł zapomnieć, że jesteś kobietą.

W tej samej chwili na pobocze zjechał duży zielony ford escort. Wypuszczając kłęby spalin, zatrzymał się trzydzieści metrów dalej.

Paige podbiegła do samochodu. TJ nie miał innego wyjścia, jak ruszyć za nią. Z okna kierowcy wychyliła się kobieta.

- Dokąd jedziecie?

- Do Chicago - odpowiedział TJ.

- Do hotelu Palmer House - dodała Paige.

- Wsiadajcie - nakazała kobieta.

Ledwo TJ zdążył zatrzaskać drzwiczki, energicznie wcisnęła pedał gazu.

- Mam na imię Janice - powiedziała i patrząc w lusterko, kiwnęła głową, kiedy Paige i TJ się przedstawili.

- Pracuję w piekarni w zachodniej dzielnicy Chicago. Zrobiło się tak gorąco, że musimy z dziewczynami przywozić na zmianę ręczniki do ocierania potu. Potem je zabieramy do prania. Przepraszam, że musicie się tam razem gnieździć. - Zerknęła do tyłu.

- Nic nie szkodzi, dziękujemy - odparł TJ.

- Macie tylko jedną koszulę na spótkę?

- Tak, ale jej jest bardziej potrzebna niż mnie.

- Tam w koszu z praniem leży podkoszulek mojego syna. Może pan go przymierzyć.

TJ włożył koszulkę bez rękawów. Była ciasna, ale przynajmniej miał coś na sobie.

- Dziękuję.

- Po co jedziecie do Palmer House? To cholernie paradny hotel.

- Mam tam spotkanie - odparł TJ.

- Rozumiem - powiedziała Janice takim tonem, jakby raczej chciała powiedzieć: „Aha, akurat”. - Pani też? - zwróciła się do Paige.

- Nie, ja jadę na zjazd absolwentów mojego liceum.

- Chyba powinna się pani przedtem przebrać.

- Czy mogłaby nas pani podrzucić do hotelu? - zapytał TJ, próbując się uśmiechnąć czarująco do lusterka. Koniecznie musiał się ogolić i ostrzyc.

- Trochę mi to nie po drodze. Jak się spóźnię, bracia Nelsonowie obetną mi pensję za cały ranek.

- To niesprawiedliwe - stwierdziła Paige.

- Powiedziała pani bracia Nelsonowie? - zapytał TJ.

- Tak. Piekarnia braci Nelsonów, tam pracuję. Robimy takie sajgońskie placuszki z ryżu, Crispy Cruellers.

- Crispy Cruellers braci Nelsonów? - upewnił się TJ.

- Tak, to właśnie to. Są pyszne, ale ja nie mogę już na nie patrzeć. Pracuję tam dziesięć lat i dawno już straciłam na nie apetyt.

- A gdybym zadzwonił do Nelsonów i poprosił, żeby nie obcinali pani pensji?

Janice się roześmiała.

- Jasne. Może pan jeszcze poprosić o podwyżkę i powiedzieć, że dziewczynom w kuchni jest gorąco jak w piekle i że potrzebujemy klimatyzacji.

- Dobrze. Poproszę. Dostanie pani podwyżkę.

Janice potrząsnęła głową.

- Uroczy z pana facet. Ma pan styl. Przydałaby się panu jeszcze praca za jakieś porządne pieniądze. Mógłby pan sobie "wtedy kupić przyzwoite ubranie. Wysadzę was przed Palmer House, prosto na ten ich czerwony dywanik.

- Nie będzie pani żałować - powiedział TJ.

Janice znów pokręciła głową.

- Proszę mi powiedzieć, co by jeszcze chciała pani zmienić w swojej pracy - zachęcił ją TJ.

- Przede wszystkim ubezpieczenie zdrowotne. Mają ten nędzny fundusz pracowniczy, ale...

Godzinę później ford escort zjechał przed czerwony dywan hotelu Palmer House. Ledwo TJ wysiadł z samochodu, kiedy przystąpił do niego portier w liberii. TJ minął go bez słowa.

- Proszę, niech pani to weźmie. - Janice wyciągnęła z kieszeni dwadzieścia dolarów. - Przyda się wam.

- Och, nie, nie ma potrzeby - odparła Paige. - Ale dziękuję. Dziękujemy za wszystko.

- Ciągle kogoś podwożę, ale nikt mnie tak nie ubawił jak ten pani facet, kiedy powiedział, że mi załatwi podwyżkę, zmianę ubezpieczenia i fundusz emerytalny.

- On naprawdę to robi.

- Jasne - powiedziała Janice. - Lepiej niech pani za nim idzie.

Uścisnęły sobie dłonie. Gdy escort odjechał, Paige weszła w obrotowe drzwi.

- Jesteśmy razem - zbyła natarczywe pytania drugiego odźwiernego i weszła po marmurowych schodach do luksusowego holu Palmer House.

TJ stał przy biurku recepcji. Nieopodal czekał portier, gotów w każdej chwili wyprosić go na dwór.

- Mam tu rezerwację - upierał się TJ.

- Chcielibyśmy zobaczyć jakiś dokument, proszę pana - powtórzył wyniośle recepcjonista.

- Nie mam przy sobie portfela.

- Wobec tego obawiam się, że nie możemy pana przyjąć w tym hotelu. Proponuję Pacific Gardens Mission House. To hotel dla takich gości jak pan.

- Proszę posłuchać. Nazywam się TJ Skylar. Przyjechałem na zebranie SunOil. Miałem po drodze drobny kłopot... z samochodem.

Recepcjonista zmierzył go od góry do dołu i z dołu do góry, po czym przeniósł spojrzenie na Paige. „Całkiem spory kłopot z samochodem” - mówił jego wzrok.

- Bez żadnego dokumentu ani środków płatniczych nie możemy...

- Niech pan zadzwoni do prezesa SunOil. On też się zatrzymał w tym hotelu.

- Nie będę niepokoił gości o tak wczesnej godzinie. "% - Proszę - powiedział TJ tonem ani proszącym, ani aroganckim. - Jestem zmęczony, przemoczony i spóźniony na bardzo ważne spotkanie. Chcę się widzieć z panem Smithem.

- Czy ktoś tu o mnie mówi? - Do biurka podszedł niski łyśawy mężczyzna w szarym garniturze. Garnitur był włoski, uszyty z drogiego jedwabiu, ale nie leżał dobrze na potężnych ramionach i jeszcze potężniejszym brzuchu mężczyzny. - Zszedłem po gazety, a tu jakieś zamieszanie.

- O, pan Smith - powiedział recepcjonista. - Ten... dżentelmen twierdzi, że ma wziąć udział w pańskim...

- TJ! - ryknął pan Smith. - Stary draniu, wyglądasz jak nieszczęście. Gdzie twoja koszula? Prezentujesz się jak młody Marlon Brando.

Wyciągnął rękę, żeby uścisnąć dłoń TJ, ale najwyraźniej po namyśle zmienił zamiar. Spojrzał na recepcjonistę jak na zepsutą rybę.

- O co chodzi?

- Nic, nic, proszę pana. Właśnie wpisuję pana Skylara do książki meldunkowej - powiedział recepcjonista, rzucając się do klawiatury. - Tak, panie Skylar, mamy dla pana zarezerwowany apartament na najwyższym piętrze. Myślę, że będzie pan z niego zadowolony.

- Chyba pójdę po tę gazetę - rzekł pan Smith. - Spotkamy się na zebraniu. Powiem Shawnie przy śniadaniu, że przyjechałeś. Spadnie jej kamień z serca.

- Jeśli chodzi o Shawnę, chciałbym z panem porozmawiać.

Pan Smith podniósł dłoń.

- Nie teraz, wielkie nieba, nie teraz. Najpierw interesy. Potem będziemy rozmawiać o miłości - powiedział i począpał do hotelowego kiosku.

- Ale, panie Smith, obawiam się, że nie spodoba się panu to, co chcę powiedzieć - ostrzegł TJ.

- Jeśli oboje będziecie szczęśliwi, na pewno mi się spodoba - zawołał pan Smith przez ramię.

- Panie Skylar, gdyby pan zechciał tu podpisać - powiedział recepcjonista i przechylając się przez marmurowy blat, dodał: - Czy ma pan jakieś bagaże?

- Nie, ale jest ze mną znajoma - odparł TJ, wskazując Paige.

Recepcjonista prychnął z lekka.

- W takim razie dam państwu dwa klucze.

- Czy pokój ma oddzielne łóżka? - spytała Paige.

- W apartamencie znajdują się dwie sypialnie - powiedział recepcjonista.

- Nie będziemy potrzebować aż tylu - powiedział TJ, biorąc klucze od recepcjonisty i prowadząc Paige w kierunku windy.

- TJ, chyba nie sugerujesz czegoś głupiego? Po tym wszystkim, co mówiłam?

- Wiem, co mówiłaś, kotku.

- Czemu mam wrażenie, że nie dotarło do ciebie ani jedno słowo?

- Słyszałem cię głośno i wyraźnie. I nie tylko twoje słowa. Słuchałem cię wszystkimi zmysłami.

- Co to ma znaczyć?

Czubkiem palca dotknął jej nosa.

- To, że mnie pragniesz, kochanie.

Paige odskoczyła jak oparzona.

- Nieprawda!

- Prawda. Nawet teraz masz ochotę się ze mną kochać. Widzę to w twoich oczach. Robią się jeszcze bardziej zielone.

- Nie chcę się z tobą kochać. To by zniszczyło naszą przyjaźń.

TJ pokręcił głową, słysząc to afektowane zaprzeczenie.

- Kochanie, to żaden wstyd. Ja też chcę się z tobą kochać.

- Nigdy nie mówiłam...

- Och, mówiłaś każdym swoim gestem.

Weszli do windy. Paige zerknęła w lustro. Czy jej oczy naprawdę były bardziej zielone? Spojrzała mu w twarz. Nie miała wątpliwości co do jego intencji. Sięgnęła ręką pod szyję, żeby zapiąć ostatni

guzik koszuli, ale TJ powstrzymał ją pocałunkiem.

- Już za późno, TJ - wyszeptała.

- Lepiej późno niż wcale - powiedział. - Poza tym, Paige, nigdy nie jest za późno.

Potrząsnęła głową i wysliznęła się z jego objęcia.

- Lepiej rozstańmy się od razu. Zadzwońię do banku i poproszę, żeby mi przysłali pieniądze. Zraz potem wyjadę.

TJ wzruszył ramionami, jakby nie słowa, ale nieznośne świetliki unosiły się w powietrzu - dokuczliwe, ale niegroźne.

- Nie możesz stąd wyjść ubrana tak jak teraz. Weź prysznic, a concierge przyniesie nam jakieś ubrania. Potem, jeśli będziesz chciała, pojedziesz.

- Będziemy mieć oddzielne sypialnie.

- Jasne, ale nie będziemy ich potrzebować.

- Nie, TJ, jak tylko się doprowadzę do porządku, natychmiast wyjeżdżam.

- Naturalnie, kochanie - odparł TJ głosem łagodnym jak przednia whisky.

Drzwi windy rozsunęły się przy buczącym wtórze mechanizmu i dwunastu delikatnych dzwoneczkach nawołujących pasażerów do opuszczenia kabiny.

Na próżno.

TJ zrozumiał, że to jego ostatnia szansa. Coś w jej drżącym podbródku mówiło, że zaczyna mu się wymykać. Ujął w dłonie jej twarz.

- Paige, muszę to zrobić. Potem możesz się oburzać, jeśli chcesz, możesz mnie nawet spoliczkować.

- Zrobię to, słowo daję, że to zrobię.

Miała co najmniej sto argumentów, żeby mu się

przeciwstawić: jest zbyt pochłonięty pracą, aby sobie pozwolić na związek, który nie polega wyłącznie na wypełnianiu luk w terminarzu spotkań, ona z kolei oczekuje od życia czegoś, czego nie znajdzie w mieście, w sali konferencyjnej, czego nie zapewni jej też wysoka pensja. Zbyt długo pracowali nad cieżnieniem więzów przyjaźni, a przyjaźń wyklucza miłość i seks. Nie chce stracić przyjaciela, który jest dla niej cenniejszy od wszystkich kochanków.

Mogła mu wreszcie powiedzieć o swoim ojcu, o wstydlivej udręce, jaka ją czekała na pozornie zwykłym zjeździe absolwentów.

Nie powiedziała nic. Patrząc w milczeniu spod długich czarnych rzęs, do samego końca toczyła wewnętrzną walkę, żeby mu się oprzeć.

TJ pochylił głowę. Chłonał smak jej ust - smak słodczy i świeżości. To, co potem nastąpiło, przypominało euforię pierwszych fajerwerków w Dzień Niepodległości, magię pierwszych płatków śniegu w zimowy poranek, moc przemiany wody święconej na czole noworodka. Próbowwała wymówić jego imię, ale słowa zamieniły się w błaganie o więcej.

Był to pocałunek, który ożywia każdy nerw ciała w nienasyconym pragnieniu.

Był to pocałunek na krawędzi życia i śmierci.

Był to pocałunek przesycony namiętnością, jakiej kobieta stojąca na parterze przed otwartymi drzwiami windy z całą pewnością nie chciała stawić czoła.

- Jesteście niesmaczni - oświadczyła. - Czy wy w ogóle mieszkacie w tym hotelu?

Pomidorowoczerwone usta ściągnęły się surowo w oczekiwaniu na odpowiedź. Zażenowana Paige

szarpała podkoszulek TJ, usiłując zasłonić się jego masywnym torsem przed sprawiedliwym gniewem kobiety.

- Tak - odparł TJ.

Kobieta otworzyła szeroko usta, odsłaniając cztery amalgamatowe plomby i ślady szminki na przednich zębach.

- To znaczy, że macie klucz do pokoju - powiedziała wreszcie. - Może byście z niego skorzystali!

TJ zrobił krok do przodu i ponownie nacisnął przycisk ostatniego piętra.

- Dziękujemy za radę. Właśnie mamy zamiar z niej skorzystać.

Drzwi windy się zamknęły.

- Przestań - powiedział łagodnie TJ, otwierając jej pałce zaciśnięte na koszuli. - Chcę na ciebie patrzeć. Dochodzę do wniosku, że przyjaciele za mało się sobie przyglądają. Przez tyle lat z tobą rozmawiałem, spacerowałem, oglądałem z tobą głupie programy w telewizji, prosiłem cię o pomoc, chodziłem z tobą do kina, ale Chryste, Paige, nigdy się dość na ciebie nie napatrzyłem.

Będą się kochać. Wyczytała to w jego oczach, łaskomie patrzących na jej ciało. Nigdy tak na nią nie patrzył - zachłannie i z zachwytem. Czuła, że jeśli przekroczy próg windy, wszystkie jej rozsądne postanowienia i argumenty rozsypią się w proch.

I kiedy dzwonek dźwigu wybił dwunastą, niby Kopciuszek w odwróconym czasie, pozwoliła się poprowadzić na czarowny bal, zostawiając za sobą wszystkie starannie przemyślane decyzje.

TJ otworzył drzwi do przestronnego salonu z dużym oknem wychodzącym na finansową dzielnicę Chicago. Na środku pokoju stała zielona pluszowa kanapa, przy niej niski stolik, a po obu stronach krzesła wyściełane haftowaną tkaniną. Całości eleganckiego wyposażenia dopełniał kominek.

Po przeciwnych stronach dwoje drzwi prowadziło do dwóch sypialni - tak jak obiecał recepcjonista. W kącie salonu barek kusił głodnych i zmęczonych doskonałym francuskim szampanem, stożkowymi kieliszkami z kobaltowego szkła, misą pełną owoców, bukietem róż w białym porcelanowym wazonie i oprawioną w skórę kartą dań przynoszonych do pokoju.

Nagle w tym ekskluzywnym wnętrzu Paige poczuła się skrępowana.

- Wezmę prysznic - powiedziała. - Czuję na sobie grubą warstwę kurzu. Od wczoraj nie używałam dezodorantu ani nie myłam zębów. Cały czas jadę tylko na cukierkach miętowych.

- Razem weźmiemy prysznic - powiedział TJ. Stanowczym ruchem zamknął drzwi do jednej sypialni i poprowadził Paige za rękę do drugiego pokoju. - Nie spuszczę cię z oka.

- TJ, za dwie godziny masz spotkanie...

- Cśś. Zapomnijmy o tym. Nigdy nie słyszałaś, że człowiek powinien żyć chwilą?

Zrobił minę ucznia przypominającego nauczycielce jej własną lekcję, lecz gdy zaczął rozpinać na niej koszulę, twarz mu spoważniała.

- Ta ażurowa bluzeczka jest bardzo niebezpiecznym okryciem - powiedział, rzucając ją na ziemię.

Rozpiął delikatny stanik z lampartem i przez chwilę stał w niemym zachwycie. Potem uklęknął, objął ją w talii. Wtulił twarz w okrągłe, pełne piersi. Poczuł, jak napina mięśnie brzucha. Przypomniawsobie swój zarost, który musiał ją boleśnie drapać. Zaczął się odsuwać, lecz Paige przytrzymała go moc-

no. Gorący waniliowy zapach spragnionego ciała podziałał na niego jak ostroga. Wstał i zdjął podkoszulek. Paige położyła dłonie na jego gładkiej twardej piersi, spuściła skromnie wzrok, lecz już po chwili niespodziewanie śmiało spojrzała mu w oczy.

- Jesteśmy brudni - zauważyła.

- Mnie to odpowiada - odparł zadziornie.

- Idziemy natychmiast pod prysznic.

- Dobrze, kotku. Ja mogę zaczekać. A ty?

Ściągnął spodnie, buty, slipy i pomaszerował do łazienki.

- Idziesz, Paige?

Obejrzał się i zobaczył, że Paige nawet nie drgnęła. Stała bez ruchu, spłoniona. Do licha, to był najprawdziwszy w świecie rumieniec. Miło było dla odmiany zobaczyć u kobiety gorący pas, w miejsce chłodnych, wyzywających spojrzeń nowoczesnych kosmopolitek, z którymi miał na ogół do czynienia. Szybko jednak zgonił z twarzy wyraz satysfakcji, bo Paige ściągnęła usta. Znał ten grymas dezaprobaty. Albo strachu. Wielkie nieba, ona się bała. Bala się zdjąć z siebie ubranie.

Spuściła głowę i powoli, rozkosznie powoli, odpięła guzik spodni. Zsunęła je na biodra, potem coraz niżej, powabnymi wijącymi ruchami tancerki, dopóki dzins nie opadł na podłogę. W pierwszej chwili próbowała się wstydliwie zasłonić rękami - jedną zakryła obie piersi, drugą miejsce, gdzie nie sięgały figi. Ponieważ jednak nawet przy jej drobnej sylwetce były to bezskuteczne usiłowania, poddała się i opuściwszy ręce, pozwoliła mu nasycić oczy.

Jako przyjaciele nie przywiązywali dużej wagi do

swojego wyglądu. Niekiedy mijał tydzień, zanim zauważyli u drugiego nową fryzurę, nie mówiąc o szmince. Lecz jako kochanka Paige była kobietą, którą można było podziwiać, którą się można było delectować.

Z wiekiem jej kształty nabrały kobiecości. Twarde sutki na krągłych piersiach, choć nie sterzące do góry, jak u niektórych najsztywniejszych modelek, to jednak rozbudzały nie mniejsze pragnienie, aby ich dotykać. Miała płaski brzuch, jak kobiety, które nigdy nie były matkami, a długie, dobrze umięśnione nogi świadczyły, że była równie wytrwała na bieżni, co w czasie studiów nad książkami.

- Czy wybierasz się pod prysznic w majtkach? - zapytał.

Przygryzała wargę do białości. Była skrępowana, ale z jakiegoś powodu mu się to podobało. Im bardziej protestowała, im się bardziej oburzała, tym więcej przyjemności obiecywało kochanie. A że będą się kochać, nie miał wątpliwości.

Odwróciła się i odeszła kilka kroków. Serce mu zadrżało. Do diabła, czyżby się posunął za daleko? Zostawi go tak, rozpalonego pragnieniem...

- Naprawdę możesz poczekać?

Odrzuciła głowę do tyłu. Zsunęła figi, odsłaniając pełne, krągłe biodra. A potem się odwróciła. Rozłożyła ramiona i przeszyła go wzrokiem. Mały trójkąt delikatnych włosów... jakby żar buchnął nagle otwartym płomieniem.

- Nie mogę - powiedział i w dwóch susach znalazł się przy niej.

Paige potrząsnęła głową.

- Najpierw prysznic. Podobno to ja nie mogę czekać.

Kiedy szła do łazienki, TJ zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu, będąc z kobietą, nie jest właściwie pewien, które z nich dyktuje warunki.

Poszedł za nią. Była już pod prysznicem i polewała włosy parującym strumieniem. Kiedy wszedł do kabiny, odwróciła się do niego tyłem. Rozpakował mydło i zaczął masować jej delikatną, gładką skórę pleców i ramion. Oparła się dłońmi o ścianę, aby utrzymać równowagę. Najpierw z niewinną przyjemnością namydlił jej ręce, potem - z rozkoszą - poślądki, wreszcie trójkąt delikatnych włosów między udami - z uczuciem, które nie miało już nic wspólnego z niewinnością. Zamruczała przeciągle. Z większą pewnością siebie przykucnął i umył jej nogi, rozkoszując się kształtem łydek i drobnych kostek.

Wreszcie wstał, przyciągnął ją do siebie i zaczął się ocierać o jej ciało, dopóki nie doprowadził jej do szaleństwa. Jedną dłoń oparł o ścianę, zabezpieczając Paige przed upadkiem, drugą powolnymi ruchami gładził piersi, brzuch i miękki meszek, wilgotny teraz nie tylko od wody.

Wygięła ciało w łuk i napała na niego tak energicznie, że z trudem utrzymał równowagę.

- Chcesz czekać, aż wrócimy do łóżka? - zapytał schrypniętym szeptem.

- Chyba jednak nie jestem tak silna, jak mi się zdawało.

- O nie, kochanie, jesteś silna, bardzo po kobiecemu silna.

Przycisnął ją do siebie, a ona czując go na poślądkach, uniosła się na palcach, aby mógł w nią wejść.

Jedną ręką przytrzymawał ich oboje pod ciepłym strumieniem, drugą spłukiwał jej brzuch, zatrzymał się na trójkątku włosów i dotknął rozkosznej wypukłości delikatnego ciała. Paige odrzuciła głowę do tyłu, mokre włosy przylgnęły do piersi TJ. Poczowała pierwsze gwałtowne skurcze. Zawołała, lecz szum wody zagłuszył słowa. Wyciągnęła rękę do tyłu i ponagliła go niecierpliwie. W odpowiedzi TJ stracił nad sobą kontrolę i w jednym ruchu osiągnął orgazm. Pulsowanie w jego ciele połączyło się z imieniem kochanki.

Mył jej włosy, rozmyślając ze smutkiem nad własną niedojrzałością.

- Jak mogłem dotąd nie zauważać, że jesteś taka seksowna?

- Nie wiem - odparła, oblewając się rumieńcem po same czubki palców.

- Chodźmy do łóżka. Skoczmy na materac i sprawdzimy, czy ten szykowny hotel ma urządzenie do masażu wibracyjnego.

- Nie teraz.

Podawała mu gruby puszysty płaszcz kąpielowy z nazwą hotelu na kieszeni, a gdy odmówił, sama go włożyła.

- Koniec igraszek - powiedziała. - Niedługo masz zebranie.

Zaburczał coś pod nosem, lecz w końcu, acz niechętnie owinął się w pasie ręcznikiem. Paige upięła włosy plastikowym grzebykiem, który znalazła w hotelowym koszyczku z przyborami toaletowymi.

TJ wziął jednorazową maszynkę i popatrzył w lu-

stro. Ona musi wrócić do Nowego Jorku. Na pewno z czasem odzyska rozsądek. Kiedy będzie miała w nim nie tylko przyjaciela, lecz męża i kochanka, jej życie nabierze pełni.

Słowo „męża” osadziło w miejscu galopujące myśli. Mąż. Zbliżył twarz do lustra i popatrzył na swoje odbicie. Niechlujny zarost nie pasował do "wizerunku męża. To będzie następny etap w tym związku. Małżeństwo.

Jak mógł w ogóle sądzić, że będzie szczęśliwy z Shawną?

- Poczekaj, pozwól mi to zrobić. - Paige wzięła od niego maszynkę. Delikatnie namydliła mu twarz i pociągnęła ostrzem po policzku.

Kropla wody spłynęła jej po szyi. Aż się prosiła, żeby ją zlizać...

- TJ! Twoje zebranie!

- Jakie zebranie? Ach, t o zebranie.

- Masz tylko pół godziny. Nie ruszaj się. Zostały mi jeszcze wąsy.

Przypomniał sobie pierścionek z trzykaratowym brylantem. A może pięciokaratowym?

- Paige, muszę ci o czymś powiedzieć. Miałem zamiar coś zrobić, ale teraz wiem, że tego nie zrobię.

- Nie odzywaj się, bo cię zatnę.

Pocałował ją i zdecydowanym ruchem wyjął jej z ręki maszynkę. Na policzku Paige została mała kropeczka kremu do golenia.

- To nie ma teraz żadnego znaczenia, ale powinnaś o tym "wiedzieć.

- Czy to ma być rozmowa o naszej przyszłości?

- Tak, chyba tak.

- Zdawało mi się, że to kobieta powinna zapytać:
„Do czego ten związek zmierza?”.

- Cieszę się, że o to pytasz. Myślę, że teraz możemy zrobić tylko jedno.

Wzięła od niego maszynkę.

- Cicho bądź. Nie mogę cię golić, kiedy mówisz. Nic się nie zmieniło. Poza tym teraz masz spotkanie w sprawie Motorconu i SunOil.

Po raz drugi wyjął jej z ręki maszynkę.

- Mam ważniejsze sprawy na głowie niż spotkanie w sprawie SunOil - powiedział i pocałował ją długo i niespiesznie.

16

Kiedy wyciągnął ją z łazienki, rozległo się ciche, ale stanowcze pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał TJ.

- Concierge - odezwał się głos za drzwiami. - Przyniosłem rzeczy do obejrzenia, proszę pana. Garnitur w rozmiarze 44, koszule, krawaty, skarpetki, bieliznę i trochę damskich ubrań do wyboru.

TJ położył palec na ustach Paige i ściągnął z niej szlafrok.

- Co...

- Ogrzej dla mnie łóżko - powiedział i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Włożył szlafrok i nie czekając, aż powściągnie oburzenie, z którym jej było bardzo do twarzy zamknął za sobą drzwi do sypialni.

Concierge w granatowej liberii ze złotymi lamówkami zgodnie z przewidywaniami pomyślał o wszystkim, łącznie z nowym kompletem damskiej bielizny w różowo-złotej torbie.

- Czy to będzie wszystko, proszę pana?

TJ zebrał swoje brudne dżinsy, koszulę z oksfordu, dżinsy Paige i ażurową bluzkę, ale tę w ostatniej chwili włożył do kieszeni szlafroka. W końcu to był prezent, poza tym nie miał jej ochoty oddawać w ręce tego faceta w mundurku.

Concierge łąpnął okiem na stanik z lampartem i takie same figi znaczące ścieżkę do sypialni. TJ wsunął je nogą pod sofę. Dał mężczyźnie ubrania i dwadzieścia dolarów, tych od komisarza Kenera, które wyjął przedtem z kieszeni dżinsów razem z ak-samitnym pudełeczkiem.

- Dziękuję panu - rzekł concierge, wsuwając napiwek do kieszeni. - Dopilnuję, żeby pańskie rzeczy zostały natychmiast uprane.

- Nie tak bardzo natychmiast - mruknął TJ i zamknął drzwi.

Otworzył pudełeczko, przyjrzał się brylantowemu pierścionkowi, po czym odłożył go na barek.

Kiedy wszedł do sypialni, Paige, ubrana w inny szlafrok, stała przy oknie. Zły znak - pomyślał. Byłoby lepiej, gdyby czekała w łóżku pod kołdrą.

- Chyba powinniśmy się ubrać.

- Bynajmniej - powiedział flegmatycznie. Jednym łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem pociągnął ją na łóżko i nakrył swoim silnym, musku-larnym ciałem.

Puk, puk.

- TJ, zdaje się, że wrócił concierge.

- Niemożliwe. Wykluczone, żeby już zdążyli uprać nasze ubrania. Błoto, tłuszcz, pot...

Puk, puk - tym razem bardziej natarczywe. I jeszcze raz. Puk, puk.

- Jestem pewna, że słyszałam pukanie.

- No i co z tego, nawet nie potrzebujemy tych ubrań. Mamy nowe.

- Może to ktoś z SunOil.

TJ zmarszczył nos. Nie palił się do swoich porannych zajęć.

Puk, puk.

- Dobrze, dobrze, już idę - powiedział niecierpliwie. Stanowczo ten koncert był zbyt gorliwy w swojej pracy.

Podniósł się z łóżka i uśmiechnął na widok szerego podziwu, z jakim Paige popatrzyła na jego ciało.

- Nie ruszaj się stąd - przykazał.

Włożył szlafrok i poszedł do salonu. Nawet w najczarniejszych wizjach nie przemknęło mu przez myśl, że za drzwiami ujrzy oszałamiającą blondynkę w obcisłej czerwonej sukience z lycry - tę samą platynową Grację, która stanowiła ozdobę plakatów, kalendarzy, reklam w czasopiśmie i kubków do kawy.

- Cześć, kochanie! - zawołała, rzucając mu się na szyję. - Tatuś mi mówił, że byłeś u jego jubilera. Podobno chcesz mi zrobić niespodziankę i poprosić mnie o rękę. Kochanie, oczywiście, że się zgadzam. Będzie z nas wystrzałowa para!

Wyczuła jego opór. Odsunęła się i wyduła usta w kolorze różowej gumy do żucia.

- Och, złościsz się, że ci popsuję niespodziankę.

W tej chwili w drzwiach sypialni stanęła Paige w hotelowym szlafroku i z bolesnym wyrazem w oczach.

- Zdaje się, że wszyscy jesteśmy nieco zaskoczeni - zauważyła.

- Shawno, musimy porozmawiać - powiedział TJ, kiedy jasnowłosa piękność wśliznęła się do salonu - ale to nie jest odpowiednia chwila.

- Dzień dobry, Paige - powiedziała Shawna.

Paige milczała. TJ potarł czoło.

- Shawno, przykro mi, że dowiedziałas się o tym w ten sposób... hej, odłóż to.

- Pięć karatów - stwierdziła Shawna, otwierając aksamitne pudełeczko. Podeszła do Paige i pokazała jej pierścionek. - Śliczny brylant w ślicznej oprawie, zgadzasz się?

Paige przyjrzała się połyskującemu klejnotowi, po czym obie kobiety jednocześnie podniosły wzrok na TJ. Żadna z nich nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- Która z nas to dostaje? - odezwała się Shawna. - Pytam, bo chociaż nie muszę mieć wyłączności na faceta, ale firma i interesy to zupełnie *co* innego.

- Nie martw się, dostaniesz go na wyłączność - powiedziała Paige. - Jest twój.

TJ zaschło w ustach.

- Paige, proszę cię...

- Niewielu mężczyzn chodzi po ulicach z pięć-karatowym brylantem w kieszeni - zauważyła.

- Miałem powód.

- Nie interesuje mnie twój powód.

- Owszem, interesuje cię - zaprotestował zdesperowany. Wielu mężczyzn na jego miejscu uciekłoby się do kłamstwa albo w ogóle odmówiło wyjaśnień, ale te kobiety zasługiwały na prawdę.

- Paige, posłuchaj, przyznaję, że jechałem do Chicago z zamiarem poproszenia Shawny o rękę.

- Nadal możesz to zrobić - powiedziały obie równocześnie, ale z różnym natężeniem wrogości.

Shawna przysiadła na kanapie i sięgnęła po czekoladkę leżącą na paterze. Rozwinęła ją, powąchała i za-

mierzała wrzucić smakołyk do kosza pod biurkiem. Oliwkowa Dziewczyna nie mogła sobie pozwolić na zbędne kalorie, które na następnym zdjęciu do kalendarza lub reklamy prawdopodobnie zaowocowałyby dodatkowym centymetrem w obwodzie. Tym razem jednak uznała, że sytuacja jest wyjątkowa i wrzuciła czekoladkę do ust. Potem wzięła następną, i jeszcze następną.

W tym czasie Paige złapała pierwszy lepszy ciuch, który nie był w rozmiarze 44, a który okazał się czarną sukienką z dzianiny - świetną na pogrzeb, ale obecna sytuacja coraz bardziej upodabniała się do takiej uroczystości. Włożyła ją przez głowę i ramiona, wyplątując się jednocześnie ze szlafroka. Nie odsłoniła przy tym nawet centymetra gołego ciała więcej niż wtedy, gdy nosiła najbardziej konserwatywne kostiumy. Wygrzebała z torby stanik z majtkami i naciągnęła figi, nie zważając, że metka drapie ją w brzuch.

Przez ten czas Oliwkowa Dziewczyna pochłonęła trzy następne czekoladki, a TJ bezskutecznie bąkał przeprosiny.

- Paige, proszę cię, nie wychodź. Łączy nas coś wyjątkowego. Nie chcę tego stracić.

- Masz rację, łączy nas wyjątkowa przyjaźń. - Podkreśliła słowo „przyjaźń”. - I tak powinno zostać. Przykro mi, Shawno, wiem, że to kiepsko wygląda. Ale to już przeszłość. Skończone. Możesz go sobie wziąć.

Włożyła swoje brudne, zamoczone adidas i złapała kluczyki ze stolika zaśmieconego papierkami po czekoladkach.

- Paige, nie...

Przystanęła w progu, bo w drzwiach pojawił się właśnie cocncierge ze stertą czystych ubrań pachnących lawendą. Chwyliła swoje dżinsy i plastikową torebkę z przemoczonym, ale jeszcze czytelnym tymczasowym prawem jazdy.

- Paige, przepraszam, że ci o tym nie powiedziałem - mówił TJ, wychodząc za nią na korytarz. - Wiesz, że od jakiegoś czasu myślałem o bardziej unormowanym życiu. Uznaliśmy z Shawną, że do siebie pasujemy, bo oboje żyjemy pracą i interesami. Od trzech lat, od kiedy jej ojciec przyszedł do mnie ze swoimi problemami...

- Och, przestań, proszę. Zawsze ci mówiłam, że wolę za dziesięć lat być nadal twoją przyjaciółką niż kochanką - powiedziała Paige. - Przyjaźń jest cenniejsza i trwalsza. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będziemy przyjaciółmi. W dalekiej przyszłości, kiedy się przestanę na ciebie wściekać. A na razie, może byś się zajął swoją narzeczoną.

- Ona nie jest moją narzeczoną. Dokąd idziesz? Poszedł za nią do windy.

- Na zjazd absolwentów - powiedziała, z impetem przyciskając strzałkę w dół. - Nie rób głupstw i nie próbuj za mną jechać. Zresztą i tak nie pojedziesz do Sugar Mountain. Nie rób z siebie idioty i wracaj do pokoju.

- I tak już wyszedłem na idiotę. Chciałem iść z tobą do łóżka, bo mówiłaś, że kiedyś to zmieniło twój sposób myślenia. Chciałem, żebyś i teraz zmieniła zdanie na temat swojej przyszłości, Nowego Jorku. I mnie.

- Och, zmieniłam zdanie. Kiedyś cię nie uważałam za palanta. Teraz tak.

- Tylko dlatego, że ci nie powiedziałem o Shawnie? Nie mam zamiaru się z nią żenić.

- Wiesz, dlaczego jestem wściekła? - spytała Paige, unosząc dwa pałce. - Po pierwsze, ponieważ nie uznałeś za stosowne powiedzieć mi, że bierzesz pod uwagę małżeństwo. Nie uznałeś mnie za przyjaciółkę, której warto mówić takie rzeczy.

- Paige, to nie tak...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Nie powiedziałam ci, że odchodzę z pracy, bo się bałam, że mi to wyperswadujesz. A ty mi nie powiedziałeś o swoich planach, bo... właściwie nie wiem dlaczego. Tak czy owak widać nie jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi, skoro nie mówimy sobie najważniejszych rzeczy.

- Nie mówiłem ci o Shawnie, bo się obawiałem, że tego nie pochwalisz.

- I miałeś rację, ponieważ jej nie kochasz. Ale tobie to nie przeszkadza. Nie, TJ, nigdy nie byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

- Byliśmy, Paige. I nadal jesteśmy. Widocznie chciałem czegoś "więcej, czegoś wyjątkowego, takiego jak przed chwilą. Tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy. Czy to coś złego? Moglibyśmy zacząć od początku.

- Za późno. Straciłam dla ciebie szacunek.

- Czemu?

- Ponieważ ją oszukałeś. To drugi powód mojej wściekłości.

- Shawnę? Ależ my nigdy niczego sobie nie obie-

cywaliśmy, wiesz o tym. Każde z nas spotykało się z innymi... - przerwał. To był błąd. Pochylił głowę. - Przepraszam, Paige.

- Nie mnie przepraszaj, tylko ją - zakomenderowała. - A przy okazji przyjmij gratulacje z okazji ślubu. I powiedz ode mnie Shawnie, że naprawdę bardzo mi przykro. Nie zasługuję na jej wybaczenie, ale do cholery, nie miałam pojęcia, że idzie z tobą do ołtarza.

Nacisnęła guzik w windzie. Drzwi się zamknęły, zostawiając TJ z wyrazem udręki na twarzy.

Przez kilka sekund stał jak sparaliżowany. Potem usłyszał za plecami dyskretne chrząknięcie concierge'a.

- Czy to już wszystko, proszę pana?

- Tak, oczywiście.

Concierge ani drgnął.

Shawna wyciągnęła z torebki dwadzieścia dolarów.

- Proszę przysłać na górę dzbanek kawy. Ten pan jest już spóźniony na bardzo ważne spotkanie, zależy nam na czasie.

- Naturalnie, proszę pani. - Concierge skinął głową i ruszył w głąb korytarza. Po chwili zniknął za nieoznaczonymi drzwiami niby bohater „Alicji w krainie czarów”.

- Przepraszam cię, Shawno - rzekł TJ - ale muszę dogonić Paige.

- Mógłbyś się najpierw ubrać. - TJ spojrzał na swój płaszcz kąpielowy. - Wróćmy do pokoju - dodała.

Kiedy weszli do salonu, TJ złapał dzinsy i zaczął się rozglądać za miejscem do przebrania. Było to dość niezwykle, zważywszy, że nigdy nie należał do osób wstydliwych.

Shawna zamknęła drzwi i usiadła przy oknie na wyjściowej skórzanej kanapce. Rozchyliła zasłony

i zdawało się, że pochłonał ją całkowicie widok za oknem.

- TJ, nigdzie nie pojedziesz. Chyba że windą do sali konferencyjnej. Powiedziała „palant” i naprawdę tak myślała. Poza tym masz spotkanie. Czekają na ciebie ludzie mojego ojca.

- Nie idę na żadne spotkanie - powiedział, rozpakowując koszulę.

- Jeśli nie pójdziesz, wystawisz do wiatru mojego ojca i całą firmę. Nie zawieź ich teraz, TJ. Sytuacja wisi na włosku. Jeśli nie dokończymy tej transakcji z Motorconem, poniesiemy finansową klęskę.

Klęska. Przed oczami stanął mu obraz, który tak często od siebie odsuwał, a który zaważył na wszystkim, co robił i kim był.

Dziesięć lat temu Sugar Mountain nawiedziły mrozy tak potężne, że podobnych nie pamiętali nawet najstarsi mieszkańcy. Śnieg był głęboki i zbity przez wściekłe śnieżyce pędzone wiatrem znad północno-wschodnich wybrzeży Oceanu Spokojnego. Pani Skylar zabroniła chłopcom iść w góry, lecz TJ i Jack dopiero co przyjechali z uczelni na ferie i nie mogli wysiedzieć w domu. Dla dwóch młodszych braci było to wyzwanie, przed którym nic ich nie mogło powstrzymać.

Wyruszyli z samego rana, sprawdzili sprzęt i rozpoczęli powolną wspinaczkę. W górach czuli się jak w domu. Zнали tu każdą skałę i każdą szczelinę, a jednak tego roku było inaczej. Czy to z powodu śniegu, czy wiatru, czy jakichś zmian w otoczeniu, których nie zauważyli - od początku wędrówki zdarzały im się potknięcia, gubili znaki. Mimo to TJ nie chciał za-

wrócić bez Jacka, a Jack nie miał się zamiaru poddać, zanim po raz kolejny nie zdobędzie swojej ukochanej góry.

Opuszczali się po stromym zboczu, pośród spadających okruchów skalnych, gdy nagle Jackowi grunt się osunął spod nóg. Jedną ręką zdążył się złapać skały, druga zaplątała mu się w linę, i w ten sposób zawisł nad przepaścią. TJ nakazał młodszemu bratu, Winowi, wrócić po pomoc, choć samotna wędrówka była równie niebezpieczna, a sam założył stanowisko nad Jackiem i chwycił go za rękę. Trzymałby go tak w nieskończoność, nawet kiedy w palcach zupełnie stracił czucie, a łyzy na policzkach zamieniły się w sople lodu. Matt trzymał go z całych sił w pasie, ale liny ciągnęły Jacka w dół - w bezmałą stumetrową pustkę. Zaczęli się zsuwać - najpierw kilka centymetrów, potem kilkanaście. Matt próbował uchwycić TJ mocniej, ale jego siły słabły. Wtedy właśnie TJ poczuł, że Jack rozluźnił dłoń.

- Puść mnie - nakazał najstarszy Skylar - bo przeciągnę was za sobą!

- Nie puszczę cię - TJ próbował przekrzyczeć wycie wiatru. - Gdzie ty, tam my wszyscy.

To było motto Skylarów. Nigdy nie chodzili w góry w pojedynkę, nigdy nie wyruszali na letnie wędrówki inaczej niż we czwórkę. Kiedy najmłodszemu z nich ledwie się sypnął wąs, wsiadali wszyscy do pick-upa i w sobotnie wieczory jechali do Vail na dziewczyny. Ich rycerski kodeks mówił, że jeśli Jack sobie znalazł dziewczynę, musiał ją mieć i TJ, i tak samo Win i Matt. Rzecz jasna tym sposobem nieczęsto miewali randki, ale niektóre spryt-

niejsze dziewczęta, ruszając na podryw, brały ze sobą młodsze siostry.

„Gdzie ty, tam my wszyscy”.

TJ spojrział na Matta. Chłopak był biały ze strachu.

- Trzymaj mnie - zakomenderował TJ.

- Trzymam. Ty uważaj na Jacka.

TJ spojrział pod nogi. Nie tracił oparcia, ale tracił Jacka... centymetr po centymetrze. Jego ręka była taka cholernie śliska.

- Popatrz, TJ, piękne, prawda?

Na ułamek sekundy TJ podniósł wzrok, żeby zobaczyć to, na co patrzył Jack: delikatnie oszronione dachy domów, drżące sosny Sugar Mountain i sople lodu połyskujące w słońcu.

- Nie, Jack, nie!

Jego dłoń była pusta, zimna, czerwona i mokra.

- Nie? - Łagodny głos Shawny przywołał go do rzeczywistości. - „Nie” nie jest żadnym wyjściem, kotku. Porażka również.

Porażka. Obraz zniknął, ale pustka, którą śmierć Jacka pozostawiła w jego sercu dawno temu, została.

Rozluźnił dłoń i spojrział na Shawnę. Uśmiechnęła się lekko.

- Mogę ci wybaczyć - powiedziała. - Mogę nawet zapomnieć o tamtym. Ale nigdy ci nie zapomnę, a i ty sam sobie nigdy nie wybaczysz, jeśli dzisiaj zawiedziesz mojego ojca.

Zamknął oczy.

- Jeśli kobieta i mężczyzna w ogóle mogą być przyjaciółmi, musisz jej pozwolić odejść. Daj jej czas, a potem ją przeprosisz.

- A jeśli zależy mi na czymś więcej niż przyjaźń?

- Obawiam się, że ona tego nie chce. W przeciwnym razie by została. Ale ty jesteś mi coś winien. To spotkanie. SunOil jest dla mnie najważniejsze i za żadną cenę nie chcę go stracić.

- No dobrze - powiedział, wzdychając ciężko. - Nalej mi, proszę, kawy.

- Tak już lepiej.

Skończył się golić i włożył garnitur, który Shawna przygotowała na łóżku w drugiej sypialni. Podała mu kawę i pączka, lecz nie mógł przełknąć ani kęsa. Przed wyjściem wsunęła mu do kieszeni pudełeczko z pierścionkiem.

- Zostawmy na razie tę sprawę - powiedziała. - Porozmawiamy o tym później.

- Shawno, ja nie mogę...

Położyła mu palec na ustach.

- Nie teraz. Mamy dużo pracy. Poza tym nie chcę, żebyśmy powiedzieli sobie coś przykrego. Nigdy nie łączyła nas wielka namiętność, ale darzymy się szacunkiem. Niewielu mężczyzn mi go okazuje, dlatego tym bardziej cenię go sobie u ciebie. Nie niszczy tego.

Ruszył za nią, licząc w myślach wszystkie męczące godziny, lecz nim dojechali do parteru, znów był dawnym TJ - pewnym siebie i opanowanym.

Weszli do dużej sali konferencyjnej ze stołem na dwanaście osób. Wymieniwszy serdeczne powitanie ze wszystkimi obecnymi, uściskawszy dłoń prezesowi Motorconu, wpadł w przyjacielskie objęcia ojca Shawny i wreszcie zajął miejsce u szczytu stołu.

Shawna podpisała dokumenty, które podsunął jej jeden z księgowych; mężczyzna pożerał ją wzro-

kiem, kiedy się pochyliła nad dokumentem. Potem dyskretnie usiadła przy oknie, obciągając spódniczkę tak nisko, jak tylko się dało.

- Shawno, chodź tutaj - zaproponował TJ. - Obok mnie jest wolne krzesło.

Mężczyźni przy stole tręcili się łokciami, a pan Smith szepnął, wystarczająco jednak głośno, że wkrótce zostaną ogłoszone ich zaręczyny. TJ zmarszczył brwi.

- Shawny nie obchodzą interesy - roześmiał się pan Smith. - Będzie się z nami nudzić.

Shawna ani drgnęła.

- No dobrze - ustąpił TJ. - Wobec tego przejdźmy do sprawy fuzji między dwiema najlepszymi firmami, wyznaczającymi nowe drogi rozwoju amerykańskiej techniki motoryzacyjnej.

Ponieważ ludzie zebrani w sali konferencyjnej od dawna nie słyszeli ani określenia „najlepsza”, ani „wyznaczająca nowe drogi rozwoju” w odniesieniu do żadnej z dwu firm, których ceny na giełdzie leciały w dół, delikatny pomruk aprobaty rozgrzał atmosferę przy stole i mężczyźni skoncentrowali się na notatkach przygotowanych przez firmę TJ.

- Zacznijmy od strony trzeciej. Tam, drodzy przyjaciele... przyjaciele...

Miewał przyjaciół, ale często znajomość urywała się nagle po ich ślubie, zmianie pracy, a czasami z zupełnie błahego powodu, jak na przykład brak wspólnych karnetów na mecze. Niekiedy kończyła się burzliwie, jak ostatnio, gdy TJ odkrył, że jego wieloletni kolega zaleca klientom transakcje giełdowe tylko po to, Żeby zwiększyć własną prowizję.

Bywało też, że kontakty urywały się z powodu jakichś nieodebranych telefonów, e-maili zostawionych bez odpowiedzi lub bożonarodzeniowych kartek, które wróciły z napisem „adresat nieznany”. Przykładał ogromną wagę do przyjaźni, co w jego środowisku było rzadkością. Z drugiej strony nie musiał poświęcać czasu rodzinie. Matka nie kontaktowała się z nim od śmierci Jacka. Na prośbę TJ sekretarka wysyłała jej kwiaty na wszystkie ważniejsze święta, ale matka nigdy mu nie wybaczyła, on zaś ukrył głęboko swoje lęki i poczucie winy i nigdy nie poprosił jej o wybaczenie. Najmłodszy brat, Win, wyjechał z Sugar Mountain i ślad po nim zaginął. Drugi z braci, Matt, niezmiennie odpowiadał, że nie ma czasu lecieć do Nowego Jorku, niezależnie od tego, jak często TJ wysyłał mu bilety.

Każdą przyjaźń TJ cenił sobie bardziej niż złoto, ale Paige była mu droższa niż wszyscy jego dotychczasowi przyjaciele...

- Przyjaciele, przyjaciele...

- Kochanie, czy chcesz, żebyśmy się przyjrzeni wykresowi cen i zysków z akcji na stronie trzeciej? - spytała Shawna, siadając obok niego przy stole.

- Jasne - odparł mechanicznie. - Wykres cen i zysków, strona...

O trzeciej wszyscy mężczyźni byli już w jak najlepszej komitywie i doskonałych humorach. Nawet księgowi otwierali szampana i rozmawiali o „dobrych czasach”, które wkrótce nadejdą.

TJ odłączył się od grupy. Był piekielnie zmęczony.

- Porozmawiamy, jak się trochę prześpisz - po-

wiedziała Shawna, wchodząc za nim do windy. - Nie martw się, nie rzucę się na ciebie. Nic nie mów. Po prostu chodźmy na górę. Wyglądasz, jakbyś dostał obuchem po głowie.

- I tak się czuję - przyznał TJ. - Nie będziesz miała wielkiego pożytku z mojego towarzystwa.

- Nie potrzebuję twojego towarzystwa. Potrzebuję twojej aktówki. Prześpij się i daj mi poczytać.

Zostawił ją w salonie. Shawna zrzuciła z nóg szpilki i usadowiła się na kanapie z dokumentami, które przysłano mu faksem z biura w Nowym Jorku. Nie miał ochoty ich czytać. Marzył tylko o spaniu. Rozluźnił krawat, ściągnął marynarkę i buty. Kiedy przyłożył głowę do poduszki, był pewien, że uśnie w okamgnieniu, lecz najpierw poczuł w pościeli zapach wanilii. Zapach ten obudził w nim teraz nową namiętność.

Powoli zapadł w sen - w sen bardzo znajomy. Znów był w kościele. Czekał na pannę młodą. Nie, czekał na swojego drużbę. Gdzie była Paige? Obok niego przy ołtarzu stali bracia, a wśród nich - o dziwo - Jack. Był nieostrzyżony.

- To tylko sen - wyjaśnił. - Jeśli chcesz, mogę być na twoim ślubie.

- Jasne, że chcę. Jesteś moim bratem. Ale gdzie mój drużba?

- Ja będę twoim drużbą.

- Nie obraż się, ale mam na myśli kogoś innego. Paige.

- Zastąpię ją, skoro jej tu nie ma. Twoja narzeczona już idzie do ołtarza. Nie masz czasu szukać Paige.

- Ale ona jest moim drużbą.

- To sen, chłopie. Zjawi się tu, jeśli jej potrzebujesz.

„Potrzebuję jej, potrzebuję jej” - myślał TJ, patrząc na zawoalowaną twarz panny młodej, wspartej na ramieniu rozpromienionego pana Smitha. „Potrzebuję jej, potrzebuję jej”. Jednak Paige wciąż się nie zjawiała ani przy wejściu, ani u jego boku. Cały czas czuł jej zapach, jakby była gdzieś na wyciągnięcie ręki, a on nie mógł jej zobaczyć.

- Jaki piękny ślub - rzekł pan Smith, oddając mu córkę. - Jestem pewien, że teraz, kiedy odnieśliście sukces, będziecie naprawdę szczęśliwi.

TJ spojrział w stronę bocznego wejścia. Może tamtedy Paige wśliznęła się do kościoła. Potem popatrzył na Shawnę. Welon był tak piekielnie biały i pienisty. No bo chyba żenił się z Shawną, prawda? Przecież w końcu się na to zgodził.

Rozglądał się po kościele i nagle zobaczył Shawnę. Pomachała mu tęsknie, po czym wyszła głównymi drzwiami w oślepiające światło dnia.

Spojrzął zdumiony na swoją narzeczoną. Jeśli to nie była Shawna, to kim, na litość boską...

Uniósł welon.

- Cześć, Paige - powiedział z ulgą. - Tak się cieszę, że wróciłaś.

- Nie wróciłam, głuptasie. Cały czas tu byłam.

Poderwał się gwałtownie i nagle oprzytomniał.

Nie był w kościele, tylko w hotelu w Chicago i wcale nie było przy nim Paige, tylko Shawna, która w sąsiednim pokoju czytała jego dokumenty. I wcale nie odniósł sukcesu. Przeciwnie, poniósł klęskę, ponieważ zniszczył wspaniałą przyjaźń. Okazało się, że przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest

niemożliwa, a przynajmniej między nim i Paige. Za bardzo ją kochał, aby nadal mogli być tylko przyjaciółmi. Myślał, że seks ją zmieni, tymczasem to on sam się zmienił.

Wszedł do salonu, dziwnie spokojny i pewny tego, co miał zrobić. Shawna podniosła wzrok znad papierów.

- Nie wiem, co myśleć o tej klauzuli b/l - powiedziała. - Czy to w porządku dawać udziałowcom Motorconu prowizję od zysków przed opodatkowaniem... hej, poczekaj. Daj mi włożyć buty. Dokąd mnie ciagniesz?

- Tam, gdzie jest twoje miejsce.

18

- Kobieta na stanowisku dyrektora naczelnego? - prezes Motorconu wzdragał się przed samą myślą o tym. - Czy to ma być jakiś chwyt reklamowy?

- Nie, to ma być najprawdziwszy dyrektor pod słońcem - odparł TJ. - Pełnoetatowy dyrektor naczelnny SunOil, który kocha tę firmę, świetnie zna przemysł motoryzacyjny i który, tak się składa, jest kobietą.

- Tylko że my nie rozmawiamy o jakiejś tam kobiecie - zauważył prezes.

Księgowy potarł ręką czoło, wiceprezesi Motorconu zaczęli się jednocześnie drapać po łysinach. Pan Smith patrzył z niedowierzaniem.

- On ma rację, TJ. Tu nie chodzi o zwykłą różnicę pomiędzy dyrektorem, który nosi rajstopy, a tym w skarpetkach. Chodzi o Shawnę, o moją córkę. To piękna dziewczyna. Ale na tym koniec.

- Dziękuję ci, tato - powiedziała Shawna, wyglądając znad ramienia TJ i stając na palcach pomimo i tak niewiarygodnie wysokich obcasów.

- O tak, piękna Oliwkowa Dziewczyna - zawtórował prezes Motorconu. - Klientom się to nie spodoba. Oni ją uważają za boginię seksu, a nie za kobietę interesu.

Wiceprezesa zgodnie pokiwali głowami. Bogini seksu. To wszystko. Świat nie był gotowy na Shannę Smith - bizneswoman.

- Nie możemy sprzedać naszych pracowników firmie, której notowania za chwilę polecą na łeb na szyję tylko dlatego, że ty masz ochotę posadzić damę za kierownicą. Poza tym... - cedził prezes Motorconu. Zatrzymał wzrok na... no cóż, w każdym razie chciał zatrzymać wzrok gdzieś na wysokości jej brody, niestety zabrakło mu kilkunastu centymetrów. - Bez obrazy, panno Smith, ale ma pani więcej aktywów korporacyjnych w swoim zawieszeniu niż między uszami.

- Czyżby pan sugerował, że moja córka jest głupia? - zapytał wyzywająco pan Smith.

- Ależ nie, oczywiście, że nie - powiedział prezes Motorconu, a jego wiceprezesa chórem pokręcili głowami: gdzieżby taka myśl... zgiń, przypadnij. - Nie jest głupia. Tylko że bardziej się nadaje na coś w rodzaju firmowej figury... figura... tfu, zapomniałem słowa.

- Figurantki - odpowiedział wiceprezes.

Dwaj pozostali pokiwali głowami, a po chwili, szturchnięty łokciem w zebro, dołączył do nich trzeci. Księgowy zdjął okulary i wytarł krawatem zaparowane szkła.

- Panowie, pomóżcie mi zrozumieć, czemu właściwie pan Skylar nie obejmuje tego stanowiska - zapytał. - Sądziłem, że zachowując swoją posesję w biurze maklerskim w Nowym Jorku, będzie nadzorował pakiet finansowy SunOil w charakterze konsultanta. Za spore wynagrodzenie. Czemu pan zmienił zdanie, panie Skylar?

- Chcesz mnie wystawić do wiatru? - zapytał pan Smith.

- Nie. Rezygnuję z powodów osobistych - wyjaśnił TJ. - Poza tym, doszedłem do wniosku, że Shawna będzie na tym stanowisku lepsza ode mnie.

Obecnym aż dech zaparło za zdumienia. Po chwili odezwał się księgowy.

- Reorganizacja wewnątrz obu spółek była obliczona na silną władzę kierowniczą. - Założył okulary. - Dyrektorem naczelnym miał zostać ktoś, kto potrafi podejmować trudne decyzje w sprawie niedochodowych ogniw w całym łańcuchu produkcyjnym. W obu firmach prowadzono operacje, które przynosiły straty. Połączenie spółek miało na celu je obie wzmocnić. Zamienić znak minus na plus. Tym kimś miał być pan, panie Skylar. Wątpię, aby nasi akcjonariusze chcieli nadal w nas wierzyć i inwestować, jeśli na kierowniczym stanowisku obsadzimy dziewczynę z rozkładówek.

- Nie zawieź nas teraz, TJ - powiedział spokojnie pan Smith.

- Nie w tym rzecz, czy on zawiedzie, czy nie - powiedziała Shawna.

Spojrzała na TJ i pogładziła go czule i ze smutkiem po policzku. Potem zacisnęła usta i zajęła miejsce u szczytu stołu konferencyjnego. Zastukała cynobrowymi paznokciami w mahoniowy blat, żeby przywołać uwagę obecnych.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli od północno-zachodniego oddziału Motorconu - powiedziała i wpiła wzrok w prezesa firmy. - Panie prezesie, w ciągu dwóch lat zgłaszał pan straty w wysokości trzyna-

stu i dwudziestu pięciu setnych powyżej przewidywanych kosztów. Pięcioprocentowe cięcia w wydatkach eksploatacyjnych na wszystkich poziomach działalności oraz likwidacja zakładu w południowej Dakocie powinny poprawić wskaźniki.

- Ale... ale - bąknął jeden z wiceprezesów.

- Cicho bądź. Nie przerywaj szefowej - warknął z niespodziewaną śmiałością księgowy. - Proszę mówić dalej, pani Smith.

Nikt dotąd nie zwracał się do Oliwkowej Dziewczyny „pani Smith”. Podziękowała uśmiechem, który miał być zapewne bardzo służbowy, ale skutek przyzwyczajenia zawierał isticie megawatowy ładunek seksapilu. Księgowy przełknął gwałtownie ślinę, a jego jabłko Adama zaczęło podskakiwać jak oszalałe pod sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem. Zebrał wszystkie siły, żeby się nie zaczerwienić po uszy. Musiał się pilnować, jeśli chciał ją zdobyć. A z całą pewnością chciał, zwłaszcza teraz, kiedy dostrzegł, że w tym ciele stworzonym do grzechu czai się bratnia dusza, pogromczyni liczb.

- Poprosiłem panią Smith o ponowne rozważenie punktów umowy, które obligują członków zarządu Motorconu do wcześniejszej emerytury - rzekł TJ. - Pewien mądry człowiek zwrócił mi kiedyś uwagę, że przypomina to wysyłanie ludzi na ich własny pogrzeb.

- Zgadzam się z tym - powiedział prezes Motorconu. - Ale czy to ma być propozycja, żebyśmy pracowali dla SunOil? Dla Oliwkowej Dziewczyny... to znaczy Shawny... to znaczy pani Smith?

- Tak - odparł TJ.

- Shawno, czy ty tego naprawdę chcesz? - zapy-

tał pan Smith, mrużąc oczy. - Zdawało mi się, że lubisz zawód modelki.

Shawna spojrzała na TJ, jakby to miało jej dodać otuchy.

- Szczerze mówiąc, nie znoszę. Pozowałam do zdjęć, bo firma na tym zyskiwała, a to było dla mnie najważniejsze. SunOil jest moim dziedzictwem.

- A co z TJ?

- Och, TJ jest wspaniałym mężczyzną, ale nie jesteśmy dla siebie stworzeni. On się chce ożenić z miłości, a my się nie kochamy.

„Ożenić się z miłości” - powtórzył w myślach TJ. „Może to jest naturalne zakończenie przyjaźni. Tak, chyba chcę się ożenić. Z miłości”.

„Ja też się ożenię z miłości” - powiedział sobie po drugiej stronie stołu księgowy, poprawiając krawat. Pokręcił głową na myśl o dziwnej grze pozorów. Kto by pomyślał, że w tym zabójczym ciele kryje się błyskotliwy umysł. „Małżeństwo z miłości, bez dwóch zdań” - postanowił. Trzeba to tylko zrobić na początku roku, żeby uniknąć kary za wspólną deklarację o zwrocie podatku dochodowego.

Prezes Motorconu, jego podwładni oraz pan Smith opadli na krzesła, wpatrzeni w dziewczynę z plakatów, która się nagle przemieniła w rekina finansjery.

- Muszę się już pożegnać - powiedział TJ, kiedy Shawna przedstawiła w zarysie swój plan okrojenia operacji w północno-zachodnich oddziałach obu firm.

Była Oliwkowa Dziewczyna obdarzyła go uśmiechem, od którego mężczyźni topnieli, lecz który tym razem zupełnie na niego nie podziałał.

Poza Shawną nikt nawet nie zwrócił uwagi na jego wyjście. Wszyscy patrzyli w panią Smith jak za hipnotyzowani. Oto mieli przed sobą kobietę, przy której mogli zbić fortuny, a to był niezawodny sposób przyciągnięcia ich uwagi.

- Nie widzę tu nazwiska Paige Burleson - rzekł concierge. Turkusowy blask monitora oświetlał jego ponurą twarz. - Zapewniam pana, że nie wynajmowała samochodu w Chicago.

- Proszę więc sprawdzić samoloty - powiedział TJ. - Jedzie w kierunku Kolorado.

Concierge wystukał komendy na klawiaturze i czekał chwilę na odpowiedź.

- Pani Burleson nie kupowała żadnego biletu ani na lotnisku Midway, ani O'Hare.

- A autobusy?

Mężczyzna ściągnął usta i wziął do ręki słuchawkę.

- Z dworca Greyhound nie odjeżdża do Kolorado żaden autobus - powiedział. - A bileter nie widział w ciągu ostatnich kilku godzin kobiety, która by pasowała do rysopisu pańskiej znajomej.

- Może pociągi.

Kolejny telefon.

- Przykro mi, proszę pana. Nie ma dzisiaj żadnych pociągów na zachód.

- Czyżby pojechała autostopem? - zapytał TJ, z przerażeniem myśląc, że mogła się narazić na takie niebezpieczeństwo.

- Mógłbym poprosić przedsiębiorstwa taksówkarskie, żeby przesłały swoim kierowcom opis tej pani. Gdyby przeszukali główne drogi, może by się nam

udało ją znaleźć. Ale to wymaga trochę czasu i... tych zielonych papierków. Nie dla mnie, proszę pana, tylko dla ekipy poszukiwawczej.

TJ położył na biurku kopertę.

- Tak jest, proszę pana. Zechce pan usiąść sobie w holu, a ja przyślę kelnera z czymś na pokrzepienie.

Kiedy pół godziny później TJ potwierdził w holu odbiór nowej karty kredytowej, zjawił się concierge z pierwszymi informacjami.

- Proszę pana, pani Paige Burleson nie widziano na żadnej z głównych dróg wylotowych z miasta. Nie wsiadła też do taksówki w Chicago. Jeśli wolno mi coś zasugerować...

- Słucham.

- Bardzo trudno lawirować między wieloma kobietami. Ta blondynka wyglądała dziwnie znajomo. Czy to nie Oliwkowa Dziewczyna?

- Nie, ściśle mówiąc to dyrektor naczelny SunOil. Concierge przyjął poprawkę lekkim prychnięciem.

- W każdym razie, pan może woli tę brunetkę?

- To moja znajoma. Przyjaciółka.

Tamten westchnął.

- To znany truizm, ale warto go powtarzać: mężczyzna i kobieta nie mogą być przyjaciółmi. Mężczyźni są złożonymi istotami, mają potrzeby, pragnienia, ambicje. Kobiety myślą tylko o jednym.

- Mianowicie?

- Och, trudno powiedzieć. Nie jestem kobietą - stwierdził wyniośle concierge. - Czy mam dokonać dla pana jakichś rezerwacji? "Wynająć samochód albo zamówić bilet na samolot? Nowy Jork, Kolorado, Zachodnie Wybrzeże?

TJ westchnął. A więc nie ma wyjścia. Musi wrócić do domu, do Sugar Mountain - miejsca, którego tak unikał, którego się bał, nawet kiedy się nie bał niczego, miejsca jego porażki i największego koszmaru.

- Proszę mi zarezerwować bilet na samolot - powiedział niechętnie. - Do Denver.

- Tak jest, proszę pana.

Podniósł wzrok, żeby odpowiedzieć na usłużny ukłon concierge'a, i w tej samej chwili dostrzegł mężczyznę w kombinezonie Motorconu, przemierzającego ogromny, luksusowy hol hotelu Palmer House. Mężczyzna szedł spieszonym krokiem, nie odwracając się, więc TJ nie mógł zobaczyć jego twarzy, ale masywny opalony kark wyglądał znajomo, podobnie jak czapka z daszkiem i mała chusteczka wystająca z tylnej kieszeni. Na chusteczce wyhaftowana była literka „H”.

- Herman! - zawołał TJ i rzucił się przez hol, odtrącając po drodze gazetę, tacę i concierge'a.

- Mężczyźni to wieczny kłopot - powiedziała Janice między jednym a drugim balonem z gumy do żucia. Wrzuciła pieniądze do automatu i energicznie wcisnęła pedał gazu. - Weźmy mojego pierwszego męża. Albo nawet drugiego.

„Błagam, nie” - pomyślała Paige.

- Kobieta i mężczyzna nie mogą być przyjaciółmi - stwierdziła Janice autorytatywnie. - Kobiety są złożonymi istotami, mają swoje potrzeby, pragnienia i ambicje. A mężczyźni? Oni myślą tylko o jednym.

- On o tym nie myślał. W każdym razie nie w związku ze mną.

- Nigdy?

- No... dwa razy mu się zdarzyło. - I zanim Janice zdążyła pokiwać głową, co miało oznaczać: „A widzisz? Mówiłam ci”, Paige dodała: - Dwa razy w ciągu całej znajomości.

- A ty?

- Pewnie się oszukiwałam przez te wszystkie lata. Widocznie zawsze pragnęłam czegoś więcej, nawet o tym nie wiedząc, bo kiedy mnie dotknął...

- Możesz więcej nie mówić. Doskonale rozumiem. Ciężka sprawa, dziewczyno.

- Najgorsze jest to, że chyba nie potrafię pokochać innego mężczyzny - powiedziała Paige. - Zawsze będę ich porównywać do TJ i zawsze będą wypadać gorzej. Nawet jeśli on był palantem.

Janice potrząsnęła smutno głową.

- To samo musi być ze mną. Przez całe życie każdego faceta porównywałam do Johna Travolty, a Johnny to piekielnie przystojny mężczyzna.

- Przyjaźniłaś się z Johnem Travoltą?

- Nie, ale widziałam wszystkie jego filmy. A to wystarczyło, żeby mi się odechciało wszystkich innych facetów. A John Travolta to palant. Nie wiem tego na pewno, ale to musi być prawda.

Paige przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć płaczem... albo śmiechem.

Janice wysadziła ją przy parkingu policyjnym Middlefork.

- Schowaj to - powiedziała, kiedy Paige wyjęła kopertę z pieniędzmi, które Nelly przesłała jej do hotelu.

- Jestem ci winna...

- Nic mi nie jesteś winna - powiedziała Janice. - Ten twój przyjaciel naprawdę załatwił mi podwyżkę. A najlepsze jest to, że pan Nelson obiecał rozejrzeć się dla nas za jakimś przyzwoitym ubezpieczeniem.

Na parkingu policyjnym stał tylko jeden samochód. Cóż, Middlefork było małym miasteczkiem, w którym ludzie przestrzegali prawa.

- Słucham panią? - powiedział strażnik. Siedział na składanym krześle i czytał gazetę sprzed tygodnia.

- Chciałabym odebrać samochód.

- Upoważnienie?

- Proszę. - Paige wyciągnęła dokument, który Herman przywiózł do hotelu Palmer House. Strażnik rzucił okiem na papier.

- Pięćdziesiąt dolców.

Paige dała mu dwie dwudziestki i dziesiątkę. Nie podnosząc głowy, strażnik wręczył jej kluczyki.

Wielki żółty mustang stał zaparkowany przodem do chodnika. Kiedy podeszła, samochód ze współczuciem zmrużył reflektory.

- Zawieź mnie do domu - szepnęła.

Sugar Mountain było wymarzonym miejscem na dorastanie, bezpiecznym schronieniem przed zagrożeniami surowego, wyrafinowanego świata.

Kierowniczką szkoły podstawowej, potomkini dziewiętnastowiecznego fundatora tej instytucji, była zwolenniczką szacunku, dyscypliny i surowego zakazu żucia gumy. Jej mąż, dyrektor szkoły średniej, znany był jako zagorzały przeciwnik bryków, muzyki rap oraz jako ręka karząca tych, którzy podczas hymnu narodowego zapomnieli o zdjęciu czapki baseballowej lub kasku.

Właściciele sklepów prowadzili rodzinne rachunki, na które dzieci mogły brać smakołyki w drodze powrotnej ze szkoły. W bibliotece nie zadawano sobie trudu zakładania kart, każdy zapisywał wypożyczone książki na liście wyłożonej w korytarzu. Mieszkańcy nigdy nie zamykali drzwi na klucz, chyba że ktoś wyjeżdżał na wakacje. W sklepie, obok stojaka z prasą stał słoik na pieniądze, aby ci, którzy kupowali tylko gazetę, nie musieli podchodzić do kasy.

Komendant policji i straży pożarnej, Matt Skylar, posiadał cudowną zdolność pamiętania imion i nazwisk wszystkich dzieci w miasteczku oraz jeszcze bardziej zadziwiający dar mówienia do nich: „Cho-

no tu, brachu" tonem, który zmuszał nawet najbardziej rozhułkanych wyrostków do ponownego przemyślenia planowanego wybryku. Nauczył się tego od swojej poprzedniczki, komendantki policji i straży pożarnej, Jeanne Schoder, która z powodzeniem testowała tę umiejętność na swoich dziewięciorgu dzieciach.

Burmistrz Stern organizował parady z okazji czwartego lipca, które gromadziły na ogół więcej uczestników niż widzów, oraz sierpniowe koncerty w dolinie dla najbardziej zapalonych muzyków i mówców, niezależnie od talentu.

Było to spokojne, ciche miejsce, gdzie matki w letni poranek wymiatają dzieci przed dom z przykazaniem: „Idź, znajdź sobie kogoś do zabawy”; gdzie każdy właściciel sklepu wyśmiałby pomysł zainstalowania kamer albo luster do obserwacji klientów; gdzie każdy wiedział, kto z sąsiadów potrzebuje pomocy przy odśnieżaniu podwórza, strzyżeniu trawnika czy zakupach i z tą pomocą przychodził.

Nie było to jednak miejsce dla ambitnych nastolatków, których korci, żeby „wyrwać się stąd” i „zrobić coś ze swoim życiem”. A ponieważ taka jest większość nastolatków, Sugar Mountain co roku traciło znaczną część absolwentów liceum na rzecz wyższych uczelni, wojska i intratnych stanowisk w szerokim świecie.

Burmistrz Stern był jednak bystrym obserwatorem ludzkiej natury. Wiedział, że wszyscy ci ludzie, kierowani takim samym instynktem jak zwierzęta, pewnego dnia zmęczą się podróżami i zapragną wrócić do domu. I w dniu, kiedy ci dawni mieszkańcy

Sugar Mountain nasyca się wielkim światem, burmistrz Stern będzie już na nich czekał, snując swoje plany i knując spiski.

- To trochę jak łowienie pstrągów. Czekasz, aż wróca na tarło - tłumaczył kiedyś Mattowi Skylarowi. - Liczysz dni i tygodnie, zanim się zjawia. Ale zawsze wracają.

Doroczne zjazdy absolwentów były częścią jego intrygi. Ulice miasteczka przystrajano jaskrawymi biało-zielonymi transparentami - barwami szkoły średniej w Sugar Mountain. Bar burmistrza oferował powracającym absolwentom bezpłatne drinki oraz jego słynne plastry siekanej cebuli. Pan Hunt, właściciel agencji handlu nieruchomościami, wydał dla nich ogromne przyjęcie, połączone z prezentacją zdjęć domów, które ostatnio weszły na rynek.

Szkolna drużyna futbolowa odbyła gruntowne seminarium na temat składu licealnych zespołów sprzed dziesięciu, piętnastu i dwudziestu lat. Gracze absolwenci - powiedział swoim zawodnikom trener Scandaglia - będą uszczęśliwieni, wspominając wzruszające szczegóły swoich dawnych meczów i zapowiedział na poniedziałek pisemny sprawdzian z tego tematu, który będzie punktem wyjścia do ustalenia podstawowego składu drużyny.

Na piątkowych koktajlach uczniowie szkoły podstawowej śpiewali szkolne pieśni, witane melancholijnymi uśmiechami i okrzykami „Ależ one słodkie!” przez słuchaczy - niepomnych, że w czasach, gdy byli młodszy i mądrzejszy, reagowali na te same melodie jękiem i wywracaniem oczu. Lokalna rozgłośnia radiowa co piętnaście minut nadawała szkolny

hymn „Darem jest wolność, darem w prostocie żyć”, aż w końcu nawet prezes miejscowej izby handlowej miał ochotę krzyczeć.

W poniedziałki po zjeździe burmistrz Stern otwierał w swoim gabinecie w ratuszu kolejne księgi absolwentów i zakreślał zdjęcia tych, którzy zamierzali osiąść w Sugar Mountain: tych którzy przemierzywszy świat, stwierdzili, że nie ma tam nic, czego by nie można znaleźć na własnym podwórku; którzy doszli do wniosku, że małe miasteczko, takie właśnie jak Sugar Mountain, jest najlepszym miejscem na wychowywanie dzieci; tych, którzy zarobili trochę pieniędzy albo je stracili i nie potrzebowali już za nimi gonić, aby znaleźć szczęście; jednym słowem tych, którzy pragnęli wrócić do domu.

Co pięć lat każda księga była uaktualniana. Najwięcej czasu spędzał nad rocznikami sprzed dwudziestu lat. One miały dużo stron z zakreślonymi zdjęciami. Sprzed trzydziestu? Cóż, pozwolił sobie zakreślić swoje własne zdjęcie czerwonym długopisem, mimo że nigdy nie wyjechał z miasteczka.

Przyszłość - to o nią walczył. O przyszłość Sugar Mountain.

Od dawna wiedział, że zjazd absolwentów w dziewięć i pół roku po tragedii, która się wydarzyła na zboczach Sugar Mountain, będzie nie lada wyzwaniem. Rocznik Jacka miał obchodzić piętnastolecie ukończenia szkoły. Drugi ze Skylarów, TJ, z pewnością nie przyjedzie, a jego nieobecność zwróci tylko powszechną uwagę na fakt, że od dziesięciu lat ani razu nie postawił nogi w rodzinnym mieście. Burmistrz martwił się o Matta - jedyne go ze Skyla-

rów, który został w domu i tydzień po śmierci brata złożył w ratuszu podanie o pracę.

W czwartek rano burmistrz przejrzał harmonogram weekendowych imprez, po czym zaczął wykręcać numer do Matta. Po chwili odłożył słuchawkę. Co właściwie zamierzał mu powiedzieć? „Wiem, że to będzie trudne”? „Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla miasta i dla mnie po śmierci brata”? „Przykro mi, że TJ nie przyjedzie”? „Przykro mi, że nikt nie ma pojęcia, gdzie się podziewa Win”? „Przykro mi, że jako jedyny musisz dbać o swoją matkę, którą cierpienie tak przytłoczyło, że od pogrzebu najstarszego syna nie przekroczyła progu własnego domu”?

W końcu zrobił to, co umiał najlepiej. Zadzwoił do Matta i oznajmił mu ściśle służbowym tonem, że straż pożarna otrzymała oficjalne pozwolenie na pokaz sztucznych ogni, który zaplanowała na sobotni wieczór. Zapytał też, czy Matt nie ma ochoty wpaść po południu do baru na piwo, zanim się zjadą absolwenci i zajmą najlepsze miejsca.

Łatwiej się było skupić na tych szczegółach, niż stawić czoło ponurej prawdzie, że Sugar Mountain nie miało nic do zaoferowania swojej powracającej trzódce. Burmistrz wyjrzał przez okno na skrzyżowanie Main Road i Eastman Avenue. Na wystawie sklepu z damską odzieżą nadal wisiało ogłoszenie o sprzedaży lokalu, który zresztą był już zamknięty od dwóch miesięcy. Księgarnia mieszcząca się na rogu oferowała dziesięcioprocentową zniżkę przy każdym zakupie, ale i tak kwestią czasu było przejęcie jej przez wielkie supersamy. Widok dziurawych nawierzchni i usychającego wiązu, który należało wy-

ciąć, szarpał burmistrzowi nerwy. Odszedł od okna.

Na usta cisnęło mu się jedno nazwisko, wzbudzające smutek i gniew.

- James Burleson - powiedział na głos.

- Co tu robisz? - zapytał TJ.

Herman uchylił czapki przechodzącej kobiecie.

- Przywiozłem pannie Burleson upoważnienie na mustanga.

- Gdzie ona jest?

- Pojechała odebrać samochód.

- Dlaczego jej tam nie zawiozłeś?

- Chciałem obejrzeć miasto. Nigdy nie byliśmy z Bertą w Chicago, a już na pewno w takim ślicznym hotelu. - Spojrzał z podziwem na imitację greckich kolumn. - Zastanawiamy się nawet, czy się nie wybrać wieczorem do Trader Vic's na te szatańskie *mai tai*.

Nagle TJ natchnęła myśl.

- Chcecie się tu zatrzymać?

Herman potrząsnął głową i uśmiechnął się na samą myśl o zwykłym mechaniku samochodowym wynajmującym z siostrą pokój w najlepszym hotelu w Chicago.

- Nie stać nas na to. Mamy dwa pokoje w motelu przy Congress Parkway.

- Nie ma mowy - to powiedziawszy, TJ poprowadził Hermana do recepcji i nacisnął dzwonek na kontuarze. Delikatny dźwięk przywołał uwagę recepcjonisty. - Chciałbym dostać dodatkowy klucz dla mojego znajomego i jego siostry. Zatrzymają się na kilka dni w moim apartamencie. Kiedy wyjadą,

proszę przesłać rachunek do mojego biura w Nowym Jorku.

Recepcjonista popatrzył na Hermana, potem na TJ.

- Naturalnie, proszę pana - odparł i wyjął klucz z szuflady. - Czy coś jeszcze?

- Tak, proszę zarezerwować stolik dla dwóch osób w Trader Vic's. I proszę to także wpisać na moje konto.

- Dobrze, proszę pana.

Herman potrząsnął głową na znak protestu.

- Herman, powiedz mi tylko jedno. Gdzie jest samochód sportowy Paige?

- *Ja*, naprawiłem go - powiedział z dumą. - Zespałem taką samą część z materiałów, które miałem w warsztacie. Przywiozłem go tu, ale pani Paige powiedziała, żebym go zatrzymał, skoro tak mi się podoba, a ona będzie jeździć moim mustangiem.

- Jak bardzo ci się podoba ten samochód?

Herman zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem pańskiego pytania, panie Skylar.

- Mów do mnie TJ. Chcę wiedzieć, jaki jest twój ulubiony samochód.

- Och, bez dwóch zdań bmw Z3, błękitny kabriolet. Taki, jak miał James Bond. Sześć razy pożyczałem „Jutro nigdy nie umiera”, tylko po to, żeby popatrzeć na ten wóz. Włączałem pauzę i po prostu patrzyłem.

- Chodźmy więc do salonu samochodowego. Chcę z tobą ubić mały interes.

Przez całe osiemnaście godzin jazdy TJ myślał tylko o Paige. Wyłączył nawet pager, który miał irytu-

jacy, a zarazem łatwy do przewidzenia zwyczaj ogłaszania, że potrzebują TJ w biurze.

Nie miał wątpliwości, że znajdzie Paige w Sugar Mountain. Mknąc drogą, która wiodła coraz wyżej przez górską przełęcz, zastanawiał się, gdzie ma szukać najpierw - w domu Burlesonów, w liceum czy może w barze burmistrza Sterna.

Ani razu w czasie jazdy nie pomyślał o miejscu, do którego tak naprawdę zmierzał. Spod urwiska rozciągał się widok na mrugające światła miasteczka Sugar Mountain, takie same jak dziesięć lat temu. Zaczął wchodzić na górę. To Paige go tu prowadziła, czuł to tak wyraźnie, jakby siedziała w samochodzie i nadal obmyślała swoje podstępny, żeby go wyciągnąć z biura na Wall Street. Ostrożnie stawiał kroki. Odzwyczał się trochę od swoich traperów, ale podłoże było ciepłe i wilgotne, a ludzie wychowani przez góry nigdy nie zapominają tego, czego się raz nauczyli. Wkrótce szedł już pewnym, mocnym krokiem. Dotarł na szczyt i rozejrzał się po dolinie.

Ta góra go wychowała, wyuczyła i wprowadziła w dorosłość. Ale pobrała za to okrutną daninę. Śmierć brata prześladowała go każdego dnia, jakby każdy był tym samym, kiedy Jack wysliznął mu się z ręki.

Poniósł wtedy przerażającą porażkę i każda późniejsza przegrana, każde niedociągnięcie, każda chwila słabości była pochodną tej tragedii. Od tej pory nie miał prawa w siebie wierzyć.

Co właściwie może ofiarować Paige? Miłość? Małżeństwo? Dzieci?

„Niczego jej nie możesz dać” - wołało w nim coś w środku. Zawiedzie ją i będzie winien następnego,

innego upadku. „Już lepiej wracać” - pomyślał. Wracać do Nowego Jorku i zająć się tym, co daje szansę powodzenia.

Odwrócił się od doliny i już miał zamiar schodzić, gdy nagle poczuł coś, co go wyraźnie ciągnęło. Obejrzał się. Nic tam nie było, a jednak w palcach czuł uścisk... Nadal niczego nie widział. Nie wierzył w rzeczy, których nie miał przed oczami.

Mimo to wrócił nad urwisko. Spojrzał w dolinę. Poczował na plecach chłód. W samej koszuli było za zimno. Śnieg zasłaniał mu widok. Dłoń Jacka ciągnęła go w dół, palce zaciskały się wokół jego dłoni. Człuch zapach strachu, słyszał grzechot kamiyków, kiedy Jack szukał oparcia na bezlitosnej skale.

Dotknięcie ręki Jacka. Tłumacząc sobie, że to przecież czyste brednie - brak snu albo nadmiar snu, niedobór witamin albo ich nadmiar, który powoduje przejściowe zaburzenia psychiczne - wyciągnął rękę i przykucnął nad krawędzią przepaści. Stracił brata, a z nim razem ogromną część swego życia i był spragniony każdego jego dotyku, nawet jeśli to był obłąd.

Znów czuł na plecach wiatr i przerażenie młodszego brata. Zobaczył, jak Jack odwraca głowę w kierunku doliny.

- Jest taka piękna - powiedział wtedy. I powtarzał to w pamięci TJ przez lata, raz po raz.

Lecz tym razem, dziesięć lat później, powiedział coś jeszcze.

- Puść mnie, TJ. Ja puszczam.
- Nie, Jack, gdzie ty, tam my wszyscy.
- Nie tym razem, bracie.

I wtedy Jack rozluźnił uchwyt. TJ nie mógł go już

utrzymać. Taki ogromny, bezwładny ciężar, a on miał takie cholernie śliskie i zimne palce.

Wszystko znikło.

- Jack! - wrzasnął TJ, lecz nikt mu nie odpowiedział. „Gdzie ty, tam my wszyscy”. Żył zgodnie z tym mottem. I zgodnie z nim opuścił rodzinę, miasteczko i nawet samego siebie - tak jak Jack.

Lecz to Jack go puścił, nie on.

Otworzył zaciśniętą dłoń. Podniósł się i odwrócił. Był sam. Podniósł grudkę ziemi i rzucił w przepaść. Potem szepnął - żegnaj i wrócił do samochodu.

Bar burmistrza Sterna wyglądał tak, jak go pamiętał: jesionowe deski niedokładnie pokryte zieloną farbą. Dwaj leciwi bywalcy na ławie przed wejściem prawdopodobnie nie byli jednak tymi samymi, których widział dziesięć lat temu. Ławę wystawiano na dwór latem, zimą zastępowała ją podświetlona plastikowa szopka z pasterzami i trzema królami, uzupełniona świętym Mikołajem i bałwankiem Frosty.

Transparent nad schodami głosił: „Witajcie w domu”. Wisiał tam każdego roku jeszcze długo po zjeździe absolwentów, tak że "większość mieszkańców nazywała gospodę „Witajcie w domu”, chociaż tak naprawdę był to po prostu „Bar Estelli”, od imienia zmarłej matki burmistrza.

TJ wszedł po schodkach. Czwarty, skrzypiący stopień przywołał wspomnienia dawnych, młodzieńczych wypadów do knajpy. Po otwarciu drzwi TJ musiał odczekać, aż oczy po oślepiającym blasku słońca przyzwyczajają się do półmroku wnętrza. Zamrugał, usłyszawszy swoje imię. Powoli zaczął rozróżniać zarysy otoczenia. Przez całą długość baru

biegł bufet z mosiężnymi poręczami. Tu i ówdzie stały jesionowe stoliki, zwrócone przodem do sceny, gdzie przy stołku leżała złota trąbka burmistrza. Wszystko wyglądało tak jak dziesięć lat temu, włącznie z dwumetrowym plakatem zespołu Jethro Tuli nad kominkiem.

- TJ, chłopie, co słychać? - zawołał burmistrz Stern od stolika pod oknem.

Jego opaloną twarz znaczyły delikatne jasne bruzdy, ale dżinsy nadal leżały doskonale na zgrabnej sylwetce biegacza. Po krótko ostrzyżonych włosach można było rozpoznać urzędnika państwowego, ale cała reszta aż się prosiła o komentarz: „szałowy facet, nawet po tylu latach”.

Wyciągnięta dłoń TJ opadła bezwładnie, gdy przy stoliku zauważył swego brata.

- Matt - powiedział, sztywniejąc i tracąc pewność siebie. - Jak się masz?

Matt wstał. Wyrósł na potężnego mężczyznę. Na piersi miał przypiętą odznakę. Uścisnęli sobie ręce i objęli się niezręcznie.

- Cieszę się, że wróciłeś do domu - powiedział łagodnie Matt.

Burmistrz oświadczył nagle, że ma do załatwienia niezwykle pilny interes.

- Siadajcie i napijcie się piwa - powiedział. - Nadrabiajcie stracony czas, a przy okazji spróbujcie mojej cebuli. Jest darmowa przez cały weekend. To przecież twój zjazd, TJ. Bawcie się dobrze!

- Szczerze mówiąc, nie zostaję na zjeździe. Szukam tu tylko innej absolwentki - powiedział TJ. - Paige Burleson.

Zdziwienie na twarzy burmistrza, kiedy TJ oznajmił, że nie zostaje, ustąpiło miejsca dezaprobowaniu na dźwięk nazwiska Paige.

- Córka Jamesa przyjeżdża?

- Tak. Czy coś się stało?

- Obawiam się, że nie spotka jej tu mile powitanie. Wielu ludzi ma pretensje do jej ojca.

- O co?

Burmistrz i Matt wymienili poważne spojrzenia.

- To miasto umiera - powiedział Matt cicho. - I wiele osób wini za to pana Burlesona.

- Co się...

- Porozmawiaj o tym z bratem - powiedział burmistrz. - I nie spuszcza jej z oka. W miasteczku panują nie najlepsze nastroje. Nie mam pojęcia, dlaczego Paige zdecydowała się wrócić akurat teraz.

TJ chciał go dalej wypytywać, lecz w tej samej chwili podeszła do nich młoda krzepka kobieta z pytaniem, czy burmistrz pójdzie z nią dzisiaj do kina. Mężczyzna próbował się wykręcić obowiązkami służbowymi, ale ustąpił na widok rozczarowania, jakie odmalowało się na jej twarzy.

- No dobrze - powiedział. - Tylko muszę wrócić na przyjęcie dla absolwentów.

- Oczywiście, panie burmistrzu!

- Ten facet zawsze działał na babki jak magnes - zauważył Matt, patrząc za odchodzącą parą i potrząsając głową. - I za żadne skarby nie mogę odgadnąć, dlaczego.

- Tak się działo od czasu, gdy został burmistrzem. To nie on przyciąga kobiety, tylko jego pozycja.

Barman postawił przed TJ kufel piwa i dolał Mattowi świeżej kawy.

- Witaj w domu - powiedział niezręcznie Matt. -
Wiem, że to nie było łatwe.

- O, tak. Nie mogę powiedzieć, że chciałem tu
wracać. Ale nie bierz tego do siebie.

Matt skinął głową. Musiało minąć wiele lat, nim
przystał mieć żal do brata, że zostawił go samego.
Teraz został tylko tępy ból w skroniach, kiedy zbyt
długo o tym wszystkim rozmyślał.

- No więc, co tu się dzieje? - zapytał TJ. - O co
chodzi z tym umierającym miastem?

- No cóż, dużo się zmieniło od twojego wyjazdu -
rzekł Matt.

- Twój ojciec jest tu ostatnio bardzo nielubianym człowiekiem - powiedziała cicho matka.

Paige podniosła wzrok znad sterty papierów. Przez przyciemnioną szybę drzwi gabinetu widziała salę bankową wypełnioną ponurym światłem. Pracownicy rozmawiali ze sobą szeptem, jakby nie byli w pracy, tylko na pogrzebie.

„Bo tak szczerze mówiąc, to jest pogrzeb” - pomyślała Paige, rozprostowując papiery.

- Wiesz, mamuś, to wygląda dużo gorzej, niż myślałam. Nie poradzę sobie z tym - powiedziała. - Oddam wszystkie swoje zaoszczędzone pieniądze i te z funduszu emerytalnego, i...

- Paige, ja już zaczęłam załatwiać przekazanie emerytury - przerwała jej matka. - Rozmawiałam z kierownikami funduszu. Powiedzieli, że mogą wypłacić nauczycielowi jednorazowo całą sumę. Poza tym, oczywiście, sprzedamy dom.

- Mamo, usiłuję ci powiedzieć, że to nie wystarczy. Przykro mi, wiem, że nie zdawałaś sobie sprawy, jak źle to wygląda.

Pani Burleson wytarła nos w pogniecioną chusteczkę.

- Czy nie można by sprzedać banku?

- Nikt go nie zechce kupić.

- W każdym razie nie pozwolę twojemu ojcu umrzeć wśród ludzi, którzy mają o nim takie złe zdanie.

- Ludzie nie będą go obwiniać. Wykorzystano go. Nie zdawał sobie sprawy, że ta inwestycja przerasta jego możliwości. Zrobię, co będę mogła, ale nie wiem, czy uda mi się to wszystko naprawić.

- Twój ojciec nie jest złym człowiekiem, przecież wiesz o tym.

- Wiem, mamó. Popełnił tylko błąd. Zapomniał, że Sugar Mountain jest niewielką miejsciną, malutką kropeczką na mapie. Nic w tym złego, dopóki na małą kropeczkę nie próbuje się wtłoczyć centrum handlowego i kompleksu kinowego z sześcioma salami. .

- Gdyby chociaż nie udzielił tego kredytu ludziom, którym się zdawało, że zagospodarują południową dolinę!

Paige przypomniała sobie hektary terenu ogrodzone siatką i tablicę przy szosie: „Teren centrum handlowego w Sugar Mountain. Wielkie otwarcie...”. To było dwa lata temu. Ziemia została - przeorana, płaska i jałowa, a ludzie znikli, podobnie jak pieniądze banku.

- Tak, to był jeden z błędów, jakie tata popełnił - przyznała Paige.

- Jeśli bank upadnie, wielu ludzi straci cały swój dorobek - zauważyła pani Burleson. - Sugar Mountain stanie się wymarłym miastem. Tak jak South Paw, Tyme's Gate, Tumbleweed Junction. W Tumbleweed dotąd stoi porzucone centrum handlowe.

- Wiem - powiedziała Paige, za znużeniem pocierając skronie. - Zobaczą, co się da zrobić. Zostanę tu na dłużej.

- Nie, Paige, wracaj do Nowego Jorku. Tu zmarujesz sobie życie.

- Wracam do domu, mamó. Jeśli tego nie zrobię, przyjdzie nam przekazać bank władzom federalnym, a wtedy kto wie, co się stanie z miastem.

- Paige, pozwól, że cię o coś zapytam. Kiedy ostatnio opowiadałaś mi o jakimś ślubie?

- Słucham? - zapytała Paige, zdziwiona tą nagłą zmianą tematu.

- Kiedy ostatnio byłam na ślubie?

- No cóż, niech pomyślę, chyba trzy tygodnie temu na ślubie dziewczyny Fitzgeraldów. Dzwoniłaś do mnie, żeby mi o wszystkim opowiedzieć. Czemu pytasz?

- Ile ona ma lat?

- Hmm, pamiętam, że czasami się nią opiekowałam, a więc... zaraz, zaraz... byłam wtedy w ósmej klasie, a ona miała... to znaczy, że ma teraz dwadzieścia... dwadzieścia dwa. Tak mi się zdaje.

- A ile znasz dziewcząt w tym wieku, które są w ciąży?

- W Sugar Mountain? Och, piszesz mi o tym za każdym razem. Chyba trzy. Córka Jacksonów, Lottie Smith i Peggy Newman. Peggy też pilnowałam.

- Ile one mają lat?

- Dziewczyna Jacksonów ma chyba dwadzieścia dwa. Lottie dwadzieścia cztery, ale to jej trzecie dziecko. A Peggy ma dwadzieścia.

- Właśnie.

- Nie rozumiem, co to ma... aha, już wiem. Chcesz powiedzieć, że jestem za stara na małżeństwo.

- Kiedy dzieci, którymi kobieta się opiekowała ja-

ko nastolatka, wychodzą za mąż, to znaczy, że najwyższy czas...

- Dużo kobiet zwleka ze ślubem nawet do trzydziestki.

- Tak, w Nowym Jorku, w Chicago albo Los Angeles. Tam, jeśli kobieta ma dwadzieścia osiem lat i nie jest mężatką, to jest po prostu dwudziestoosmioletnią niezamężną kobietą. Ale w Sugar Mountain dziewczyny po skończeniu liceum śmigają prosto do ołtarza, zwłaszcza jeśli mają zamiar zostać w mieście. Tutaj niezamężna dwudziestoosmioletka jest starą panną.

- Uważasz, że jeśli tu zostanę, to nigdy nie wyjdę za mąż, tak? Rany boskie, mamó, jest mnóstwo mężczyzn, którzy by mnie chętnie poprosili o rękę. Na przykład Harry Thomas. Świetnie się rozumieliśmy, chociaż jest bardzo nieśmiały i trochę z niego dziwak.

- Dziękuję, ale nie pozwolę się mojej córce spotykać z mężczyzną, który nie ma odwagi przyznać, że jest łyśy.

- To jego włosy nie są prawdziwe?

Matka wzniosła oczy do nieba.

- O rany, no dobrze, to niech będzie pan Krause.

- Żonaty.

- Mówiłaś, że się rozwiódł.

- Są w separacji - sprostowała pani Burleson. - Poza tym ma szóstkę ślicznych dzieci.

- To istotnie trochę sporo.

- To by się dopiero nazywało szybko założyć rodzinę. Poza tym jest jeszcze jeden kłopot. On nie wierzy w kobiety pracujące.

- No to będę się musiała zasadzić na burmistrza Sterna.

Matka aż usta otworzyła z oburzenia.

- Ooo, co to, to nie! To istny libertyn!

Obie się roześmiały.

- Mamusiu, zostaję tu - powiedziała Paige. - I bardzo się z tego cieszę.

Po czym dodała jeszcze uspokajająco:

- Cieszę się, że jestem w domu.

Wyrzała przez okno. To prawda, że Sugar Mountain było cudownym miejscem na wychowywanie dzieci, życie u boku męża w szczęśliwej rodzinie, ale nie dla dwudziestoośmioletniej samotnej kobiety. Mówiąc, że z przyjemnością wraca do domu, zmuszała się do uśmiechu, jednak wdzięczność matki wynagrodziła wszystkie obawy i rozczarowania.

Wyszły z gabinetu. W holu ojciec grał w karty ze strażnikiem.

- Miło tu - powiedział do niej ojciec. - Czy jutro też tu przyjdziemy?

Paige przełknęła łyżę i skinęła głową, obiecując ojcu, że będzie mógł tu jutro wrócić. Wiedziała, że do jutra zapomni, o co prosił, tak jak nie pamiętał, że bank był dziełem jego rąk i długich lat ciężkiej pracy. Zanim utrata pamięci doprowadziła i bank, i jego samego do upadku.

- The Knack - zauważył TJ, wchodząc do pokoju prawie bez pukania. - Nigdy nie sądziłem, że lubiłaś The Knack.

Paige podniosła wzrok znad porzucanych folderów. Z całych sił się powstrzymywała, żeby nie skoczyć na równe nogi i nie rzucić mu się na szyję.

Wrócił do domu!

- Oni naprawdę mieli talent - powiedziała ze sztuczną powagą.

- Racja - odpowiedział TJ, po czym oboje wybuchnęli śmiechem na wspomnienie dawno zapomnianego zespołu nastolatków.

- A więc jesteś - powiedziała cicho.

- Mam tu zjazd absolwentów. I przyjaciółkę, którą muszę przeprosić.

- Już przepraszałeś.

- To pozwól mi się powtarzać do końca życia.

- Co z Shanną?

- Jeśli włączysz wieczorne wiadomości, zobaczysz ją na konferencji prasowej, jak ogłasza, że zostaje nowym dyrektorem naczelnym firmy SunOil Motorcon Corporation.

- Oliwkowa Dziewica będzie dyrektorem naczelnym? To informacja warta przesiedzenia przed telewizorem przez całe wiadomości. Jak do tego doszło?

- To długa historia. Ale nie zbaczaj z tematu. Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że nie mogę już być twoim przyjacielem. Jestem mężczyzną i tylko jedno mi w głowie. Kochać cię. Wiem, że kobiety są istotami skomplikowanymi, że mają swoje marzenia i ambicje. I jeśli kochanie cię ma polegać na tym, że będę pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę nad urzeczywistnieniem twoich marzeń, kotku, to chcę to robić.

Łzy stanęły jej w oczach. Pomyślała o wszystkim, czego on nie mógł porzucić i tym wszystkim, czego ona nie mogła mieć.

- Wyjdź za mnie, Paige. Obiecuję spełnić wszystkie twoje marzenia.

Teraz już łzy płynęły jej po policzkach.

- Nie - powiedziała.

- Nie? - powtórzył zaskoczony. Prawie nigdy kobiety mu nie odmawiały, a już na pewno nie spodziewał się takiej odpowiedzi na oświadczeniu.

- Nie - powtórzyła Paige. - Każde z nas oczekuje od życia czegoś innego. Ciebie ciągnie na Manhattan, a mnie w góry. Ty oczekujesz od życia codziennych podnieć, a ja trochę spokoju. Nie zgodzę się na małżeństwo, które wymagałoby od ciebie poświęcenia. A ja nie mogę opuścić...

Położył jej palec na ustach.

- Chcę tego samego co ty. Tylko dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zapomniałem, jak bardzo kocham Sugar Mountain. Zapomniałem, jak bardzo kocham ciebie. Ćwiczyłem się w udawaniu kogoś innego, bo po wypadku Jacka czułem, że będąc sobą, zawiodłem.

- To nie była twoja wina, TJ - wyszeptała Paige. - Trzymałeś go tak długo, jak mogłeś.

- Teraz to wiem - powiedział TJ. - To Jack mnie puścił, bo wiedział, że w przeciwnym razie spadniemy razem.

- Boże... - szepnęła Paige przerażona.

- Zrobił to, co uważał za dobre. Uratował mi życie. Wiesz, jakie były jego ostatnie słowa?

Potrząsnęła głową.

- Ze jest piękne. Miał na myśli Sugar Mountain. I miał rację.

Starł jej łzę z policzka.

- Nie chciałem wracać, bo to oznaczało stawić czoło własnej porażce. Ale ty mnie tu przyciągnęłaś. Podstępem, czułością i wszelkimi możliwymi sposo-

bami naprowadzałaś mnie na właściwą ścieżkę, kiedy chciałem z niej zbaczać. I kiedy tu wreszcie przyjechałem, zrozumiałem najważniejszą rzecz, o której przez te wszystkie lata starałem się zapomnieć.

- Co takiego?

- Że się zgadzam z Jackiem. A teraz jeszcze raz cię pytam: wyjdiesz za mnie?

- Tak, ale...

- Tak, ale co?

Jechali samochodem do domu Skylarów. Po drodze TJ opowiedział, jak zabrał Hermana i Bertę do salonu w Chicago.

- Wybrali identyczny model i kolor jak ten, którym jeździł Pierce Brosnan w „Jutro nie umiera nigdy”. O Boże, spójrz tylko.

Trawnik przed domem Skylarów był tak samo nieskazitelnie wypielegnowany jak dziesięć lat temu. Równiutko zagrabiony żwir na podjeździe wyglądał jak lukier na wyjątkowo apetycznym ciastku. Z grządek ku ścieżkom i schodkom pochyłały się późne żonkile. Wokół okien na parterze piął się milin, a klematis o kwiatkach w kolorze indygo wił się leniwie po balustradzie werandy.

- Widać, że Matt dba o otoczenie - orzekł TJ.

- Burmistrz mówił, że zakupy dostarczają jej co tydzień z Lakeside Foods - powiedziała Paige. - Kierowca zostawia torby przy bocznym wejściu. Nigdy jej nie widział, chociaż co roku na święta znajduje kopertę z dwudziestoma dolarami. Wszystkie inne sprawy twoja matka załatwia przez pocztę. Jediną osobą, którą wpuszcza do domu, jest Matt.

- Czy Matt został tu ze względu na nią?
- O to musisz zapytać jego - odparła Paige, zaciągając hamulec ręczny.
- I tak jest od pogrzebu?
- Od momentu, kiedy tamtego dnia weszła do domu.
- Nie rozmawiałem z nią od tamtej pory.
- Wiem.
- Powiedziała wtedy, że nie zrobiłem wszystkiego, co mogłem. Ze to ja go zabiłem, bo go nie utrzymałem...
- Wiem.
- Czy naprawdę muszę to zrobić?
- Tak - odparła stanowczo Paige.

Weszli na ganek, omijając spróchniałe deski. TJ zadzwonił do drzwi.

- Mamo! Otwórz drzwi!

Cisza.

- Nie uwierzyłybyś, gdybym powiedział, że nie ma jej w domu? - zapytał TJ.

- Nie, nie uwierzyłabym - powiedziała Paige i zadzwoniła do drzwi po raz drugi.

Czekali. TJ czuł, jak napięcie w nim rośnie i pełnie wzdłuż kręgosłupa.

- W porządku, wynoszę się stąd.
- TJ, poczekaj.

Za firanką przemknął cień. Drzwi się uchyliły nieznacznie.

- Mamo - powiedział TJ.

Usłyszeli pojedynczy głośny oddech, a potem drzwi się otworzyły i stanęła w nich mała zgarbiona kobiecina. W pierwszej chwili TJ przemknęło przez myśl, że oto jakimś cudem miał przed sobą

swoją świętej pamięci babcię w sukience, którą pamiętał z dzieciństwa, teraz brudnej i obszarpanej. Dopiero po sekundzie dotarło do niego wstrząsające odkrycie, że ta wyniszczona kobieta, zasłaniająca ręką oczy przed blaskiem słońca, jest jego matką.

- Przywiozłaś go - powiedziała. W jej głosie zabrzmiało zdziwienie i radość.

- Tak, pani Skylar, przywiozłam go.

- Mój syn. - Wyciągnęła rękę, żeby ją objął.

A TJ nie mógł, po prostu nie mógł. Współczuć jej - owszem, wysłać pieniądze, wynająć lekarza, który by ją nakłonił do wyjścia z domu, może nawet z nią posiedzieć, porozmawiać... Ale nie potrafił jej okazać uczucia, nie mógł się przed nią otworzyć po tych wszystkich latach, kiedy go winiła za...

Odwrócił się i pędem zbiegł ze schodów. Był w połowie trawnika, kiedy usłyszał błagalny głos Paige.

-TJ!

Zatrzymał się.

- TJ - powtórzyła.

Co miał zrobić? Kochał ją nad życie. Odwrócił się i powoli wszedł po schodach prosto w objęcia matki. Paige wzięła go za rękę. Oboje czuli, jak panią Skylar wstrząsa szloch.

- Mamo, zrobiłem wszystko, co mogłem - powiedział. - Proszę...

Matka odsunęła się od niego.

- Nie, proszę, posłuchaj mnie. Straciłam syna i mój gniew na los przesłonił mi wszystko inne, nawet miłość do ciebie. Winiłam cię, sądziłam, że jesteś odpowiedzialny... ale ty zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Staraleś się ze wszystkich sił.

- Tak, mammo.

- Więc proszę cię, TJ, postaraj się teraz o coś jeszcze trudniejszego. Wybacz mi.

Naturalnie, mógł to zrobić. Mógł to powiedzieć, ale czy słowa wybaczenia będą prawdziwe? Otworzył usta i wtedy poczuł na plecach dłoń Paige; promieniowało od niej ciepło miłości.

- Oczywiście, mammo, że ci wybaczam - powiedział.

I słowa były prawdziwe. Pani Skylar odzyskała syna.

Burmistrz Stern zadzwonił do Burlesonów o siódmej wieczorem.

- Pani Burleson? Prosiła mnie pani o telefon - powiedział krótko.

- Tak, wie pan, że TJ Skylar wrócił? Jest na górze z Paige. Słuchają swoich starych płyt. Prawda, że to uroczę?

- Tak, naturalnie. Proszę mu powiedzieć, że przyjęcie dla jego klasy odbędzie się w sali gimnastycznej szkoły podstawowej. Paige też.

- Dobrze. Mam też dla pana wiadomość. Tak naprawdę dzwoniłam, żeby powiedzieć, że Paige zostaje nowym prezesem banku. Myślę, że to dobra wiadomość dla Sugar Mountain.

W słuchawce zaległa długa cisza.

- To rzeczywiście bardzo dobra nowina. Proszę powiedzieć nowej pani prezes, że chciałbym się umówić w przyszłym tygodniu na lunch z nią i przedstawicielami izby handlowej, żeby omówić sprawy rozwoju naszego miasta. No cóż, czeka nas dużo pracy, ale wierzę, że jej się uda.

- Przepraszam za mojego męża. To wina jego choroby.

- Jeśli pani córka przejmie kierownictwo banku, przeszłość nie będzie miała znaczenia.

Po odłożeniu słuchawki pani Burleson poszła na górę i zapukała do pokoju Paige. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zapewne z powodu zbyt głośnej muzyki Luthera Vandrossa, nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Kiedyś Paige tak robiła, kiedy się dąsała albo była urażona. Lecz teraz?

Pani Burleson zapukała ponownie, jeszcze głośniej. Nadal nie było odpowiedzi.

„Czuję się, jakbym znowu miała piętnastoletnią córkę” - westchnęła i zaczęła wracać na dół. Kiedy zeszła do połowy schodów, drzwi się otworzyły, lecz nim zdążyła coś powiedzieć, zatrzasnęły się z powrotem. Zobaczyła przyklejoną na nich karteczkę: „Świeżo zaręczeni. Wstęp wzbroniony”.

- A mówiłam jej, że jeśli zostanie, to nie będzie się mogła opędzić od konkurentów!

TJ oderwał usta od słodkiej skóry na ramieniu Paige.

- Znowu słyszałem pukanie - powiedział.

- Zdawało ci się. To muzyka.

- Nie, słyszałem twoją mamę, była pod drzwiami.

- Czytała kartkę. Drzwi są zamknięte kluczem.

- To nie znaczy, że nie pukała.

Zaczął się podnosić, lecz Paige mocniej oplótła go nogami.

- Paige, czuję się jak nastolatek - powiedział. - Nie powinniśmy...

Dotknęła delikatnie twardego ciała pod kością biodrową.

- Dziecino, kiedy mnie tak dotykasz... - zamruzczał. Jego oczy nabrały koloru płynnej czekolady. - Powiedz mi jeszcze raz: wyjdiesz za mnie?

Jego ostatnie słowa zatonęły w euforii orgazmu. Odczekała, aż wróci im spokojny oddech.

- Czy masz zamiar pytać mnie o to za każdym razem, kiedy się będziemy kochać?

Przycisnął ją biodrami.

- Tylko pod warunkiem, że dostanę to, czego chcę. A ty wiesz, czego chcę.

Poczuł na piersi jej oddech i pierwszą falę dreszczy, przebiegających jej ciało w tym samym momencie, kiedy wreszcie wyszeptała odpowiedź:

- Tak, kochanie, wyjdę za ciebie.

EPILOG

„Śluby są równie dobre jak zjazdy absolwentów” - pomyślał burmistrz, stojąc razem z resztą gości na stopniach kościoła Zjednoczonej Wiary. Ludzie się spotykają, myślą o przyszłości, o założeniu rodziny. A czyż można sobie wyobrazić lepsze miejsce na gniazdo rodzinne niż miasteczko u podnóża Sugar Mountain?

Z kościoła wyszły druhny - obie wsparte na ramieniu młodego szefa policji i straży pożarnej, Matta Skylara. W sukniach koloru nieba o zachodzie słońca Kate i Zoe wyglądały prześlicznie. Za nimi wyszedł Teddy z poduszczką po obrączkach. Burmistrz niewiele wiedział o chłopcu, tyle tylko, że był synem którejś z tych trzech kobiet, a właściwie wszystkich trzech. Matt potargał chłopca za włosy.

Burmistrz nie miał dotąd okazji przywitać się z matką Skylarów. W całym tym zamieszaniu zresztą zupełnie o niej zapomniał. Teraz stał nieco na uboczu rozradowanego tłumu i myślał o najmłodszym synu pani Skylar. Miał nadzieję, że pewnego dnia chłopak także wróci do domu. Uśmiechnął się, ciągle zapominał, że przecież Winfield jest już. teraz dorosłym mężczyzną.

Gdy z kościoła wyszła młoda para, tłum zaczął wiwatować. TJ stąpił pewnym krokiem, wyprostowa-

ny i dumny. Przyjął życzenia od jakiegoś mechanika z Pensylwanii. Na widok samochodu, jakim przyjechał ten mężczyzna, burmistrz poczuł ukłucie zazdrości. Uśmiechnął się jednak promiennie, widząc nową panią prezes Banku Społecznego w Sugar Mountain, ubraną w strojną białą suknię z jedwabiu i tiulu. Paige ucałowała obie siostry Cruikshank, a Krysia z piekarni wybuchnęła płaczem.

Zastanawiał się, czy to nie egoistyczne cieszyć się, że para młoda będzie miała tylko jeden dzień z miodowego miesiąca przed powrotem do banku. Postawienie gospodarki miasteczka na nogi będzie wymagało mnóstwa pracy, a on chciał zacząć jak najszybciej.

Panna młoda zasłoniła się ręką przed deszczem ryżu. TJ poprowadził ją do samochodu, wymieniając po drodze uściski rąk i nasuwając burmistrzowi myśl, czy oto wreszcie nie pojawił się w Sugar Mountain człowiek, który mógłby w przyszłości zająć jego miejsce, kiedy on sam zdecyduje się odejść na emeryturę.

Przy samochodzie Paige rzuciła w stronę gości ślubną wiązanekę z kalii. W tłumie rozległ się radosny chichot, kiedy bukiet wylądował w dłoniach Matta Skylara. Nawet burmistrz Stern nie powstrzymał się od uśmiechu. Dwa tygodnie wcześniej Kate i Matt ogłosili, że są małżeństwem. Po jakimś czasie odwołali swe słowa. Teraz Kate pocałowała Matta. W końcu od tego wszystkiego burmistrzowi małego miasteczka zaczęło się kręcić w głowie.

Limuzyna ruszyła z miejsca, wlokąc za sobą puste puszki i parę kowbojskich butów. Burmistrz westchnął z zadowoleniem. Tak, nastroje w miasteczku

się poprawiały, życzliwość osiadała jak śnieg na górskich szczytach i w dolinach.

Wymienił uściski z kilkoma osobami, pogawędził z tym i z owym, zauważył, że jedna z sióstr Cruikshank pokiwała mu palcem, puścił oko do kilku kobiet. Wszystko toczyło się swoim zwykłym torem.

Wolnym krokiem ruszył w kierunku baru, gdzie zamierzał spędzić kilka miłych godzin, grając na trąbce i rozmyślając, jakie piękne jest to Sugar Mountain.